

M.E.
L. W.
w Łodzi

- Gry miłosne w sanatorium — str. 10
- Seks a odżywianie — str. 11
- Wyższość kobiet? — str. 6
- Kto trzyma z diabłem? — str. 9

- Pierwsza deportacja Polaków — str. 4
- Zagadkowy pociąg nr 511 — str. 4
- Prawie jak w Paryżu — str. 15
- Szczegóły o nowych formach ogłoszeń — str. 14

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź: tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NR 12 (1669)

ROK XXXIII

25 MARCA 1990 ROKU

CENA 1000 ZŁ

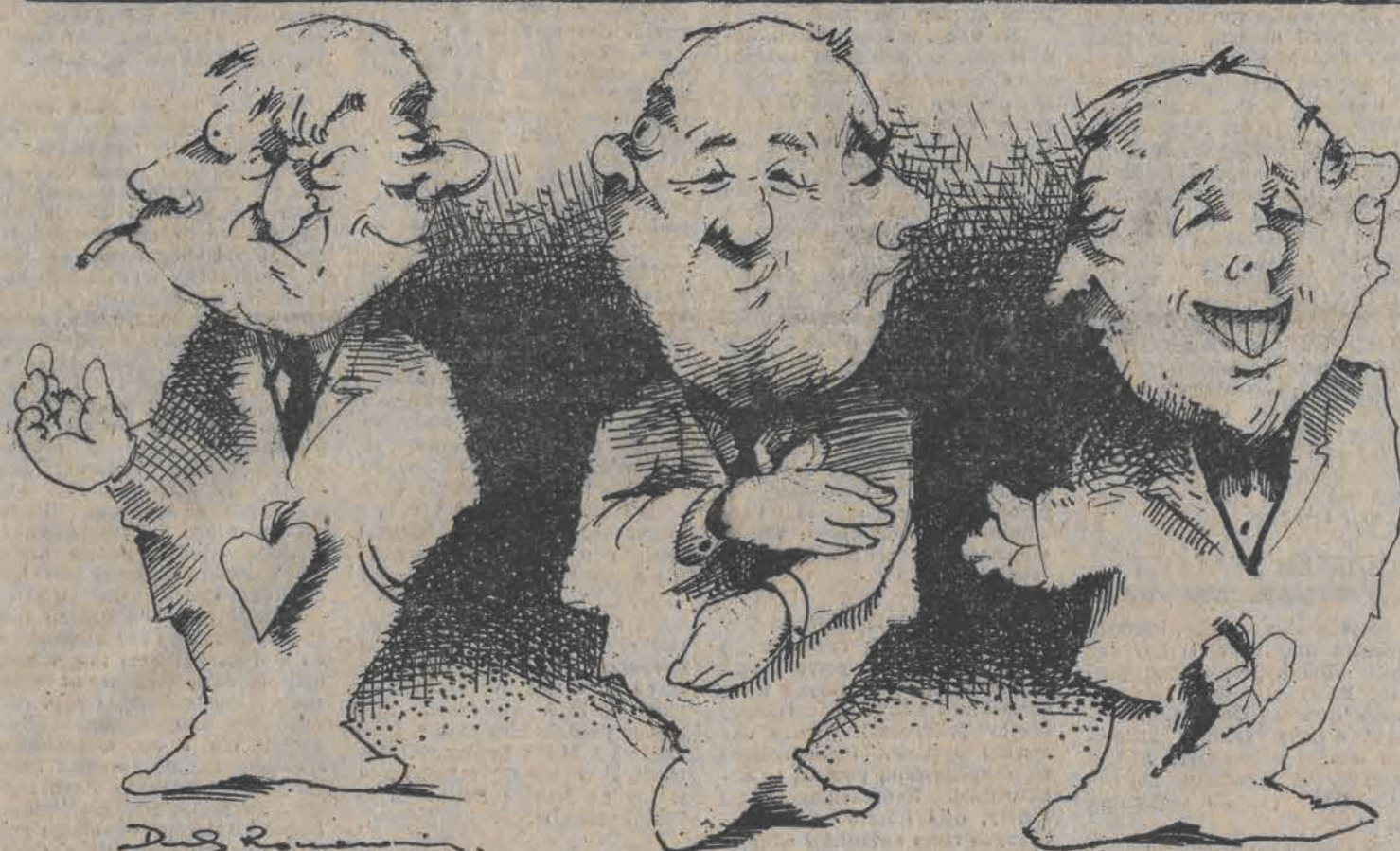


Rys. Dariusz Romanowicz

Czy Lech Wałęsa będzie zmuszony ponownie przeskoczyć przez płot?

Problem dziewictwa

KONRAD FREJDLICH



Rys. Dariusz Romanowicz

Ostatnio przez ekrany telewizorów przemknęła barwna plansza zachwalająca ogłaszanie się w łódzkiej wkładce „Gazety Wyborczej”. W czasach trudnych dla prasy poszukiwanie płatnych inseratów, pozwalających na znaczne obniżenie kosztów wydawniczych, a tym samym utrzymanie się na rynku, nie jest niczym dziwnym ani osobliwym, nieco karkołomny wydał mi się tylko sposób wabienia potencjalnego klienta: gazeta powoływała się na największą w Polsce wiarygodność. Tego jeszcze nie było, na podobny pomysł nie wpadli ani najwięksi propagandziści epoki Jerzego Łukaszewicza, ani nawet mistrz nad mistrze — Jerzy Urban: kupować sobie zaufanie społeczne przez płatne ogłoszenie. Czy to sygnał, że „Gazeta” zaczyna tracić wiarygodność, czy też mamy do czynienia z typowym wypadkiem przy pracy, zawiązonym przez któregoś z młodszych kolegów redaktor Iwona Siedzińskiego, bo jej samej nie podejrzewam o podobną niedorzeczność?

Inne gazety, które wiarygodności nigdy nie miały, postępują bardziej obcesowo — z dnia na dzień zmieniają swoją nazwę, uważając że to najzupełniej wystarczająco, skoro nawet premier określił przeszłość grubą kreską. Dziennikarze, którzy jeszcze do niedawna stęknęli z nieprzejednanego stosunku do tzw. dysydentów,

ochoczo oblewając opozycję kubkami najbrudniejszych pompy, teraz na wypróżdki zabiegają o wywiady u swych wczorajszych ofiar, wychwalają je ponad potrzebę i nie wstydzą się sygnować tych tekstów własnymi nazwiskami. Mogłbym podać długą listę niewińców i udowodnić, że już dawno stracili cnotę, nie chcą jednak bawić się w ginekologa. Z doświadczeniem politycznym, mimo ryzykowności tego porównania, jest nieco tak jak z młodzieńczą inicjatywą, dzięki której wyzbywamy się dziecięcych złudzeń: w pewnym momencie traci się dziewictwo. Jest to proces nieodwracalny, nie oznacza jednak jeszcze wcale nieszczęścia ani też upadku moralnego. Oczywiście są jednostki, które przekroczywszy dopuszczalną granicę, ulegają wykołejeniu, są to osobniki reprezentujące kategorię „moral insanity”, ale to problem psychiatrów albo więzienników. Mnie interesują przypadki mniej skrajne, a nawet typowe dla naszej rzeczywistości. I nie tylko naszej, skoro już Chrystus obronił cudzołóżnicę przed okrutną zemstą, powstrzymując tłum gorliwców jednym zdaniem: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień”.

Zanim się więc kogoś bez reszty potępi, warto pomyśleć o sobie żywożytych, zwłaszcza tych z okresu wczesnego

chrześcijaństwa. Paweł z Tarsusu, któremu Kościół zawdzięcza podwaliny swej dzisiejszej potęgi, zaczął przecież jako wsieckły prześladowca chrześcijan, a zakończył życie na katowskim pięku głosząc chwałę krzyża. Ulubieniec Chrystusa, Święty Piotr, chociaż jego greckie imię znaczy tyle, co „opoka”, w chwili słabości zaparł się swego Mistra, znalazł jednak dość odwagi, aby podążyć do Rzymu i głosząc objawione prawdy umrzeć rozpięty na drzewcu jak Zbawiciel.

Niedawny rozpad PZPR, w miarę bezbolesny, jeśli nie liczyć paru osób poturbowanych przez sily porządkowe strzegące Patacu Kultury w Warszawie, był tylko potwierdzeniem faktu, że w Polsce nastąpiła zmiana układu sil, czego symptomy obserwowaliśmy podczas żywiołowego rozwoju „Solidarności” w latach 1980—1981. Stan wojenny, który miał ten proces zatrzymać, a nawet odwrócić, okazał się zabiegiem nieskutecznym i zupełnie chybionym. To, co uważane jest za zmianę układu sil, dotyczy bowiem nie tyle potencjalnych możliwości stosowania przemocy, pozwalającej wymusić posłuch, co wskazania innego systemu wartości. Upadający reżim próbował się zresztą reformować dokonując różnych cyrkowych sztuczek, wyciągając z kapelusza to galabka pokoju z gałązką oliwną w dziobie, to róg obfitości z

zachodnimi kredytami i masową motoryzacją, to rozdając wszystkim do domu zagraniczne paszporty.

25 stycznia 1983 r., a więc wówczas, gdy wobec władz stanu wojennego wciąż utrzymywał się front odmowy zwłaszcza środowisk twórczych, w redakcji arcykatolickiego miesięcznika Towarzystwa Jezusowego „Przeгляд Powszechny” odbyła się bardzo ciekawa dyskusja zatytułowana „O wyborze postaw”. Zagajając to spotkanie Maciej Wierzyński, długoletni zastępca redaktora warszawskiej, nie zaś paryskiej „Kultury”, stwierdził: „Stoi przed nami pytanie nie tylko, co robić, ale jak robić. Ile zawodów inteligentnych, tyle specyficznych pytań”. Z wypowiedzi uczestników, szczerkanych co prawda, gdyż niemiłosiernie pokaleczonych przez cenzurę, wydziera dramatyczne rozdarcie. Andrzej Siciński zwrócił uwagę na konieczność świadomych działań mających na celu „przeciwdziałanie się procesowi demoralizacji społecznej”. Za równie doniosłą uznał walkę „o etos życia prywatnego i życia publicznego w naszym kraju” oraz przeciwdziałanie społecznej apatii. Marcin Król, redaktor oficjalnego, opozycyjnego miesięcznika „Res Publica” stwierdził, że społeczeństwu właśnie teraz potrzebne jest krytyczne myślenie.

Zanim kupisz broń gazową.

Pistolet, nóż, pałka

Maszkę białego Fiata pokrywają tabliczki czekolady, różnokolorowe aparaty telefoniczne, paczki gumy do żucia, kawa, puszki piwa. Właściciel tego bogactwa zachwala jeszcze jeden towar, niezbyt dyskretnie ukryty pod zachodnimi magazynami — pistolet. Chyba gazowy... Właśnie zainteresował się nim jakiś brodaty jegomość; ogląda, mierzy w dłoń, dopytuje o szczegóły techniczne. Nie mija minuta i po szybkim przebieżeniu kilku niebieskich banknotów broń ginie w kieszeni brodacza.

Handel bronią. Dodajmy od razu — bronią gazową. Jakiś minimalny przemysł, bo tak to trzeba nazwać istniał i dawniej, ale obecnie rozwinął się na szeroką skalę, czemu sprzyja i możliwość szybkiego „skoku” do Berlina Zachodniego. Ale trzeba wyraźnie powiedzieć, iż zakup choćby jednego pistoletu i fakt zgłoszenia u celnika — przekreśla legalność posiadania broni. Celnik powinien ją zatrzymać w depozycie. Na więc ludzie chowają broń i po powrocie do domu usiłują otrzymać zezwolenie na jej posiadanie (no, prawie wszyscy próbują...). I niestety, nie otrzymują, bowiem nie wystarczy kwit ze sklepu, trzeba jeszcze dysponować stosownym zaświadczeniem z urzędu konsularnego.

— Jedyna właściwa, legalna droga w chwili obecnej — tłumaczy podporucznik Andrzej Tomczyński z RUSW Łódź-Widzew — musi rozpocząć się u nas, od otrzymania zezwolenia na zakup broni (jednozadaniowe praktycznie podanie i niestety, blisko miesiąc oczekiwania — przyp. DD). Wówczas można kupić pistolet w sklepie w kraju lub jeśli ktoś woli nieco taniej — choćby w Berlinie Zachodnim. Celnik broń odprawia, na naszym zezwoleniu przybijając swój stempel. Dodajmy — odprawia jedną sztukę, a nie przenośny sklep myśliwski... I teraz sprawa jest już prosta: właściciel gazowej „pukawki” zgłasza się do naszego urzędu, gdzie otrzymuje właściwe zezwolenie, to jest na posiadanie broni.

— Czy dużo osób w pańskiej dzielnicy wyraziło chęć uzbrojenia się?

— Ponad 150 osób wystąpiło ze stosownym wnioskiem, a zarejestrowanych, to jest posiadających już stosowne zezwolenia i broń — około 40.

— Pojawili się w Łodzi pierwsze sklepy oferujące wszystkim „potrzebującym” broń gazową. Wierzę, że jesteście z nimi w stałym kontakcie.

— W Łodzi działa już faktycznie kilka takich punktów, z których chyba najbardziej okazały mieści się przy al. Mickiewicza 47, choć podobną działalność prowadzi choćby „Jedność Łowicka”, a i w bramie sklepu przy Piotrkowskiej 111 widziałem gazowe colty. Stosowne zezwolenia wydaje, po wnikliwych analizach, nasze MSW, wiem tylko, że w mieście czeka jeszcze na otrzymanie stosownych dokumentów kilkanaście różnego rodzaju firm. A bieżący kontakt jest obowiązkowy: na podstawie szczegółowego rachunku ze sklepu, gdzie wymieniony jest i nabywca i rodzaj broni oraz ilość amunicji — wydajemy dopiero właściwe zezwolenie.

— Człowiek chowa broń i zezwolenie, po czym ginie z waszych oczu.

— Niezupełnie. Otrzymuje bowiem zezwolenie maksymalnie na trzy lata i po tym czasie powinien się do nas zgłosić w celu jego przedłużenia. Jeśli się nie zjawi, to praktycznie posiada broń bez zezwolenia i pod tym zarzutem może nawet trafić przed oblicze kolegium...

P rzed ladą sklepu w al. Mickiewicza tłumek zafascynowanych kowbojów w wieku najróżniejszym. Na półkach błyszczą i skrzęta rozmaitej maści pistolety i rewolwery, wiatrówki noże i bojowe... paly gumowe, jak się okazuje — też z gazem. A za ladą bryluje „James Bond” pan Włodek Plekarski, z wprawą i znanstwem prezentując zgromadzonym zalety każdego egzemplarza. Trzaska bezpiecznikami, rozładowuje, przeładowuje, blyskawicznie pakuje w magazynki piguły gazowych naboju, opowiada o możliwościach. Czekam kiedy na oczach zachwyconych odpali serię w sufit choćby. Ale nie — to tylko znakomicie przeprowadzony, blyskawiczny instruktaż dla jakiegoś emerytowanego pułkownika...

— Skąd pomysł na handel bronią? — pytam jednego z szefów „gazowej” firmy — Piotra Denkowicza

— Napisz elegancko: chęć zaspokojenia społecznego zapotrzebowania. A poza tym, cóż, interes dobry jak każdy inny, a dziś — nawet lepszy jak parę innych...

3

7

Adres redakcji:

90-118 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36 52 44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36 80 99,
publicyści: 36 77 70, 32 89 70

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Problematyka kulturalna:
Marian Zdrojewski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Doroczyński,

Andrzej Gębarowski,
Konrad Frejdlach,

Jacek Indelak,
Eugeniusz Iwanicki,

Marek Koprowski,
Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,
Bogumił A. Makowski,

Paweł Tomaszewski,
Graficy: Dariusz

Romanowicz, Janusz

Szymański-Glanc,
Fotoreporter: Grzegorz

Gałasinski,
Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk,
Stale współpracują:

Marek Brzeziński,
(Paryż — Londyn),

Anna Gronczewska,
Andrzej Grun, Janusz

Janyst, Marek Juszkiewicz,
Andrzej Karolczak,

Witold Kasperkiewicz,
Andrzej Kempa,

Włodzimierz Krzeminski,
Miroslaw Kuliś,

Jerzy Kwiecinski,
Monika Matuszak,

Zenon J. Michalski,
Marzena Mróz, Adam

Ochocki, Henryk

Pustkowski, Maciej

Swierkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń, Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 32 59 11.
Organizacja reklamy: tel. 36-80-99.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch” 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.
Warunki prenumeraty w 1980 roku 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW, a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania. 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast.
Wpłaty na prenumeratę przyjmują: 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora, odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumeratorem w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób 2) Urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych.
Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne. Należność za przyjętą prenumeratę pocztową obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa; w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumeratorem.

Przegląd prasy

Szlomo Avineri — profesor Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, jest znany w świecie filozofem w zakresie historii myśli politycznej. Przez szereg lat pracował w dyplomacji izraelskiej. Należy do czołowych działaczy Partii Pracy. Urodził się w 1929 roku w Bielsku-Białej. Interesującą rozmowę z nim przeprowadził dla miesięcznika „ZDANIE” (nr 1) Tomasz Goban-Klas. Na pytanie, czy marksizm prowadzi do stalinizmu, uczony i polityk żydowski odpowiedział: „Powiedzmy raczej: marksizm może prowadzić do stalinizmu, dokładnie tak samo, jak Jezus Chrystus może prowadzić do inkwizycji. Nie ma wątpliwości, że inkwizycja, katolicka inkwizycja, która paliła ludzi na stosach jako heretyków, narzucała cenzurę, wypędziła mużelników i Żydów z Hiszpanii, była instytucją chrześcijańską jako taka odwoływała się do nauk Jezusa Chrystusa. Lecz nie można powiedzieć, że Kazanie na Górze Jezusa równa się Torquemadzie! Okoliczności sprawiły, że nauka Jezusa, poprzez powiązania Kościoła z władzą polityczną podczas rekonkwisty Hiszpanii stworzyła inkwizycję. Lecz nauki Jezusa Chrystusa mogą także prowadzić do humanizmu, uniwersalizmu, braterskiej miłości, do teologii wyzwolenia. Zatem — chrześcijaństwo jest otwarte; otwarte zarówno dla inkwizycji, jak dla teologii wyzwolenia.”

Chciałbym powiedzieć to samo o marksizmie. Istnieje w nim droga, która wiedzie do stalinizmu, ale istnieje też inna, która prowadzi gdzie indziej. W każdym rodzaju filozofii politycznej zamyka się alternatywa wyzwolenia i dominacji.”

NIECIERPLIWOŚĆ WŁADCÓW ROSJI

Jeśli socjalizm przestanie się kojarzyć z nazwiskami Stalina, Pol Pot'a i Ceausescu, to odzyska swą szansę i będzie miał przyszłość — powiedział podczas forum dyskusyjnego w Paryżu Andrzej Graczew z Wydziału Międzynarodowego KC KPZR. Obecne niepowodzenia oznaczają tylko księgę modelu uwarunkowanego specyficzną sytuacją Rosji.

Na tym samym spotkaniu sekretarz generalny ministerstwa spraw zagranicznych Szwecji, Pierre Schori, stwierdził, że nie można zmuszać państw Wschodu, by przeszły do gospodarki „kapasyną”. W jego wypowiedzi opublikowanej na łamach „FORUM” (nr 10) czytamy między innymi: „Pojawia się bowiem niebezpieczeństwo, że byle kolonie radzieckie staną się koloniami Zachodu. Sądzę, że trzeba odrzucić uogólniające etykiety polityczne. Adam Michnik mówi o rynku z Indką twarzą. Nie można zredukować Europy do rynku, a całej planety do supermarketu. Socjaldemokratów od liberalów dzieli to, że mamy utopię, nawet jeśli tylko tymczasową, sprawiedliwości społecznej, pełnego zatrudnienia, solidarności narodów i solidarności wewnątrz narodów”.

Pierre Schori zwraca uwagę na fakt, że w krajach Ameryki Łacińskiej jest dziś więcej demokracji niż kiedykolwiek. Ale równocześnie jest więcej ubóstwa, a pomoc Zachodu jest pięciokrotnie mniejsza niż w 1980 roku. Być może nadchodzą lata zemsty biednych...”

W innym tekście — przedrukowanym z pisma „The Economist” — autor (nie podano nazwiska) zastanawia się nad przyczynami opóźnienia rozwojowego Rosji. Stopa życiowa jest tam na poziomie zbliżonym do Brazylii, choć od roku 1914 do 1985 dochód narodowy zwiększył się sześćo- lub siedmiokrotnie.

„W porównaniu z Zachodem Rosja była i jest mocarstwem opóźnionym w rozwoju. Od wieku XVIII, w którym pod względem demograficznym dorównała Francji, ma ona lud-

ność najniższą w Europie. Ma kulturę, której wpływ sięga daleko poza granice Rosji. Pokonała Hitlera, tak jak nigdy zwyciężyła Napoleona. Wysłała człowieka w przestrzeń kosmiczną, zanim udało się to Amerykanom. A jednak zawsze pozostaje w tyle...”

Nie jest to nic nowego. Przez znaczną część dziejów Rosji jej rozwój był opóźniony, a charakterystyczną cechą jej historii były potężne zrywy, których celem było dogonienie innych państw. W roku 1696 Piotr Wielki wyruszył z Rosji na okres trzech lat, by zapoznać się osobiście z najnowszą technologią zachodnią. Zwiędził wedy Holandii i Wielkiej Brytanii, gdzie uczył się sztuki budowania okrętów. Rosja pozostawała w tyle zarówno w okresie osiemnastowiecznej rewolucji handlowej, jak też w czasie dziewiętnastowiecznej rewolucji przemysłowej, która rozwijała się w Europie i w Ameryce, a później również w Japonii. Jedynie pod sam koniec wieku XIX i na początku wieku bieżącego nastąpił w Rosji nagły wzrost gospodarczy — zryw do przodu.

Wyjaśnienie tej anomalii jest głównym problemem historii Rosji. Próbę jego wyjaśnienia przedstawił profesor Paul Kennedy w swym bestsellerze, który ukazał się w roku 1988 pod tytułem „Powstanie i upadek wielkich mocarstw”. Związek Radziecki stanowił kraciówkę przypadek tego, co prof. Kennedy nazywa „przerostem imperialnym”. Komunistyczny przywódca Rosji, podobnie jak dawniej carowie, sprawowali rządy w zmilitaryzowanym mocarstwie, którego utrzymanie było ponad jego możliwości gospodarcze.”

Osobliwością historii Rosji była słabość grup pośrednich między władzą a ludem. Nie miała Rosja niezależnej arystokracji, silnego mieszczaństwa i niezależnego Kościoła. A poza tym zabrakło w Rosji na wprost autonomicznego chłopstwa. Natomiast władcy byli niecierpliwi, przerwali naturalny rozwój i próbowali nagłymi zrywami gonić czołówek światową.

Trzy lata temu pisałem w „Odgłosach” o charakterze narodowym Rosjan. Wymieniłem wtedy pięć zasadniczych czynników determinujących. Moim zdaniem, najważniejsze znaczenie w dziejach Rosji miały: religia prawosławna i bliskie kontakty z kulturą bizantyjską, ideologia imperialna „trzeciego Rzymu”, absolutyzm państwowy, słabość arystokracji i mieszczaństwa, wspólnota wiejska (obszeczna). W drugiej połowie XVIII wieku mieszczanie stanowili zaledwie 3 proc., dworzanie i duchowni — 5 proc., a chłopci aż 92 proc. ludności. Blisko połowa poddanych znajdowała się w dobrach państwowych i carskich.

POGRZEB STALINA

Józef Stalin był większym tyranem niż Iwan Groźny czy Piotr Wielki. Ale ludzie płakali, kiedy słynny spiker radiowy Lewitan odczytał komunikat o jego śmierci. Studio wedy w Moskwie Antoni Zawada. W tygodniku „SOLIDARNOSĆ” (nr 10) wspomina dziś:

„W grobowym milczeniu zjedliśmy śniadanie i pojechalismy na Uniwersytet. Zajęcia odwołano. Siedzieliśmy ponuro w ławkach, dzleweżeta pochlipywały. Tak minął dzień...”

Grisca Binkiewicz przyszedł wieczorem 7 marca 1953 pełen wrażeń. Tego dnia ciało Stalina wystawiono w Sali Kolumnowej Domu Związków. Wraz z pierwszymi moskwiatami przemarszerował obok otwartej trumny.

Po kolacji duża grupa pod wodzą Grisy Binkiewicza wyruszyłaśmy metrem do śródmieścia Moskwy. Poszliśmy ulicą w kierunku Trubnoj Płoszczadi i dość szybko natknęliśmy się na kolejkę do trumny Stalina. Od Domu Sojuzow dzieliło nas ładnych kilka kilometrów — dwa pełne przystanki metra. Stanąłem w kolejce, a moi koledzy poszli dalej i straciłem je z oczu. Okazanie kolejką jest właściwie mylące. Na chodniku oddzielnym od jezdni rzedem ciężarówek wypel-nionych wojskiem — nie uzbrojonym — szamotał się tłum. Zrobiliśmy kilka kroków do przodu i to mnie zmiliło, bo pomyślałem, że kolejką posuwa się naprzód. Po chwili jednak cofaliśmy się pod potężnym naporem tłumy i trzeba było dobrze uważać, by nie stracić równowagi i nie dać się stratować, ani też przyprzeć do ciężarówek lub latarni ulicznej — napór tłumy mógł pogruchotać kości. Moje wle-

otnienie doświadczenie kibica sportowego niewiele mi tu dało, to zadanie było nieporównywalne. Walczyłem z całą determinacją o przeżycie, dając się unosić tłumowi piętnastych kroków wstecz i tyleż naprzód. Deptało się nie po chodniku, lecz po zgubionych w ścisłu kalozach. Nad tłumem unosił się szloch i lament wieloletniej rzeszy zagubionych w ścisłu niewiast i dziewcząt. Po godzinie walki miałem dość. W dogodnej chwili chwyciłem się za burtę ciężarówki i pozwoliłem się wciągnąć na nią żołnierzom. Sam bym się nie wdrapał — nie miałem już siły. Zeskoczyłem na pustą jezdnię. Z kolejkę do grobu Stalina dolatywał jęk i zawodzenie tkwiących w tłumie kobiet. Para buchająca z ust sięgała szereka warstwą aż do szczytu latarni. Wróciłem do metra. W drodze do akademika spotkałem koleżankę Rosjanke; opowiadała, że przeżona, że jakiegoś chłopca rozgniełli o latarnię (czy też ciężarówkę) tak, że mógł pochłapać najbliżsi stojących. Podobno tego dnia zginęło w ścisłu wiele osób.”

W następnych dniach podobny tłum szturmował Dom Związków. Atmosfera przypominała zdobywanie śnieżnego grodu na dawnej Rusi. Antoniemu Zawadzie udało się jednak osiągnąć cel. W piątek przeszedł jak błędny koło trumny Stalina.

CHADECJA PRZECIW SOCJALDEMOKRACJI

W tym samym numerze „Solidarności”, Ryszard Bender ostrzega przed działalnością „lewicy laickiej”, która marzy o sojuszu z tzw. skrzydłem reformatorskim byłej PZPR i może przejąć rządy po Tadeuszu Mazowieckim. Autor artykułu jest przeciwnikiem socjalizmu i socjaldemokracji oraz zdecydowanym zwolennikiem chrześcijańskiej demokracji. Piszemy między innymi:

„Na ulicy, w tramwajach, autobusach, w kolejkach sklepowych słyszysz się rzeczy straszne. Rozgoryczenie dotyczące spraw politycznych, a w szczególności ekonomicznych, sprawia, że padają słowa, iż krew musi popłynąć, by oczyścić atmosferę. Przeróżając! Tym bardziej nie wolno uprawiać strusiej polityki, zamknięć o-czu, udawać, że się nie dostrzega, iż ziemia ugina się wrogią wstrząsą. Mamy już znaczny zakres wolności, brak nam demokracji opartej na pluralizmie politycznym, utrzymuje się nadal dualizm władzy oparty na tzw. reformatorach z PZPR i lewicy politycznej, która przywróci do Solidarności. Należy uczynić wszystko, by przejść możliwie szybko i bezboleśnie ku demokracji. Wtedy o sukcesy gospodarcze będzie łatwiej.”

Demokracji nie zapewni w katolickiej Polsce rysująca się coraz wyraźniej perspektywa sojuszu koniunkturalnych uciekinierów z PZPR oraz laickiej lewicy politycznej, bardzo aktywnej obecnie, legitymującej się eksponowaną pozycją w Solidarności. Reprezentant tej lewicy, dziś liderzy polityczni liczących rzesz katolików skupionych w Solidarności, to ewenement nie spotykany nigdzie w Europie. Rekrutują się oni w większości z dawnych szeregów partyjnych, które przed laty opuścili, pozostając nadal prawie wszyscy zwolennikami socjalizmu, który, o naturalności chcą uczynić demokratycznym. Ich marzeniem jest sojusz z tzw. reformatorskim skrzydłem byłej PZPR. O ile ten sojusz zaistnieje — koniec marzeń o demokracji. Zmieniwszy nawet poglądy z komunistycznych na tzw. socjaldemokratyczne, utrzymują ci ludzie, stojąc u steru rządu, dawne autorytarne metody działania. Wyeksponują rolę państwa, które jest bożyszczem i dla komunistów, i dla socjalistów. Tylko w programach demokratycznych państwo stanowi narzędzie narodu, nigdy nie jest dobrem najwyższym. A że po Mazowieckim lub jego następcy przejmą rządy (jeśli naród na czas nie oprzytomnieje) ludzie partii lewicy Solidarności i reformatorów z byłej PZPR — to więcej niż pewne. Oni bowiem będą dysponowali wyrobioną kadrą, zasobami materialnymi i znakiem Solidarności, który sobie zarezerwują, a innych od niego odsądzą.”

Ryszard Bender uważa, że Polacy mają dosyć wszelkiego socjalizmu. Nie uwiaria już w ludzką twarz socjalizmu — nawet, gdy ustrój ten będą chwalił wspólnie Adam Mich-

nik i Aleksander Kwaśniewski. Z epoki postkomunistycznej może wyprowadzić Polskę chrześcijańska demokracja, a nie socjaldemokracja. A gdyby mimo wszystko monopol PZPR miał być zastąpiony monopolem partii lewicowej, wykorzystującej symbol Solidarności, to wtedy dla równowagi powinna powstać siła chrześcijańska partia robotnicza.

PROBLEMY FINANSOWE KOŚCIOŁA

W miarę jak ubożeje społeczeństwo, pogarsza się sytuacja materialna Kościoła rzymskokatolickiego. Wicerektor warszawskiego Seminarium Duchownego, ks. Ryszard Rumianek skarży się i apeluje w tygodniku „PRZEGLĄD KATO-LICKI” (nr 10):

„Przeżywamy ogromne trudności finansowe. Najbardziej uderzają nas opłaty za ciepło i energię elektryczną. Są to miliony, których obecnie nie jesteśmy w stanie zapłacić. Wy-stosowaliśmy odpowiednie pisma do właściwych urzędów z prośbą o pomoc. Czekamy z nadzieją na pozytywną odpowiedź. W ramach oszczędności musieliśmy przedłużyć przerwę semestralną i rozelać kleryków do domów na dwa tygodnie.”

Utrzymujemy się z ofiar składanych dobrowolnie na rzecz naszego Seminarium. Dwa razy w roku jest zbieżna taca we wszystkich kościołach naszej Archidiecezji. Ponadto składane są ofiary w naturze w wielu parafiach, zwłaszcza wiejskich. Wiele osób wpłaca też pieniądze bezpośrednio do Seminarium albo na nasze konto. Ostatnio w wielu parafiach przeprowadzane są dodatkowe zbiórki na nasze Seminarium. (...) Od kilku miesięcy kryzys szczególnie dale się nam we znaki. Dla przykładu podajmy, że dawniej jedna taca z diecezyj wystarczała na prowadzenie Seminarium przez około pięć miesięcy. Natomiast ostatnia taca, z grudnia, wystarczała nam tylko na pół miesiąca. Sprague jeszcze powiedzcie, że szukamy oszczędności we wszystkich możliwych dziedzinach.”

Nasza uczelnia istnieje już ponad trzydzieści lat. Niejednokrotnie były w przeszłości trudne sytuacje, ale Seminarium nigdy nie zostało zamknięte. Ufamy, że i teraz dzięki dobroci i ofiarności naszych wiernych oraz ich duszpasterzy będziemy mogli nadal pracować. Potrzeba nam przecież wielu młodych kapłanów, którzy będą służyli Bogu, ludowi i naszej umęczonej Ojczyźnie. Dlatego prosimy o pomoc i z góry za nią dziękujemy.”

Od siebie dodam tu, że Kościół rzymskokatolicki w Polsce dysponuje 48 wyższymi seminariami duchownymi, w których uczy się 8819 alumnów. Pod koniec października 1989 r. Kościół miał 24 678 kapłanów. Natomiast w chwili zakończenia wojny na terenie Polski było 7141 kapłanów.

W cytowanym wyżej piśmie archidiecezji warszawskiej ks. Jerzy Dobrowolski mówi Jolancie Makowskiej, że wyjątkowo wcześniej skończył swoje kolegowanie. Dawniej koleđa trwała do połowy, a nawet do końca kwietnia. W tym roku zaś mniej było zapraszających, ponieważ ludzie starsi wstydzą się biedy i udają chorobę lub nieobecność. Niekiedy mają tak wysokie poczucie godności, że wolą umrzeć niż przyznać się do ubóstwa i poniżenia.

Po dary zagraniczne zgłaszają się do Kościoła przeważnie ludzie młodzi. Bez żadnych oporów, chętnie i zachłannie i biorą wszystko. A staruszkom trzeba to samo dawać na siłę albo używać podstępów, żeby ich nie urazić.

Zdaniem księdza Dobrowolskiego wśród parafian dominuje lek. Ludzie ufają rządowi Tadeusza Mazowieckiego, ale obawiają się, że nie przetrzymają kuracji ekonomicznej. Poziom lęk jest obecnie taki, jak był na początku stanu wojennego. Granica wyrzeceń i cierpliwości dla niektórych już została przekroczona. Część ludzi starych nie ma również nadziei, co oznacza duchową lub nawet prawdziwą śmierć.

E. L.

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— W październiku 1989 r. władze rumuńskie przeniosły Edwarda Rydza-Smigłego w trudno dostępny rejon górysty. Przed przybyciem marszałka posiadłość została starannie zabezpieczona. Ołowiono ją drutem kolczastym, wystawiono posterunki. Nastrój marszałka i towarzyszących mu osób nie wspierał z pięknem miejscowego krajobrazu. Rumuni zamierzali bowiem przetrzymać ich aż do zakończenia wojny. Aby zniechęcić internowanych do podejmowania prób ucieczki, władze rumuńskie postawiły twarde warunki związane z ewakuacją obozów wojskowych. Stan zdrowia marszałka nie pozwalał zresztą wówczas na ewentualną ucieczkę. Nawiazal z nim kontakt ppik. Romuald Najzarek, który wystąpił w charakterze ministranta towarzyszącego ks. dziekanowi Kosible podczas niedzielnej mszy — TADEUSZ DUBICKI opisuje, w jaki sposób marszałek Edward Rydza-Smigły uciekł z Rumunii.

— Coraz więcej osób kupuje broń gazową. Czasem efekt użycia pistoletu może przekroczyć nasze oczekiwania. Niejednokrotnie gaz cofa się na strzelającego. Działanie zależy od kondycji organizmu. W zasadzie nie powinno być poważniejszych następstw, ale nie można wykluczyć przypadków śmierci. Musimy nauczyć się żyć z bronią oraz wykorzystywać ją zgodnie z nazwą i przeznaczeniem. Życie jednak często nie przystaje do teorii — rozmowa z DARIUSZEM GAJZLEREM, inspektorem sekcji zwłokowej i opinowania WUSW w Łodzi i majorem ZBIGNIEWEM GWIZDKA, zastępcą naczelnika Wydziału Ogólnego WUSW w Łodzi.

— Kiedy w 1984 roku wsiadłam na statek pływający do Buenos Aires, nie wiedziałam o tym kraju nic ponad to, co można przeczytać w podręczniku i zobaczyć w atlasie. Nie miałam też dużego doświadczenia jako pielęgniarka. Ze stolicy Argentyny wyruszyłam autobusem do Asuncion, a stamtąd trafiałam do Nembu, oddalonej od stolicy Paragwaju o 19 kilometrów. Musiałam szybko uczyć się języka. Hiszpańskiego nauczyłam się w polskiej szkole. Opiekowałam się dwiema grupami młodzieży, prowadziłam pracę katechetyczną. Jakiś czas pracowałam w klinice jako pielęgniarka. Mineło półtora roku i postanowiałam przenieść się na północ kraju. Moim zwierzchnikiem był biskup San Pedro. On właśnie skierował mnie do kolonii San Pablo, położonej 360 kilometrów od stolicy. Nie było tam wówczas żadnego misjonarza, lekarza ani pielęgniarki. Droga często była nieprzejezdna. Dziś jestem nie tylko pielęgniarką i akuszerką, ale również lekarzem. Jestem także nauczycielem, seksuologiem, dietetykiem i aprowizatorem — relacja polskiej pielęgniarki, która spisała KATARZYNA PEŁKA.

— Między moimi dziećmi jest 13 lat różnicy, 13 lat oszalełego życia zawodowego, opłaconego nerwicami, stresami i przesadnymi historiami. Narodziny naszego synka-dziecka, na które tak długo czekałimśy w moim drugim małżeństwie, przywróciły chyba nam obój-gu, mężowi i mnie, właściwe proporcje spraw. Z powodu małego dziecka mama właściwie mieszka już ze mną. Dają do zmiany domu, chcą zamieszkać z obójgem rodziców, a właściwie mam nadzieję, że im będzie lżej i będziemy wszyscy szczęśliwi. Moja praca nie interesuje specjalnie nikogo z rodziny i słuźnie. Wystarczą moje historie i nerwy, ale jestem otoczona szacunkiem — mówi znana aktorka KRYSZYNA JANDA.

— Dla sztuki, a więc i dla teatru, zawsze jest niebezpieczny koniunkturalizm. Oportunistyczna służebność polityczna czy zastosowanie się do kolejnych mód artystycznych kończy się zawsze krachem i demaskacją tego duchowego błazństwa — mówi KAZIMIERZ DEJMEK, dyrektor Teatru Polskiego w Warszawie.

„Dostaję nastuchało się tych bajek patriotycznych, tych Piłsudskich i tych Dmowskich, tych wszystkich banialuków pewnego rodzaju. Trzeba spróbować ludzi troszeczkę zmusić — przynajmniej chętnych spośród nich — do ostrego myślenia o świecie” — podkreślił dobitnie. Ks. Stanisław Opieła, redaktor naczelny „Przebiegu”, wypowiedział myśl najdomośniej: „U części intelektualistów formacji laickiej aktualne zbliżenie się do Kościoła może być sprawa koniunkturalna; ale czy od tego niebezpieczeństwa wolni są ludzie Kościoła?”

Zaryzykowałbym twierdzenie, że dla większości kręgu intelektualistów laickich zbliżenie do nie jest wyrachowaniem ani nawróceniem, lecz wkraczaniem w orbitę wartości, które reprezentuje Kościół, a które w środowiskach, z jakich się wywodzą, były niedoceniane, wyszydzane czy wręcz zaprzeczane. Nie jest to zatem przymuszony flirt z Ko-

zbił się do niego. Niech ten wspólny front nie będzie tylko polityką”.

Na podobną urwę nie mógłby sobie pozwolić żaden publicysta krajowy, niezależnie od sympatii politycznych, nawet gdyby w Polsce już wtedy nie działała cenzura. Bóg był słowem niemiłym. Adam Ważyk, zegnając się ze stalinizmem słynnym „Poematem dla dorosłych”, upomniał się o wiele prawd elementarnych, może niezbyt gramatycznie, ale Partię. Tak właśnie słowo to było zapisywane, od dużej litery. Wśród luminarzy powojennej, literatury polskiej, powstałej w kraju, trudno znaleźć jakieś nazwisko, które nie byłoby ubabrane, jeśli już nie bezpośrednio — peanami na cześć Józefa Stalina i Bolesława Bieruta, to przynajmniej pochwałą ludowej władzy. Nie ma w tym nic gorszego, wielu naprawdę, w to wierzyło, hasła były przecież szczerze i bardzo postępowe. Może dlatego „kolaboracja” z komunistami obciąża nie tylko dożywnego prezesa Związku Literatów Polskich, Jarosława Iwaszkiewicza, laureata Nagrody Leninowskiej. Obserwujemy dziś tendencję do idealizowania ZLP sprzed lat trzydziestu czy dwudziestu, ale przecież organizacja ta ma na swoim koncie różne, najbardziej obskurantyczne deklaracje polityczne i właściwie nigdy nie zdobyła się na jakiś bardziej zdecydowany, oficjalny protest: mityczne już, opozycyjne wystąpienia, były zawsze inicjatywą kilkunastu osób, występujących najpełniej prywatnie i związanych z ZLP tylko przynależnością organizacyjną.

Twórczość Jarosława Iwaszkiewicza, pana na Stawisku, broni się nawet z perspektywą czasu, ideologiczne serwituty stanowią w niej mało znaczący margines, inne pasje były jego prawdziwą namiątką. Ale taki Jerzy Andrzejewski, kojarzony z antypartyjną opozycją, jest przecież nie tylko autorem podwójnie fałszywej książki „Popiół i diament”, uznanej za acydzioło powojennego czterdziestolecia, ale także popelnili dość prymitywną broszurkę „Partia i twórczość pisarza”. Andrzejewski, pisarz niewątpliwie bardzo utalentowany, choć chwiejny w poglądach, pociągnął za sobą Andrzeja Wajdę. Co prawda nasz najwybitniejszy filmowiec już wcześniej zgryzł „Pokoleniem” według Bohdana Czeski, redukującym ruch oporu w Polsce do czynu zbrojnego gwardystów i powielającym obiegowe fałszerstwo historyków PRL o Armii Krajowej, stojącej rzekomo „z bronią u nogi”.

Twórca przyszłego „Człowieka z żelaza” słusznie odrzucił z powieści Andrzejewskiego wątek sędzłego Kosseckiego, wątek paszkwilancki i haniebny, bo sugerujący podatność Polaków na współpracę z hitlerowskim okupantem; wyprzedził go niejednokrotnie moralnie, przeciwstawiając zbrojny opór antykomunistyczny podziemia rozmadze i apostolskiej czystości emisariuszy nowego porządku, importowanego z ZSRR. W tym samym czasie w katedrach NKWD w Polsce mordowano setki akademików, tysiące patriotów wywołano do syberyjskich łagrów, a w ubekich więzieniach gnili za życia albo szli na szubienicę, dręczeni i nie-ludzko poniżani ci wszyscy, których podejrzewano, że mogą myśleć nie dość słusznie i nie dość lojalnie.

Powieść Jerzego Andrzejewskiego nosiła pierwotnie tytuł „Zaraz po wojnie”. Pod metaforycznym tytułem „Popiół i diament” weszła następnie do kanonu lektur szkolnych i miała dziesiątki wydań, czemu się autor, stojący już na innych szczeblach politycznych, nigdy nie przeciwstawił. Andrzej Wajda zajął z niej znak zapytania: symboliczna scena konania Maćka Chelmiczkiego na śmietniku nie pozostawia przecież wątpliwości, co w tym filmie zaprezentowane zostało jako diament, a co jako popiół zwałone zostaje na rumowisko dzieł w myśl wskazań materializmu historycznego. Nawet tak wybitna i inteligentna pisarka jak Zofia Nałkowska uległa propagandowej tezie zapoczątkowanej „Wrześniem” Jerzego Pu-

tramenta, wpisała się w paszkwilancki nurt zołyzdania dorobku Polski sanacyjnej i ukazała jej „odrażającą” agonie w „Węzłach Zycia”. A Kazimierz Brandys, ze swoją tetralogią „Między wojnami”, której ostatni tom nosi wiele charakterystyczne i jednoznaczny tytuł „Komunista nie umiera”? A wielu innych, pomniejszych, którzy nie zostawili tak widocznego śladu w postaci znaczącego dzieła, podpisanego własnym imieniem i nazwiskiem?

Przed laty Artur Sandauer, wywołując polemiczną furję, zarzucił wielu twórcom koniunkturalną zmianę sztanarów. Zmienili się raptem, twierdził, bo zmienił się układ sił i znowu przyłączyli się do potężniejszych w danej chwili. Być może upraszcam tę argumentację, opakowaną była bowiem w erudycyjny kamuflaż, cechowała ją jednak głęboka niewiara w człowieka. To, co Sandauer uważał za koniunkturalizm i zmianę chorągiewki, było opowiedzeniem się po stronie silniejszych rąk moralnych, nie zaś po stronie słabszych. Czy po swoich doświad-

czeniach, wpisała się w paszkwilancki nurt zołyzdania dorobku Polski sanacyjnej i ukazała jej „odrażającą” agonie w „Węzłach Zycia”. A Kazimierz Brandys, ze swoją tetralogią „Między wojnami”, której ostatni tom nosi wiele charakterystyczne i jednoznaczny tytuł „Komunista nie umiera”? A wielu innych, pomniejszych, którzy nie zostawili tak widocznego śladu w postaci znaczącego dzieła, podpisanego własnym imieniem i nazwiskiem?

Przed laty Artur Sandauer, wywołując polemiczną furję, zarzucił wielu twórcom koniunkturalną zmianę sztanarów. Zmienili się raptem, twierdził, bo zmienił się układ sił i znowu przyłączyli się do potężniejszych w danej chwili. Być może upraszcam tę argumentację, opakowaną była bowiem w erudycyjny kamuflaż, cechowała ją jednak głęboka niewiara w człowieka. To, co Sandauer uważał za koniunkturalizm i zmianę chorągiewki, było opowiedzeniem się po stronie silniejszych rąk moralnych, nie zaś po stronie słabszych. Czy po swoich doświad-

Z tej ziemi

Kto potrafi przewidzieć?

18.03.1990

1. 11 marca 1990 roku rozpoczął się w Wilnie zupełnie nowy proces, którego skutki usiłują przewidywać politolodzy i politycy, ale którego skutków nie uda się dziś jeszcze przewidzieć. Tego dnia Rada Najwyższa Republiki Litewskiej stwierdziła w przyjętym akcie: „Wyróżając wolę Narodu, Rada Najwyższa Republiki Litewskiej postanawia i uroczyście proklamuje przywrócenie suwerennych praw Państwa Litewskiego, podeptanych przez obcą siłę w 1940 roku i ogłasza, że odąd Litwa znowu jest niepodległym państwem”.

Jednocześnie Rada Najwyższa Republiki Litewskiej podkreśla „swoje przywiązanie do zasad prawa międzynarodowego”, a także stojąc na gruncie zasad Aktu Końcowego KBWE z Helsinek z 1975 roku, „uznaje nielaruską przynależność” oraz „gwarantuje prawa człowieka, obywatela i wspólnot narodowych”.

Dziś, gdy to piszę, odbywają się wybory na Łotwie (niedziela, 18.03.1990), a wielu polityków i komentatorów zadaje sobie pytanie: — Czy Łotwa i Estonia pójdą w ślady Litwy? A w kolejce są przecież Mołdawia, Ukraina, Gruzja, Armenia i Azerbejdżan. Rosja — jak to zauważył Zbigniew Brzezinski — była więzieniem narodów, grobem narodów i stała się wulkanem narodów. Pod tym wulkanem Hefajstos podtrzymuje ogień podsycając go nacjonalizmami.

2. Rozwijające się dziś nacjonalizmy Wschodniej, Centralnej Europy i Azji biorą się nie tylko z „narodowościowej polityki” Józefa Stalina, ale z dzieł tej części świata. U ich podłoża leżą nie tylko naturalne dążenia narodów do samostanowienia o swoim losie, do posiadania własnego, niezależnego państwa, ale nakładają się na konflikty religijne, jak i na terytorialne przemiany dokonywane po pierwszej i drugiej wojnie światowej. Każde z państw Centralnej i Wschodniej Europy coś straciło w wyniku tych wojen, coś zyskało, ma do sąsiadów takie lub inne pretensje terytorialne. Węgry na przykład toczą spór z Rumunami o Transylwanię. Rumunia ma pretensje o Besarabię, Bułgaria o Macedonię... Ale w interesie spokoju w Europie nie leży, aby te pretensje stały się elementami polityki zagranicznej tych państw, gdyż mogłyby to doprowadzić do krwawych porachunków.

Litwini, którzy zapoczątkowali proces przebudowy — albo rozpadu? — Związku Radzieckiego, nie kochają Polaków, chociaż nam mogłoby się wydawać, że raczej powinni. Litwini nie mogą Polackom darować Unii Polsko-Litewskiej, choć oba ówczesne państwa były w trudnej sytuacji i groziło im wchłonięcie przez sąsiadów. „Złączenie krajów przez małżeństwo dwóch suwerennych państw” — pisze Paweł Jasienica w książce „Myśl o dawnej Polsce” — „było dla Litwy wyjściem idealnie szczęśliwym, przed obu krajami otwierało widoki, które wcale nie od razu były podobne do rzeczywistości ośmiu lat później”. Litwini mają za to polonizację szlachty, a ich narodowe dążenia ujawniły się dopiero w ostatniej ćwierci XIX wieku. Ich zdaniem — jak pisze Piotr Lossowski w książce „Po tej i tamtej stronie Niemna” — „Litwa oddała kulturze polskiej najpiękniejszych swych synów. Przecież i Mickiewicz, i Kondratowicz, Kraszewski i Lenartowicz, Chodźko i Odyńiec — to Litwini. Jako Litwini „Ausra” przedstawiła także Kościuszkę, ba, nawet Kopernika „zniekształconego Prusa”, w którego żyłkach „płynęła krew litewska”. Litwini dali Polakom dynastię Jagiellonów, Litwa podniosła działania Polski na taką wyżynę, jakiej Polacy sami nigdy nie byłiby w stanie osiągnąć”. Delegacja litewska odmówiła udziału w 1910 roku w uroczystościach odsłonięcia pomnika grunwaldzkiego w Krakowie.

3. W niedzielę, 11 marca 1990 roku, w Wilnie było święto, w poniedziałek padał deszcz. Z uwagą słuchano, co powie Moskwa. Jegor Litaczow wprawdzie wykluczył możliwość użycia siły na Litwie, ale stoi tam 130.000 żołnierzy Armii Radzieckiej Litwini, aby móc bronić swej samodzielnosci, muszą powołać własną armię, policję, służbę bezpieczeństwa, pocztę, ochronę celną, telekomunikację i to wszystko, co składa się na normalne funkcjonowanie każdego państwa. Moskwa najpierw uznała akt Rady Najwyższej Republiki Litewskiej za nieważny, a po wyborze prezydenta ZSRR — Michaiła Gorbaczowa — skierowała coś na kształt ultimatum. Zjazd Deputowanych Ludowych ZSRR uznał bowiem decyzję RN Republiki Litewskiej za nieważną i Litwa ma się do tego faktu ustosunkować. Co na to Litwa? Powiedziano tam, że ich akty obcego państwa nie obchodzą. To nawet ładnie powiedziane, tylko nie z tego nie wynika. Problema secesji Litwy coraz bardziej komplikuje się.

W stalinowskiej polityce narodowościowej — choć tego oficjalnie nie mówiono — zakładano wynarodowienie i przemieszanie narodów. Służyły temu deportacje. Powstał przez to dość skomplikowany układ narodowościowy w ZSRR. W 1987 roku w ZSRR było 281 mln 600 tys. mieszkańców, z tego w Rosyjskiej FSRR mieszkało 145 mln 300 tys. osób. Zbigniew Brzezinski podaje, że w ZSRR jest 145 mln Rosjan, ale nie mieszka. Oni tylko w Rosyjskiej FSRR. W Estonii jest 25 procent Rosjan, na Litwie i w Kirgizji — 30 procent, w Kazachstanie — 60 procent (w tym też Ukraińcy), a na Ukrainie — 20 procent Rosjan. W sumie przeszło 25 milionów Rosjan mieszka poza Rosyjską FSRR oraz 40 milionów nie-Rosjan mieszka poza narodowymi republikami i autonomicznymi okręgami. Nie wszędzie Rosjanie czują się najlepiej. Gen Kanarik oskarżył się dziennikarzem, że w republikach nadbałtyckich żołnierze radzieckich nazywają „okupantami” i niekiedy piją na ich widok. A przecież nie wszyscy żołnierze Armii Radzieckiej są Rosjanami. Co ci Rosjanie, którzy mieszkają poza Rosyjską FSRR, zrobią, gdy proces oddzielania się republik przybierze na sile? Oni są — i trudno im się dziwić — przeciwni temu procesowi. Ale jest to proces obiektywny.

Można go powstrzymać siłą, ale nie można zawrócić biegu historii. Użycie siły wobec secesjonistów w ZSRR może niebawem skomplikować sytuację w całej Europie i nie tylko. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Zjazd Deputowanych Ludowych ZSRR przygotowuje akt, który określa sposób odejścia ze Związku: referendum, zatwierdzenie go przez Radę Najwyższą ZSRR, plebiscyt, okres na przygotowanie pełnej niepodległości. Trudno dziś przewidzieć, kto i kiedy skorzysta z takiej możliwości? Jedno wydaje się chyba niepodważalne: kształt stworzonego przez Józefa Stalina Związku Radzieckiego jest już przetrzymaniem. Czy zastąpi go bardziej nowoczesna federacja autonomicznych rzeczywiście republik?

4. Najdziwniejsze może wydawać się to, że Zachód nie jest zupełnie zainteresowany tym procesem. Nikt nie ukrywa sympatii i poparcia dla naturalnych dążeń Litwinów, Łotyszów, Ukraińców czy Estonczyków, ale nikt nie uznaje niepodległej Litwy, choć na przykład Francja i USA — a zapewne i inne państwa — przypominają, że nie uznają aneksji Litwy, Łotwy i Estonii do ZSRR w 1940 roku. Wszyscy zgodnym chórem wyrażają nadzieję, że proces ten dokończy się w drodze pokojowych negocjacji. Też mam takie nadzieje.

Czego boi się Zachód? Boi się niczym diabeł święconej wody naruszenia istniejącego układu sił. A boi się dlatego, że upadek mocarstwa radzieckiego na wschodzie Europy może stworzyć zupełnie nieoczekiwane możliwości... zjednoczonym Niemcom. No i jeśli przypomni się, że w tym rejonie Europy — nie tylko zresztą w tym — każdy ma jakieś pretensje do kogoś innego. Terytorialne oczywiście. I jak to się wszystko ruszy, to... Lepiej nie wyobrażać sobie.

Nikogo nie straszą! Po prostu zastanawiam się nad tym, jak potoczą się losy tej części — i nie tylko tej — Europy? To wszystko.

KONRAD FREJDLICH

Wiele ludzi wypiera się dziś albo wstydzi przeszłości i to rozumieją. Ale wielu powinno się wstydzić, że jej nie ma i nie mało.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Problem dziewczęctwa

ciotem dla politycznego dreszczyka. Chodzi tylko o przełamanie barier getta, w jakim — choć z różnych powodów — żyły obydwa strony rozwijającą wzajemną nieufność i nie zawsze uzasadnione uprzedzenia”.

Polska nie zawsze była państwem stanu wyjątkowego, a chociaż trudno mówić o normalności w kraju pod rządami Bolesława Bieruta, wielu intelektualistów, nawet niezbyt sprzyjających komunistom czy wręcz wrogo do nich usposobionych zaciągnęło się na służbę do dyplomacji Rzeczypospolitej (nazwa PRL pojawiła się dopiero w r. 1952). Ksawery Pruszyński, Czesław Miłosz, Antoni Słonimski — nazwiska te mówią same za siebie. Byłoby nieuczciwie stwierdzić, że inteligenci z entuzjazmem witali proces postępującego zniewolenia umysłów, ale na pewno będzie przesadą twierdzenie, że w swojej masie równie zdecydowanie opierali się Bolesławowi Bierutowi, jak później generałowi Wojciechowi Jaruzelskiemu.

W 1956 r. Witold Gombrowicz zapisał w swoim „Dzienniku”:

„W krajach burżuazyjnego Zachodu, we Francji lub we Włoszech, markizem jest nieśkończenie głębiej przeżywanym. Podczas gdy w Polsce jest on tylko systemem społecznym, w którym się żyje — którego się nie przeżywa. Polska — jeden z krajów najmniej marksistowskich świata”.

Z argentyńskiego oddalenia wielki przemawia, który odrzucał programowo komunizm jako ideologię, ograbiłą człowieka z cząstką człowieczeństwa, wypowiedział słowa proroczo celne. W parę tygodni po rozpadzie PZPR o rząd dusz walczyły dwie socjaldemokraty, wyprowadzona z podziemia i też podzielona PPS, rozbiła na segmenty ludowej esdęcy, pravicowi i lewicowi chrześcijanie, narodowy, liberalny i konserwatyści wszystkich odcieni, na placu boju zabrakło tylko marksistów, których do niedawna, przynajmniej oficjalnie, było w Polsce najwięcej. Cóż, uczniowie brodatego filozofa prawdopodobnie zajęci są teraz czytaniem „Kapitału” spodziewając się, że w biblii komunizmu znajdą receptę na robienie pieniędzy, które będą im potrzebne na przeżycie, do pierwszego Po jakimś czasie, zupełnie uleczeni, włączą się w nurt bożytywnych przemian jak turyt innych przed nimi. Po jakimś czasie zaczną obnosić swoją wymuszoną czystości i gromić lewicę za błędy czterdziestu pięciu lat

Wielu ludzi wierzyło ponownie, bo życie bez wiary i nadziei prowadzi do moralnej próżni, na barykady albo do szpitala psychiatrycznego. Wielu jednak na szczęście nie uwierzyło — poszerzył się szereg opozycji. Tej, działającej jawnie, wystawionej na ciosy aparatu przemocy jak ROPCIO, KOR czy KPN i tej ukrytej, choć już nie bierno, organizującej zbiorową świadomość żonglerka słów na granicy cenzuralności.

Nie był to wallenrodyzm, tylko odruch moralny długo gwałconych sumień. To właśnie wtedy Andrzej Wajda stworzył swoje najambitniejsze dzieła, wyrastając na artystę przemawiającego, nie tyle w imieniu, co do upodłego narodu, pewny, że znajdzie zrozumienie. Jak w latach zabobów sztuka musiała zastępować nie istniejącą, wciąż oficjalnie opinię, publiczną; milcząca większość coraz częściej identyfikowała się z prawdami, których sama nie mogła albo nie potrafiła wyartykułować. Aby nagrodzić swoich, dyspozycyjnych twórców, reżim coraz częściej musiał rozdawać laury także ludziom przyswojonym, a nawet wybitnym.

Jest to dowód, że w Polsce, pomimo totalitaryzmu, pojawiła się szcążkowa opinia publiczna, z którą władza komunistyczna musiała się liczyć. Jan Pietrzak, chociaż jest absolwentem Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR, zrobił więcej dla rozmontowania systemu niż polityczne dziełce, które jeszcze i dzisiaj obnoszą się ze swą cnotą mówiąc z satysfakcją: myśmy w tym nie uczestniczyli! Front odmowy miał swoje uzasadnienie w okresie stanu wojennego, kiedy reżim po raz kolejny zrzucił maskę. Ale nawet wtedy problem ten nie był bynajmniej jednoznaczny: chodziło przecież o to, jakie mają być granice tej odmowy.

Kompromis zawarty przez Lecha Wałęsę sprawił, że działając po jego stronie jest nie tylko siła moralna, ale i siła realna: ośrodek decyzyjny politycznych prądów się z Warszawy do Gdańska. Choć „Lechu” lubi kokietować, nie obnosi się zbytnio ani ze swą cnotą ani z kombatanctwem: kiedy trzeba, mówi świadomie i zawiśle, ale kiedy umeza za stosowne, nie owija spraw w bawełnę: „Jeśli zajdzie potrzeba, znowu przeskoczą przez ten płot”. Niezbyt wielu zdecydowało się przez ten płot przeskoczyć ani nawet do niego zbliżyć, kiedy to było niebezpieczne, wolało go oglądać przez lornetkę albo w telewizji. Teraz garna się do Komitetów Obywatelskich, pchają się na afisz, przecie cierpliwie czekali, aż znowu znajdziemy się we własnym domu.

Wiele ludzi wypiera się dziś albo wstydzi przeszłości i to rozumieją. Ale wielu powinno się wstydzić, że jej nie ma i nie mało.

W 1956 r. Witold Gombrowicz zapisał w swoim „Dzienniku”:

„W krajach burżuazyjnego Zachodu, we Francji lub we Włoszech, markizem jest nieśkończenie głębiej przeżywanym. Podczas gdy w Polsce jest on tylko systemem społecznym, w którym się żyje — którego się nie przeżywa. Polska — jeden z krajów najmniej marksistowskich świata”.

Z argentyńskiego oddalenia wielki przemawia, który odrzucał programowo komunizm jako ideologię, ograbiłą człowieka z cząstką człowieczeństwa, wypowiedział słowa proroczo celne. W parę tygodni po rozpadzie PZPR o rząd dusz walczyły dwie socjaldemokraty, wyprowadzona z podziemia i też podzielona PPS, rozbiła na segmenty ludowej esdęcy, pravicowi i lewicowi chrześcijanie, narodowy, liberalny i konserwatyści wszystkich odcieni, na placu boju zabrakło tylko marksistów, których do niedawna, przynajmniej oficjalnie, było w Polsce najwięcej. Cóż, uczniowie brodatego filozofa prawdopodobnie zajęci są teraz czytaniem „Kapitału” spodziewając się, że w biblii komunizmu znajdą receptę na robienie pieniędzy, które będą im potrzebne na przeżycie, do pierwszego Po jakimś czasie, zupełnie uleczeni, włączą się w nurt bożytywnych przemian jak turyt innych przed nimi. Po jakimś czasie zaczną obnosić swoją wymuszoną czystości i gromić lewicę za błędy czterdziestu pięciu lat

KONRAD FREJDLICH

Wiele ludzi wypiera się dziś albo wstydzi przeszłości i to rozumieją. Ale wielu powinno się wstydzić, że jej nie ma i nie mało.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Dziesiąty lutego tysiąc dziewięćset czterdzieści rok. Dzień mroźny. Termometr wskazywał 30 stopni poniżej zera. W przeddzień połubił mnie choro- ba (grypa lub przeziębienie). Zasnąłem w temperaturze powyżej 39 stopni.

10 lutego 1940 r.

Przed świtem, otworzyły się drzwi mojego kawalerskiego pokoju. W drzwiach stał miejscowy cywil (nazwiska nie pamiętam) z czerwoną opaską na rękawie, za nim oficer — lejtnant Czerwonej Armii, młody około 22 lat. Z wyglądu dość sympatyczny. Oficer zapytał mnie, czy to ja jestem leśniczym Jan Księżniak. Odpowiedziałem, że tak. Lejtnant, w spokojnym tonie oświadczył po rosyjsku: — proszę spać w tym miejscu i pojeździć z nami. — Zdziwiony byłem, bo przecież same władze radzieckie przyjęły mnie do pracy w Nadleśnictwie Krynki, początkowo na stanowisko leśniczego leśnictwa Talkowszczyzna a następnie mianowały mnie nadleśniczym Nadleśnictwa Krynki. Zapytałem dokąd jedziemy? Lejtnant, również spokojnym tonem oświadczył: — zostaniecie przewiezieni do innej obłast, gdzie pracować będziecie w swoim zawodzie, bo i nam specjaliści są potrzebni.

Po zapakowaniu rzeczy osobistych, które zmieściły się do jednej walizki, co trwało niewiele ponad 10 minut, przesiadliśmy w trójkę przez korytarz do kancelarii, w której skrzętnie porządkował biurko i składał mapę drzewostanową Nadleśnictwa Krynki, starszy pan a podległy mi wówczas leśniczy leśnictwa Studzianka — Piotr Duda. Pan Duda, poprzedniego dnia przybył z odległej o 10 km leśniczówki w Studziance, by pomóc mi opracować pięcioletni plan żywcowania sosny.

Przed domem stała podwoda (sanie ze skrzynią) i krecili się jacyś ludzie. W odległości około 300 m przed budynkiem dawnego biura Nadleśnictwa Krynki z siedzibą w Poczeku (powiat Sokółka), w którym urzędowało biuro „Lesouczastka”, stała również podwoda przeznaczona dla leśniczego Władysława Chojnackiego, którego także dotknął sowiecki awans bowiem mianowano go „naczelnikiem lesouczastka”.

Zaspy śnieżne nie pozwalały na szybszą jazdę. Jechaliśmy wolno w zamysleniu, słuchając skrzypiących po śniegu san i ja w dodatku z gorączką. Eskortujący nas żołnierze i jakiś cywil z czerwoną opaską na rękawie (oba z karabinami), biegnąc dla rozgrzewki przy sanach wskakując na nie od czasu do czasu dla oddechu. I tak, dojechaliśmy do miejscowości Szudziałowo (powiat Sokółka). W budynku po dawnym posterunku policji państwowej zatrzymaliśmy się.

Pan Duda ciągle niepokoił się o rodzinę, a po jego policzkach ścierały łzy. Siedzieliśmy w oddzielnym pomieszczeniu tylko we dwóch. Gdy się zapytałem, co sądzi o tym wszystkim, odpowiedział: — na pewno jedziemy na Sybir.

Następnego dnia o świcie 11 lutego 1940 r. podstawiono podwode. Ruszyliśmy w dalszą drogę, eskortowani przez tych samych „opiekunów” co wczoraj. Jechaliśmy szosą w kierunku stacji kolejowej Sokółka, odległej od Szudziałowa około

(zależało co kto zdołał zabrać). Spotkałem tu znajomych leśników z Nadleśnictwa Kumiałka, a także pracowników prywatnych majątków z okolic Sławy (pow. Sokółka). Był również przełożony mojego ojca leśniczy Bronisław Rokicki z żoną będącą w ciąży.

Z tego, co zaszło 10 lutego 1940 r. można wysunąć wniosek, że władze radzieckie, przy pomocy miejscowej ludności a szczególnie Białorusinów, Ukraińców i Żydów, którzy założyli czerwone opaski na rękawy ja-

zmarło dziecko? — Trupa zabrano a drzwi wagonu zatrzaśnięte się. Pociąg ruszył w dalszą drogę. Matka zmarłego dziecka zemdziała. Warunki sanitarne były okropne. Dziura wycięta w podłodze — to była ubikacja. Do „ubikacji” kolejni. Dzieci często nie wytrzymały... W wagonie smród. W takich warunkach odbywały się porody.

W Baranowiczach, przeładowano nas do wagonów docelowo wyznaczonych do szerokiej torów. Minęliśmy Mińsk, Homel, Tu-

1929 r.), otrzymała przydział do baru nr 9 kwatery nr 15. Kwatery w baraku, poprzegradane były deskami do 3/4 wysokości. Nasza kwatera była 1,80 m szeroka i 3,5 m długa. Wewnątrz kwatery po prawej stronie przymocowane były do cienkiej ścianki cztery przycepiętrowe o szerokości 60 cm. Piąte miejsce dla Mamy, urządziliśmy już sami po lewej stronie kajuty. Podobnych kwater w tym baraku było 24 a więc dla 24 rodzin. Przez środek baru biegł korytarz a po jego obu krańcach zainstalowane były żelazne piecyki dwufajerkowe, z rurkami blaszanymi wprowadzonymi na zewnątrz dachu baru. Te dwa piecyki, służące 24 rodzinom do gotowania strawy i zimą zarazem do ogrzewania baru.

Trzeciego dnia ogłoszono, by wszyscy udali się na plac zbiórki, celem wysłuchania informacji i zapoznania się z regulaminem, jaki od tej chwili będzie nas obowiązywał. Na przewidywanym urzędowym podium stał przedstawiciel NKWD z Tajszeu w stopniu lejtnanta o nazwisku Surikow oraz miejscowy komendant i kilku innych z administracji „lesouczastka”.

Przedstawiciel NKWD przemawiał długo. Posługiwał się frazami o sile i potęgę Związku Radzieckiego, o sile ustroju, o mądrości Stalina. Dla nas, Polaków, najbardziej przykre były fragmenty przemówienia odnoszące się z pogardą do Polski, która — jak określił — została wymazana z mapy raz na zawsze. Wracając się w dalszym ciągu do nas, lejtnant powiedział też: — przywieźliśmy was tu dlatego, że stanowicie niebezpieczny element, który na odzyskanych przez nas terenach Zachodniej Ukrainy i Białorusi przeszkadzałby w wprowadzeniu przez nasze władze nowego ładu i porządku. Tu, w tajdze, wasze życie, to wasza praca. Kto nie pracuje ten nie je. Długo rozodził się na temat przyjaźni radziecko-niemieckiej odnosząc się z pogardą do Anglii, do której udal się nasz rząd.

Rozdzielono nas dorosłych na robocze brygady. Z nieletnich stworzono brygady do „lepszych prac”: „pacanowskiej brygady”. Naczelnikiem naszego „lesouczastka Udacznij” był lejtnant Gudzinow. Chodził w mundurze wojskowym a na paskach żołnierza miał trzy czerwone kwadraki. Z NKWD w Tajszeu często przyjeżdżał lejtnant Surikow, który dość często wzywał różne osoby do „komandantury” na rozmowy. Niestety, były wśród nas — na szczęście nieliczne — osoby, które za cenę leższej pracy, zostały zwerbowane przez lejtnanta Surikowa na donosieli. Za ich sprawą aresztowano kilka osób i osadzono w więzieniu. Z naszego „lesouczastka Udacznij”, pewnej nocy zostali zabrani i wywiezieni do więzienia w Irkucku leśni-

czy Józef Rochalski z Nadleśnictwa Kumiałka, który zmarł w więzieniu, Michał Gałęj z Nadleśnictwa Sokółka, który po amnestii wrócił na Udacznij do rodziny lecz był już w takim stanie, że wkrótce zmarł, Edward Malibó z tegoż Nadleśnictwa, z którym po wojnie widziałem się, miał sztywną jedną nogę na skutek tortur. Już nie żyje.

W drugiej turze zabrano w nocy Kazimierza Waluka i Paska (imięcia nie pamiętam). Kazimierz Waluk, młody 1918 rocznik, absolwent średniej szkoły rolniczej w Żyrowicach k/Słonia wrócił po amnestii na Udacznij cały spuchnięty od szkorbutu (cynga). Ten właśnie Kazimierz Waluk znalazł się w Wojsku Polskim organizowanym w Sielcach nad Oką, został później generałem brygady i pracował w Komisji Planowania Gospodarczego. Zmienił nazwisko na Waluchowski. Zmarł już sporo lat temu.

Długa droga do Polski.

Najradośniejszym dla nas dniem był dzień, w którym dowiedzieliśmy się o wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej. Gdyby nie ta wojna to kości moje struchlałyby już dawno w ziemi syberyjskiej tak jak struchlały mojego ukochanego Ojca i wielu tysięcy Polek i Polaków. Wojna niemiecko-radziecka, wzbudziła w nas nadzieję na powrót do Ojczyzny mimo że trudno wówczas było wyobrazić sobie, w jakiej formie ten powrót może nastąpić. Trudno było wyobrazić sobie, że do Polski będę wracał poprzez Ural, cofając się z Orenburga do Uzbekistanu, by z przystani Farb płynąć Amu-Darią do Nukusu i znaleźć się w Karakalpackiej ASRR. Potem był powrót Amu-Darią w okolice Buchar, następnie więzienie w Romentanie koło Buchar (od 6.01.1942 do 9.03.1942) i wreszcie wojsko polskie (1942-1943 Piechoty), Pustynia Karakum, potem Krasnowojsk (13.08.1942), Morze Kaspijskie, Iran, Irak, Egipt, Palestyna, Morze Śródziemne. Było ładowanie we Włoszech w porcie Taranto i wreszcie poprzez bitwy 2 Polskiego Korpusu jako żołnierze 7 Pułku Artylerii Konnej (od rzeki Sango) (2.02.1944) poprzez Monte Cassino, Loreto, Ankona, Liria, Góty, Pesaro, Dolina Lombardecka, rzeka Senio i na Bolonii kończąc. Po wojnie, znów przez Morze Śródziemne, Atlantyk, Anglię, a z Anglii znów przez Atlantyk, Morze Bałtyckie w lutym 1948 roku wyładować w Gdyni.

Nielatno było po tych katorżniczych wprost przeżyciach w Związku Radzieckim, podjąć decyzję powrotu do Kraju wędrując, że ten Kraj jest pod dominacją Związku Radzieckiego...
Równoległe z akcją wysiedlenia toczyły się poufne rozmowy polsko-niemieckie, o których lakonicznie komunikowała prasa. Półoficjalna „Gazeta Polska” z 29 października 1938 r. przyniosła notatkę agencji PAT o proteście rządu polskiego przeciw usuwaniu Żydów z Rzeszy. W dniu następnym łódzkie „Echo” zamieściło kolejny komunikat PAT oznajmiający o wstrzymaniu wysiedlenia Żydów z Niemiec i cofnięciu odwetowych decyzji rządu polskiego.

Zbąszczyński dowódca konwoju policyjnego przjął i wykonał rozkaz całkowitego wstrzymania wysiedlenia.

Równoległe z akcją wysiedlenia toczyły się poufne rozmowy polsko-niemieckie, o których lakonicznie komunikowała prasa. Półoficjalna „Gazeta Polska” z 29 października 1938 r. przyniosła notatkę agencji PAT o proteście rządu polskiego przeciw usuwaniu Żydów z Rzeszy. W dniu następnym łódzkie „Echo” zamieściło kolejny komunikat PAT oznajmiający o wstrzymaniu wysiedlenia Żydów z Niemiec i cofnięciu odwetowych decyzji rządu polskiego.

Restrykcyjna akcja wysiedlenia obywateli Rzeszy bez wątpienia przyniosła efekt w postaci wstrzymania przez hitlerowców dalszych masowych deportacji, postawiła jednak dyplomację polską w dwuznacznej, z etycznego punktu widzenia, sytuacji. Żydzi polscy przebywający w państwie Adolfa Hitlera, zagrożeni tam rabunkami i represjami potraktowanymi zostali jak obywatele drugiej kategorii. Warszawa uczyniła wszystko, aby nie dopuścić do ich powrotu do Polski, nie potrafiła też skutecznie pomóc im o ich miejsce. Zamiar deportowania w odwet Żydów niemieckich uznać należy za głęboko niemoralny, gdyż występował tych ludzi na bezpośrednie niebezpieczeństwo ze strony hitlerowców. Sprawy zbąszczyńskiej nie można w żadnym razie uznać za chlubną kartę w dziejach polskiej dyplomacji.

JANUSZ WRÓBEL

Wspomnienia

Najpierw była syberyjska katorga

JAN KSIĘŻNIAK

22 km. W czasie tej właśnie jazdy, zacząłem sobie uświadczać, że pan Duda ma rację.

Na stacji kolejowej Sokółka.

Dobrze pamiętam do stacji kolejowej Sokółka. Dojeżdżając do stacji spostrzegłem, że żołnierze-krasnoarmiejcy, prowadzą pod karabinem mojego rodzinnego brata Jerzego (rocznik 1922) — ucznia II klasy liceum humanistycznego w Białymstoku, mieszkającego na prywatnej stacji w Sokółce, skąd pociągami dojeżdżał do szkoły w Białymstoku. W 1938 r. ukończył Gimnazjum im. J. Piłsudskiego i zaczął uczyć się w Liceum im. Z. Augusta. Jurek wzrokiem dał mi do zrozumienia, bym nie przyznawał się do niego.

Na torach kolejowych stały wagony załadowane ludźmi różnego wieku i płci. Przez małe okienka z kratami towarowych wagonów wyglądały twarze znajomych mi leśników z Nadleśnictwa Kumiałka, gdzie pracował mój ojciec jako gajowy i ja odbywałem praktykę leśną. Z okienka jednego z wagonów wydobyl się rozpaczliwy głos mojej Matki, która pilnie śledząc ruch na peronie (dowodził on coraz to nowe rodziny i pojedyncze osoby) wypatrzyła nas. Na peronie był lejtnant, który złożył mi wczoraj „wizytę” w Nadleśnictwie Krynki. Oznajmiłem mu, że w jednym z wagonów jest moja rodzina i chciałbym być razem z nią. Oczywiście, wkrótce z bratem Jurkiem znaleźliśmy się w wagonie a matka tułać nas w objęciach oblewała łzami. Stanisław (rocznik 1914 obecnie Szablewska — wdowa, zamieszkała w Łodzi), która była nauczycielką w szkole powszechnej we wsi Rozodranka (pow. Sokółka).

W wagonie było ciasno, około 60 osób z różnymi bagażami

ko tymczasowa milicja i przeszli na usługi NKWD — przygotowały masową deportację polskich rodzin. Objeli nią osiem województw: tarnopolskie, stanisławowskie, lwowskie, wołyńskie z siedzibą w Lucku, poleskie z siedzibą w Brześciu, białostockie, wileńskie i nowogrodzkie.

Kogo wywieziono?

W pierwszej masowej deportacji, która mnie i moją rodzinę dotknęła, były głównie rodziny leśników i osadników wojskowych z Kresów Wschodnich. Deportacją objęto również rodziny policjantów oraz innych pracowników państwowych lub prywatnych majątków. Leśnicy, osadnicy wojskowi i inni pozostawili cały swój dobytek, dorobek wieloletniej harówki. Moi rodzice, pozostawili dwie dorodne krowy, jałówek, kilka tuczników, drób, sprzęt gospodarstwa domowego, meble, maszynę do szycia (Mama dorabiała szyciem) i wiele innych przedmiotów. Ojciec pracował jako tkacz w fabryce dywanów w Łodzi a matka jako szwaczka w fabryce kapeluszy.

Rodzice, oboje byli łodzianami i ja urodziłem się w Łodzi. Ojciec, w czasie II wojny światowej, służył w carskiej armii, otruty został gazem bojowym i jak pamiętam z opowieści przebywał w szpitalu w Odesie. Ten fakt otrucia gazem zdecydował, że wybrał służbę w lasach.

W drodze na Sybir.

Podróż trwała trzy tygodnie. W jednym z wagonów zmarło dziecko. Fakt ten zgłoszono eskortującym żołnierzom. Na jednej ze stacji, gdy zatrzymał się pociąg, otworzyły się drzwi wagonu a w nich ukazał się krasnoarmiejec z bagnietem na karabinie. Zapytał: — czy tu

ję, Penze, Kujbyszew, Ufe, Czeliabińsk, Omsk, Nowosybirsk, Tomsk, Krasnojarsk i zatrzymaliśmy się w Tajszeu (między Krasnojarskiem a Irkuckiem).

W Tajszeu przetoczono wagony na boczną linię, prowadzącą do ośrodka łagiernego zwanego Kwitok. Była to bocznica głównej magistrali kolejowej Moskwa—Władywostok. Służyła do wywozu drewna z intensywnie eksploatowanej tajgi. W Kwitoku odczepiono kilka wagonów i pozostawiono. Resztę wagonów przetoczono na boczne tory wiodące do następnych łagrów: Toporok, Zolotaja Gorka i Udacznij. Nasz wagon skierowano w głąb tajgi do łagru Udacznij. Państwo Dudowie i Chojnacki trafili do Kwitoka.

3 marca 1940 roku byliśmy na miejscu. Czekaliśmy na nas drewniane — i jak się później okazało — zapluskowane baraki, z których przed naszym przyjazdem usunięto więźniów do innych łagrów. Czekaliśmy na nas ta sama praca przy eksploatacji tajgi, którą wykonywali przed nami więźniowie.

Łagry — zwane obecnie „lesouczastkami” lub posiołkami — Kwitok, Toporok, Zolotaja Gorka i Udacznij wraz z „podkomandzierówkami”, podlegały Tajszetlag NKWD. „Podkomandzierówkami” były to wybudowane pojedyncze baraki, w celu skrócenia drogi dojazdu do pracy w związku z powiększającym się kręgiem eksploatowanej powierzchni tajgi. „Podkomandzierówkami” podlegały administracyjnie poszczególnym „lesouczastkom”.

Lesouczastok Udacznij

Każda rodzina, otrzymywała kartkę z numerem baru i numerem kwatery. Moja rodzina, składająca się z 5 osób (Ojciec Stanisław ur. w 1887 r., matka Helena ur. w 1889 r., ja ur. w 1922 r. i brat Zdzisław ur. w

też procedurę deportacji. Natychmiast po doręczeniu nakazu osoby przeznaczone do wydalenia miały aresztować, a następnie pod konwojem policyjnym odstawić do punktu zbiorczego w Sieradzu, skąd pociągami nr 511 odcho- dzącym o godz. 1,49 w dniu 30 października 1938 r. przetransportować do granicy. Zdecydowano, aby zezwolić deportowanym na zabranie jedynie 10 zł na osobę, analogicznie do zarządzenia hitlerowców, którzy pozostawili Żydom polskim jedynie podręczny bagaż i 10 marek.

Wydawało się, iż puszczona w ruch machina policyjna bez przeszkód przeprowadzi akcję wysiedlenia. Tymczasem w ciągu 29 października 1938 r. wojewoda łódzki odebrał kilka poleceń od ministra spraw wewnętrznych anulujących poprzednie decyzje w tej sprawie. Najpierw telegraficznie zarządzone wydalenie Żydów niemieckich wraz z całym rodzinami, podczas gdy w przypadku Niemców, tylko mężczyźni — głównie w wiekiem, o godz. 21,20 MSW, powołując się na zalecenia ministra spraw zagranicznych, polecił ograniczyć akcję deportacji obywateli niemieckich jedynie do osób narodowości żydowskiej. Na tym jednak nie koniec.

W godzinę później zdumiony wojewoda odebrał kolejny fonogram od swych zwierzchników w Warszawie nakazujący wstrzymanie całej akcji. Zmieniające się z godziny na godzinę dyspozycje władz centralnych spowodowały spore zamieszanie. Starosta powiatu łódzkiego, nad ranem 30 października 1938 r. poinformował, iż nie jest w stanie cofnąć wysiedlenia, gdyż obywateli niemieckich odstawiono już do punktu zbiorczego na Dworcu Kaliskim w Łodzi. Przybywali tu także konwojowani przez uzbrojonych policjantów obywatele niemieccy z Łodzi.

Wiadomość o wysiedleniach dotarła szybko do konsulatu Rzeszy. Konsul von Berchem-Königsfeld udał się niezwłocznie na dworzec i interweniował starając się wstrzymać akcję. Mimo wysiłków dyplomaty niemieckiego, obudnie ujmującego się za wysiedlanymi Żydami niemieckimi, transport z Łodzi wyruszył do Sieradza. Dotarli tam również deportowani z innych powiatów województwa łódzkiego. Przed odjazdem pociągu starosta sieradzki otrzymał polecenie wojewody nakazujące zwolnienie rodowitych Niemców, a kontynuowanie akcji wysiedlenia wobec Żydów niemieckich. Po przeprowadzeniu selekcji pociąg nr 511 ruszył ku granicy niemieckiej. Dopiero na przejściu granicznym w

Mało znany epizod z dziejów najnowszych Polski.

Pociąg nr 511

Późną jesienią 1938 r. minister spraw zagranicznych III Rzeszy Joachim von Ribbentrop wysunął w rozmowie z ambasadorem Józefem Lipskim żądania terytorialne pod adresem Polski. Równocześnie rozpoczęły się brutalne nazijskie hitlerowców nie mające nawet precedensu, w dotychczasowych stosunkach pomiędzy o- bu krajami, obciążonymi przecież od dawna wzajemną wrogością. Niepoślednią rolę odegrała tu sprawa Żydów, obywateli polskich, zamieszkałych stale w Niemczech. Od pierwszych dni po objęciu władzy, nazisli represjonowali Żydów; poddali ich wszechstronnej dyskryminacji. Żydzi, obcokrajowcy przebywający w Rzeszy, jako pozostający pod opieką innych państw, początkowo uniknęli prześladowań. Już jednak w połowie 1938 r. Adolf Hitler uznał, że „Żydzi zagraniczni powinni być w zasadzie traktowani analogicznie jak wszyscy Żydzi, niezależnie od ich przynależności państwowej”, co stanowiło niedwuznaczną zapowiedź rozciągnięcia na nich wszystkich antysemickich przepisów wydanych w Niemczech. Na konkretne poniesienia nie trzeba było długo czekać. Przystąpiono do rejestracji mienia ludności żydowskiej z zamiarem jego zagarnięcia na potrzeby forso- wanych zbrojeń. Na tajnej konferencji, w po- łowie października 1938 r., postanowiono doszczętnie ograbić wszystkich Żydów przebywających w Rzeszy.

Album starej Łodzi

W kufrze prababci, w komodzie babuni, w szufladzie dziadka leżą stare fotografie, rodzinne albumy. Wylania się z nich nasza przeszłość. Ale tylko wtedy, gdy je oglądamy, gdy wyjmujemy je ze starego kufra, z komody, z szuflady. Wylania się z nich stara Łódź, która bezpowrotnie odeszła w przeszłość, a do której wraca się wspomnieniami.

Nie znany nam człowiek, z którym spotkaliśmy się pierwszy i może ostatni raz, wyciąga z portfela stare, pogniecione zdjęcie i mówi: — Oto moi rodzice. Jeszcze sprzed wojny. Tylko nie wiem, gdzie to zdjęcie zrobiono, na jakiej ulicy Łodzi.

Dzisiaj prezentujemy obok dwa zdjęcia. Fragment ulicy Wschodniej z początku XX wieku oraz widok dzisiejszy. Biała strzałka pokazuje balkon mieszkania, w którym Józef Piłsudski drukował „Robotnika”. Tymi zdjęciami chcemy rozpocząć tworzenie ALBUMU STAREJ ŁODZI. Byłby to album, w którym obok starych zdjęć publikowalibyśmy ich współczesne odpowiedniki.

Zwracamy się więc do Czytelników z propozycją: — sięgnijcie do kufrow babuni, do komód, do szuflad i poszukajcie starych zdjęć Łodzi. Prześlijcie je do redakcji „Odgłosów”.

Oto nasz adres: Redakcja tygodnika „Odgłosy”, 90-113 ŁÓDŹ, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5. Z dopiskiem: „Stara Łódź”. Czekamy!!



GDZIE PRZESYLAĆ WIADOMOŚCI O STALINOWSKICH ZBRODNIACH?

W dniach 7-8 marca br. w Głównej Komisji BZH w Polsce — Instytucie Pamięci Narodowej odbyła się narada, poświęcona problematyce badania zbrodni popełnionych przez funkcjonariuszy hitlerowskiego i stalinowskiego aparatu terroru oraz przez banderowców, na obywatelach polskich w latach II wojny światowej i w związku z nią. Podsumowano i uściślono dotychczasowy podział kompetencji poszczególnych Okręgowych Komisji w zakresie badania zbrodni na b. Kresach Wschodnich, a mianowicie:

— woj. wileńskie i nowogródzkie — badania prowadzi Okręgowa Komisja w Łodzi (ul. Piotrkowska 149, 90-440 Łódź, tel. 35-78-47)

— woj. poleskie i powiaty Grodno oraz Wołkowysk — Okręgowa Komisja w Białymstoku (ul. Bema 11, 15-369 Białystok, tel. 27-33-34)

— woj. wołyńskie — Okręgowa Komisja w Lublinie (ul. Krakowskie Przedmieście 43a, 20-076 Lublin, tel. 21-64-43)

— woj. tarnopolskie i stanisławowskie — Okręgowa Komisja w Krakowie (ul. Mikołajska 4, 31-027 Kraków, tel. 21-11-00)

— woj. lwowskie — Okręgowa Komisja w Rzeszowie (pl. Gwardii Ludowej 3, 35-032 Rzeszów, tel. 37-42-27 wew. 44)

Nadto ustalono, że n.w. Okręgowe Komisje będą opracowywały kompleksowo następujące zagadnienia:

— Białystok — deportacje obywateli polskich w głąb ZSRR, w latach 1939-1941.

— Łódź — zbrodniczą ewakuację więźniów na Kresach Wschodnich w czerwcu 1941 r.

— Kielce (ul. Żeromskiego 26, 25-370 Kielce, tel. 47-25-57)

— zbrodnie na ludności wiejskiej.

W uzgodnieniu z Przewodniczącym Głównej Komisji Ministrem Sprawiedliwości Aleksandrem Benikowskim przyjęto, że wszystkie Okręgowe Komisje, poza podstawowymi czynnościami w zakresie badania i ścigania zbrodni hitlerowskich będą gromadziły dokumentację dotyczącą zbrodniczego łamania prawa, na obszarze swego działania, w okresie do 1956 r.

GKBZH w Polsce — Instytut Pamięci Narodowej zwraca się z apelem do wszystkich organizacji, instytucji i stowarzyszeń zajmujących się problematyką zbrodni popełnionych na obywatelach polskich w latach 1939-1956 o pomoc i współpracę przy realizacji tych patriotycznych zadań. Prosimy zwracać się: Głównej Komisji BZH — Instytut Pamięci Narodowej, 00-950 Warszawa Al. Ujazdowski 11, mgr Marek Masiulan, tel. 28-16-82

Droga Wina. Kiedy do Alzacji wjeżdża się od strony środkowej Francji, należy pokonać trzynastokilometrowy tunel pod Wogezami. Tę stosunkowo niewielką odległość w podziemnym korytarzu przejeżdża się z zapartym tchem. Zdaje się, że nigdy nie wyłoni się światło. Ma się uczucie, że odległość się powiększa. Jednak kiedy w mrokach pojawiły się przebliski dnia, wraz z nimi odsłoniła się przepiękna kraina. Z daleka zaznaczyły się wieże kościołów, górujące ponad czerwonymi dachami domów, które otaczają zielone winnice. Jest to pejzaż osobliwy, nie spotykany gdzie indziej, bowiem rozciąga się on na słonecznym zboczu gór, wzdłuż jednej linii, na odcinku stu kilometrów.

Pan Kozłowski okazał się potomkiem starej emigracji za ocean z Poznańskiego. Urodził się w Chicago. W czasie wojny z wojskami alianckimi walczył w Normandii. Teraz po 45 latach przyjechał obejrzeć Europę ponownie. W Polsce nigdy nie był, ale zachował język polski, choć od śmierci matki czyli od dwudziestu lat nie miał okazji posługiwać się mową ojców. Wzruszający był dla mnie fakt, że profesor szanowanego uniwersytetu w Stanach mówił prostym językiem polskich chłopów, lecz mówił po polsku. Kiedy podałem nam wizytówkę, Alzacyzcy zainteresowali się tym. Mimo moich wyjaśnień odnośnie szerególnego losu Polaków, czułem, że jest to dla nich ciekawe, lecz trudne do zrozumienia.

skiego Alzacyzcy uważali, że zjednoczenie Niemiec nie jest problemem „na jutro”. Przynajmniej chcieli, aby tak było. Tymczasem olbrzymie parcie niemieckie, proces ten przyspiesza w tempie, którego nikt się nie spodziewał.

W Alzacji znów powrócił problem granicy, która tyle razy była przesuwana. Zamek le Haut Koenigsbourg, kiedy wylania się z mgieł ponad równiną alzacką, ciągle o tym przypomina. Potężna forteca obronna wzniesiona przez Hohenstauffenów w XII w. należy dziś do zabytków Francji, ale Niemcy uważają ją za własną, bowiem władca niemiecki ją ufundował, a następnie władca niemiecki Guillaume II budowę tę wskrzesił z ruin. Alzacyzcy są znów zaniepokojeni. Na własnej skórze odczuli jak

nie zabrakło ani rosyjskiego, ani polskiego, nawet japońskiego.

Do niedawna odbywała dalekie podróże, ostatnio była w Związku Radzieckim. W swoim środowisku jest osobą bardzo szanowaną, bo mimo podeszłego wieku jest pogodna, życiwa, interesuje się światem. Powiedziała mi, że jak tylko spojrzę na Strasbourg, to ona już wie, co w trawie piszczy. Przeżyła dwie wojny i Europa nigdy nie powinna dopuścić do tego, aby dać Niemcom zbyt dużą swobodę. Niepokoi ją także los własnych wnuków, bo uważa, że jest to pokolenie wychowane w dostatku, nie mające precyzji losu i zbyt wiele sobie lekceważy.

Na skrzyżowaniu dróg

Alzacja bywa nazywana „korytarzem Europy”, bo przez jej ziemię od najdawniejszych czasów przemierzali się kupcy z południa na północ i z zachodu na wschód Europy, przetaczali się wojny jako wynik krzyżowania się interesów sąsiadujących władców. Stolica Alzacji — Strasbourg staje się stolicą europejską. Tu znajduje się siedziba Rady Europy, tu obraduje Parlament Europejski. Mało kto wie, dlaczego akurat w tym miejscu rozstrzygają się losy wielu państw. Wynika to właśnie z jego położenia na skrzyżowaniu dróg europejskich. Strasbourg był zawsze miastem przywarciannym, leżał na styku kultur, na styku imperiów. Przez wieki krzyżowały się w nim drogi wodne i handlowe Europy północnej. W XIV w. zbudowano w nim pierwszą Komorę Celna, powstał też pierwszy most na Renie. To przyczyniło się do tego, że Strasbourg stał się miejscem uprzywilejowanym do wymiany handlowej. Seria przywilejów pozwoliła miastu być niezależnym i przekształcić się w republikę. Upadek polityczny zaczyna się w XVI w. i trwa do 1697 r., kiedy to Republika Strasbourska zostaje przyłączona do Królestwa Francji, które otwiera nowy okres w historii miasta. Dzięki swoim związkom z Francją, szybko rozwija się ekonomicznie, społecznie i kulturalnie.

Wydarzenia polityczne osiemnastego wieku dotyczą miasta tak samo jak i całą Francję: Rewolucja (w 1792, Rouget de l'Isle śpiewa po raz pierwszy „Marsyliankę”), następnie czasy napoleońskie, okres Restauracji i Drugiego Imperium odbiły się bardzo negatywnie na losach miasta. W 1870 r. po sześciu tygodniach oblężenia dostaje się pod panowanie Cesarstwa Niemieckiego. Staje się stolicą Księstwa Alzacji-Lotaryngii. Trwa to aż do zakończenia I wojny światowej. W czasie II wojny Strasbourg uciepiał bardzo, ale tuż po jej zakończeniu miasto szybko odzyskuje swoje europejskie znaczenie.

Kiedy narody Europy Zachodniej zgodnie uznały, że należy utworzyć unię, Strasbourg został właśnie wybrany na siedzibę Rady Europy w 1949 roku. Oweczny mer miasta postanowił w pierwszym rządzie odbudować budynki przeznaczone dla Rady, naprzeciwko wspaniałej Oranżerii. Obecnie siedziba Parlamentu Europejskiego znajduje się w nowoczesnym międzynarodowym Pałacu Europejskim zbudowanym w 1976 r. według projektu architekta Henry Bernard.

Stąd rozlegają się głosy o wymiarze uniwersalnym. Dla nas Polaków ostatnio najistotniejszy był głos premiera Tadeusza Mazowieckiego w sprawie przyjęcia Polski do Rady Europy, a także głos przewodniczącego tej Rady popierającego żądania rządu polskiego o udział w konferencji dotyczącej zjednoczenia Niemiec.

W Strasbourgu znów krzyżują się interesy Europy.

Alzackiego dialektu nie rozumieją ani Francuzi, ani Niemcy.

W Strasbourgu krzyżują się interesy Europy

DANUTA KONIECZNA-MALATYNSKA

Nazywa się to Droga Wina.

Od miejscowości Thann aż do Obernai można nieprzerwanie podróżować wśród winnic i pośród urokliwych miasteczek alzackich.

Wydaje się, że przekroczyło się już granice Francji. Wszędzie niemiecko brzmiące nazwy: Rosheim, Barr, Kayserberg, pełno samochodów z niemieckimi rejestracjami, no i architektura przypominająca miasta niemieckie. Domy o konstrukcji szachulcowej (charakterystyczne łączenie muru z drewnem) z wysokimi szczytami, ozdobnymi balkonami i galeriami. Wszystko znakomicie utrzymane, odnowione, ukwiecone. Miasteczka alzackie są niezwykle barwne, lśnią czystością. Stare, wąskie, często brukowane uliczki zachowały atmosferę minionych wieków. Spotkać można dawne fontanny, studnie, fragmenty wielowiekowych murów obronnych, bramy wjazdowe, a także ruiny zamków z epoki feudalnej.

Na Drodze Wina wiele luksusowych hoteli, restauracji, ale i małych kafejek, barków, a przede wszystkim piwnic. Reklamy zachęcają do degustacji win, które w Alzacji produkowane są w sześciu gatunkach. Najlepszą opinią cieszy się „Gewurztraminer”, „Pinot noir” i „Muscat”. Zarówno turysta zasobny, jak i biedniejszy może tu degustować te znakomite wina, a przy okazji posmakować regionalnej kuchni.

Ciągną do Alzacji turyści nie tylko z Europy, ale i zaa oceanu. Pewnego razu nieoczekiwanie spotkał się Amerykanin. W piwnicy, gdzie kupowaliśmy wino panował śmiech i ożywiony ruch. Ktoś wchodził i wychodził. Weszły cztery osoby, które mówiły po angielsku. Nie budziło to niczyjego zdziwienia, bo języki zmieniali się, mieszały. Nie śpieszono nam było, więc sącząc powoli wino, obserwowaliśmy ludzi. Nagle właściciel piwnicy podchodzi i oznajmia mi, że tu jest Amerykanin, ale właściwie Polak. Cieszył się, iż odkrył to dzięki nazwemu „na zdrowie”, które przed chwilą od nas przechwylił i szybko wymierzył tym w Amerykaninów. Byliśmy zdziwieni, jak ten banalnie staropolski toast skomunikował Polaków z Polakiem z Ameryki pod dachem Alzacyzka.

Alzacja podobnie jak i Polska przez wieki poszukiwała własnej tożsamości.

Region ten położony na styku kultur germańskiej i romańskiej przez stulecia przechodził „z rąk do rąk”. Mimo romańskiego rodowodu w X w. dostaje się pod panowanie germańskie i trwa to nieprzerwanie aż do 1648 r. Kiedy to na mocy traktatu westfalskiego zostaje przywrócony Francji. Kultura francuska ponownie zapuszcza korzenie. Zostają utworzone dwa departamenty, a granicę przesunięto z Wogezami na Ren. W 1870 r. mimo protestów regionem zawładnęli Hohenzollernowie. Po traktacie wersalskim w 1918 r. jest zwrócony Francji, ale nie trwa to długo, gdyż jak wiadomo, Adolf Hitler zerwał postanowienia traktatu i w 1940 r. zajął Alzację.

Faszyzm odcisnął tu straszliwe piętno. Chociaż część ludności była ewakuowana w głąb Francji, to i tak Alzacyzcy byli przymusowo wcielani do Wehrmachtu. O tym niechętnie dziś się mówi, ale bywa, że znają Polskę z opowieści ojców, którzy jako żołnierze Wehrmachtu poznawali Szczecin i inne miasta.

Claude jest ofiarą wojny. Dostojnie na kilka dni przed jej zakończeniem stracił wzrok i prawą rękę. Przyczyną tego był niewypał, który znalazł na podwórku szkolnym. Mimo iż nigdy nie mógł czytać, posiada ogromną wiedzę na temat regionu, jest znakomitym znawcą sztuki. Ręką rozpoznaje style i wartości poszczególnych dzieł. Kiedy zapytałem go, do jakiej kultury czuje się bardziej przywiązany, francuskiej czy niemieckiej odpowiedział, że to zależy i natychmiast dodał, że najbardziej bliska jest im własna kultura czego najlepszym dowodem jest pielęgnowany przez wieki dialekt, którego nie rozumieją ani Francuzi, ani Niemcy.

Isolacja regionu poprzez dwie naturalne bariery Wogezy i Ren przyczyniła się do tego, że jego odrębność kulturalna jest bardzo silna. Alzacyzcy zachowali nie tylko własny język, ale stroje, pieśni, muzykę. W czasie świąt regionalnych prezentują całe bogactwo kulturalne regionu. Są ludźmi muzykalnymi i rozśpiewanymi, potrafią się bawić, ale są też bardzo wyczuwliwi na problemy współczesności.

Ponieważ historia ich nie oszczędzała, żywo reagują na to, co obecnie dzieje się w Europie, a szczególnie tuż za miedzą. Niedawno, jeszcze przed rozbiciem muru berlińskiego

nietrwale są przyręczenia polityków i zawierane przez nich traktaty i umowy.

Należy mieć nadzieję, a także walczyć o to, aby to co powiedział premier Tadeusz Mazowiecki w stolicy Alzacji w Strasbourgu zwyciężyło. Aby Panny Roztropne z katedry strasbourskiej patronowały decyzjom kształtującym przyszłość Europy.

Nawet w Polsce nie spotykamy tyle krzyży i kapliczek co w Alzacji.

Niestatość jej losów przyczyniła się do tego, że ludzie szukali oparcia i nadziei w religii. Jest to najbardziej katolicki region we Francji. Kościoły alzackie nie święcą pustkami, niedzielne msze mają swoich wiernych. Wnętra kościołów są bogato zdobione, spotkać w nich można arcydzieła sztuki jak np. przepiękny obraz Schongauera „Madonna krzewu różanego” w kościele w Colmar, czy choćby ołtarz Hansa Bonsarta w Kayserbergu (taki mniejszy w Wt Stwosz). Alzacyzcy szanują swoich świętych, szczególnie czczą patronkę św. Odylię, która od VII w. ma w opiece ich wioski i miasta.

Poznałam matkę chrestną dzwonu w klasztorze św. Odylii. Jest nią 82-letnia madame Sarazin, drobniutka staruszka o łagodnym spojrzeniu. Kiedy przybywam do niej na obiad, wszystko wydaje się tu znakomicie ze sobą skomponowane. Stary alzacki dom, stylowe meble z niekompletnymi ornamentami, pianino, stare fotografie rodzinne i prawdziwa porcelana strasbourska, nieważne, że z utuczonym uchwytem. Wszystko zdaje się podzielać los właścicielki długiego i niespokojnego jak całe stulecie.

Pani Sarazin, jako młoda dziewczyna, co niedziela odbywała pieszą wędrówkę z ojcem i rodzeństwem na Górę św. Odylii, potem pomagała siostrze zakonnej w prowadzeniu klasztoru, przez jakiś czas nawet tam mieszkała. Uczuciowo jest bardzo mocno związana z tym miejscem, dlatego wybrano ją na matkę chrestną dzwonu. W czasie tych opowieści o życiu, o losie ludzkim zwracam uwagę na czerwona książeczkę. Gospodyni uśmiecha się i stwierdza, że to jej „złota księga”, która leczy w samotności. Prowadzi ją od czasów wojny. Mieszkała wówczas w Paryżu, miała czworo dzieci, ale udzielała pomocy, głównie cudzoziemcom. Każdy, kto znalazł schronienie pod jej dachem, wpisywał kilka słów podziękli. Znalazłam serdeczność w różnych językach —

W Łodzi powstaje nowy tygodnik „Solidarność Ziemi Łódzkiej” — witamy konkurencję!

Trudno zgodzić się na „liberum veto”

Rozmowa ze STEFANEM NIESIOŁOWSKIM — posłem z Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego.

Kolejne posiedzenie Sejmu. Na Wiejskiej górze Przed Zmianami Parlamentu grupa rolników w parlamencie bardzo sposób protestuje przeciwko polityce rolnej rządu.

Wewnątrz trwa zacięta dyskusja. A posłów mało, choć w kulisach można zobaczyć kilka znanych twarzy. Przemysław Andrzej Łapicki, Bronisław Geremek nie boi się reporterskiego flaszka — przyzwyczaili się już do tego. Aleksander Małachowski nawet w Sejmie nie ma chwili spokoju — właśnie zbiera materiał do kolejnego programu „Telewizja nocą”. A oto i poseł Ziemi Łódzkiej — STEFAN NIESIOŁOWSKI. Nie tracimy okazji i pytamy o kilka istotnych spraw:

— Co pan sądzi o tak znacznej absencji posłów. Sala obrad polskiego Parlamentu świeci pustkami, a omawiane są przecież tak ważne dla nas wszystkie sprawy.

— Wczoraj podczas głosowania była wysoka frekwencja — ponad 300 posłów. Ale generalnie jest to rzeczywiście stały problem. Składa się na to wiele przyczyn. Po pierwsze — absencja posłów jest zjawiskiem wszystkich parlamentów świata, nie tylko naszego. Po drugie — w tym samym czasie pracują także komisje sejmowe. A że tak się dzieje w czasie obrad plenarnych — to bardzo źle. Jest to również sprawa nieodpowiedzialności niektórych posłów i tutaj nie ma już żadnego usprawiedliwienia. Powinni być obecni. Ale część po prostu wyjeżdża sobie bezτροsko za granicę, lub nad obecność w sali obrad przedkłada sprawy osobiste. Jest to rzeczywiście karygodne!

— Powstaje w Łodzi nowy tygodnik, promowany przez Zarząd Regionalny „Solidarność” a pan ma być jego naczelnym redaktorem. Czy to prawda?

— Tak, otrzymałem już nominację z Zarządu Regionu. Mamy też pieniądze. Teraz chodzi jedynie o prawne ułożenie naszego pisma.

— Kiedy ukaże się pierwszy jego numer?

— Pierwszy numer — mam nadzieję — będzie drukowany w końcu marca.

— A jaka będzie jego nazwa?

— „Solidarność Ziemi Łódzkiej”. Jest to nawiązanie do tygodnika ukazującego się w roku 1981. Wtedy redaktorem naczelnym był Benedykt Czuma, ja również w tym piśmie pracowałem.

— Będzie to przede wszystkim tygodnik społeczny?

— Przede wszystkim związkowy, na drugim miejscu polityczny i społeczny.

— Co więcej może pan powiedzieć o tym nowo powstającym piśmie? Co to będzie?

— Będzie to pismo dość typowe, podobne do tych, które ukazują się pod patronatem „Solidarność”. Ale nie będzie ono organem Zarządu Regionu, które ograniczałoby się jedynie do wydawania komunikatów i oświadczeń.

— Jaka zatem formuła przyjmiecie?

— Można powiedzieć, że przyjmujemy formułę otwarta. Deklaracja programowa tygodnika już napisałem i zostanie ona opublikowana w pierwszym numerze. Wyjaśni czytelnikom charakter pisma, czym się chcemy zajmować, jakie ono ma być. Czyli — mogę paniom zdradzić — pismo nasze jest otwarte dla wszystkich orientacji i poglądów. Będzie miało charakter przede wszystkim informacyjny. Mamy ambicję, aby informacja w nim zawarta była sprawdzona, obiektywna i zwięzła. Przy jej pomocy chcemy oddziaływać na kulturę polityczną w

naszym regionie. Nie chcemy, żeby redakcja stanowiła grupę polityczną, bo nie takie jest jej zadanie. Redakcja ma przede wszystkim informować.

— Czy zespół redakcyjny jest już skompletowany?

— Właśnie się tym zajmuję. Mamy bardzo wiele zgłoszeń. Będzie z czego wybrać.

— Jak będą kształtowały się zarobki w pana gazecie?

— Trudno mi w tej chwili powiedzieć. Muszę najpierw dokonać bilansu. Wszystko będzie zależało od tego, jak się będzie gazeta sprzedawała. Ale myślę, że pensje naszych dziennikarzy będą kształtowały się tylko nieco poniżej średniej krajowej.

— Ile stron będzie miał tygodnik i ile trzeba będzie za niego zapłacić?

— Za 8 stron (na razie) trzeba będzie zapłacić 400 zł.

— Czy i w jakim stopniu tygodnik „Solidarność Ziemi Łódzkiej” będzie stanowił konkurencję dla „Odgłosów”?

— W jakimś sensie każda nowa gazeta pojawiająca się na rynku jest konkurencją dla pozostałych. Nie mamy zamiaru walczyć z „Odgłosami”. Uważamy, że żadne pismo nie jest naszym wrogiem. Oczywiście spodziewamy się polemiki ze strony „Gazety Wyborczej”, która, że tak powiem, bardzo mnie nie lubi i zwalcza jak tylko może. Nie sądzę więc, żeby pozostawiono mnie tym bardziej teraz w spokoju.

— Czy przyjmie więc pan „wyzwanie”?

— Walka z „Gazetą Wyborczą” nie jest moim głównym celem. Ja „Gazetę” raczej ignoruję — bo na to zasługuje. A jeśli chodzi o „Odgłosy”, to mam nadzieję, że będziemy jedynie zdrowo i twórczo ze sobą rywalizowali.

— Rozmowę zaczęliśmy od spraw związanych z polityką i w tym duchu chciałbyśmy ją zakończyć. Co sądzi pan jako poseł na Sejm o zbliżających się wyborach i zaistniałym w związku z tym w Łodzi konflikcie między WKO i LPO?

— Sądzę, że propozycja WKO jest nie do przyjęcia. Oznacza paraliż Komisji Wyborczej, która według pierwotnych planów miała się szusnie składać z 3 równych części przedstawicieli Zarządu Regionu „S”, LPO i WKO. Niestety, na zebraniu WKO, na którym byłem, ta propozycja została zmodyfikowana w tym duchu, że owszem — wspólna Komisja Wyborcza może powstać, ale musi podejmować decyzje na zasadzie konsensusu — czyli zgody wszystkich. A ja sobie żadnej zgody z Prezydentem WKO, z panem Markiem Edelmanem, z panią Iwoną Siedzińską-Katarasińską nie wyobrażam. To byłaby ciągła kłótnia, spory, szarpanina. Według mnie formuła konsensusu w tym przypadku jest nie do przyjęcia. Ja oczywiście jestem w dalszym ciągu skłonny uznać pierwotnie wypracowaną propozycję. Możemy ją ewentualnie jeszcze w jakiś sposób zmodyfikować, ale przecież trudno wyrazić zgodę na „liberum veto”.

Rozmawiała:
MARZENA MRÓZ
ANNA GRONCZEWSKA

— Jest pan wieloletnim twórcą radiowym. Zdobywał radiowego Oscara, czyli Prix Italia. Jakże widzi pan zagrożenia stojące przed radiem?

— Kryzys radia rysuje się na dwóch płaszczyznach: ekonomicznej i autorskiej. Obie równie groźne dla obecnego stanu sztuki radiowej i jej przyszłości.

— Zaczniemy od spraw autorskich.

— W radiu brak indywidualności. Ludzi, którzy stanowiliby takie osobowości jak występujący w telewizji Aleksander Małachowski, czy minister Jacek Kuroń. Są tylko prezenterzy, których w gruncie rzeczy szybko można zastąpić innym, który będzie równie lubiany. Nie stawiają oni bowiem istotnych pytań, nie zmuszają słu-

szą w radiu nie chciami. Instytucja „Radio i Telewizja” nie chce zrozumieć, że bez pisarzy nie będzie możliwe istnienie dialogu będącego sensem istnienia radia.

— A czy mają na to wpływ sprawy finansowe?

— To też. Przecież Radiokomitet ma miliardy długów. Ograniczono sumę przeznaczoną na honoraria. A pewna grupa broniąc swego stanu posiadania woli te pieniądze przeznaczyć dla siebie, niż zapraszać ludzi z zewnątrz. W związku z tym na antenie przeważają programy redaktorskie. Każdy autor z zewnątrz jest zagrożeniem.

— Z tego, co pan mówi wynika, że nie chodzi tu chyba tylko o sprawy finansowe?

— Kryzys ekonomiczny to tylko jedna strona medalu. Dru-

— Pieniądze nagle „wyparowały”?

— Nie, ale budżet Polskiego Radia ustalony był według norm obowiązujących we wrześniu 1989 r. Od tego czasu min. Izabella Cywińska pięciokrotnie podniosła zarobki aktorów (20 proc. gaży w teatrze). Wzrosły więc znacznie koszty zatrudnienia aktorów. W końcu pieniądze się znalazły, ale w marcu trzęsienie ziemi trwa nadal. Zagrożenie ekonomiczne zostało wzmożone przez pragnienie uzyskania czasu w programie dla tych, którzy wrócili. I tak niedawno sekretarka poinformowała, że od 1 kwietnia nie idą „Matysiakowie”.

— W końcu wycofano się z tej decyzji?

— Tak, po licznych protestach słuchaczy dyrektor programu I na spotkaniu z twórcami „Matysiaków” Jerzym Janickim i Zanet Póitortczyką poinformo-

Andrzej Mularczyk: — Pesymista — to jest dobrze poinformowany optymista.

Czyje i dla kogo jest to radio?

Rozmowa z ANDRZEJEM MULARCZYKIEM — współautorem radiowych powieści „Matysiakowie” i „W Jezioranach”.

chacza do myślenia. Te funkcje mogłyby spełniać pisarze tworzący dla radia. Ale od 10 lat są oni tam jakby nie bardzo chcieli.

— A jak było przed dziesięcioma laty?

— Najpierw cofniemy się o trzydzieści lat. W latach sześćdziesiątych wokół radia zgromadziła się grupa znakomych pisarzy: Włodzimierz Odojewski, Władysław Terlecki, Jarosław Abramow, Jerzy Krzysztoń, Kazimierz Orłoś. Byli oni wówczas nie tylko autorami dobrych słuchowisk, a także redaktorami Teatru PR. Na tym fundamencie powstała popularność słuchowisk polskich w kraju i za granicą. Na skutek brutalnych wydarzeń stanu wojennego były prezes Radiokomiteu, pułkownik Wojciechowski zrobił wszystko, aby zniszczyć dotychczasową strukturę radiową. Zlikwidowano Naczelną Redakcję Literacką, a na jej miejsce każdy program powołał swoją redakcję literacką. Chodziło o to, by nie ostało się nic z dotychczasowych stosunków i więzi. Zbudowano nowy ład, który okazał się ładem policjantów i dewastatorów. Na szczęście to już przeszłość. Teraz mamy demokrację. Spodziewaliśmy się, że kiedy nastanie tzw. wolność, kiedy zerwane zostaną „okowy cenzury”, będziemy mogli zaśpiewać wreszcie „pieśń swojej duszy”. Niestety, w dalszym ciągu pisarze

ga to uzurpatorskie żądania nowego establishmentu. Tzw. grup kombatanów, którzy wrócili do radia po długim wyłączeniu się, pragną teraz zawiązać wszystko dla siebie. Uważają to, co było dotąd za złe, chcą stworzyć świat od nowa. Gorsza sprawa, że wbrew głoszonemu hasłom „fachowości”. Pragną usunąć stare programy nie bardzo mając do zaproponowania nowe pomysły. Radio poza informacją, muzyką i aktualnościami musi rozwijać swoje specyficzne gatunki, a więc reportaże, słuchowisko i powieści radiowa. To właśnie wymaga wieloletniego „ostrzeliwania” się w bojach radiowych.

— Wspomniał pan o powieściach radiowych. Sam jest pan autorem „W Jezioranach”. Podobno niewiele brakowało, a słuchacze nie usłyszeliby kolejnych odcinków „Matysiaków” i „W Jezioranach”.

— Nie przecież nie trwa wiecznie, wszystko można zakończyć, ale chodzi o sposób, w jaki się to dokonuje. Wróciłem właśnie z podróży i zadzwoniłem do Teatru PR, by podać obsadę kolejnego odcinka „Jezioran”. Inspicjenta poinformowała mnie, że od 4 lutego „Jeziorany” nie będą emitowane. Dopiero ode mnie dowiedział się o tym szef redakcji literackiej programu I. Nic nie wiedział o tym także dyrektor programu I. Wreszcie okazało się, że decyzję podjął dyrektor Teatru PR, ponieważ zabrakło pieniędzy na realizację.

wał, że wycofuje swą decyzję i powieści „Matysiakowie” będzie kontynuowana.

— A „W Jezioranach”?

— Nie były bezpośrednio zagrożone, choć nie obyło się bez takich prób. Na zebraniu „Solidarność” dziennikarzy zastanawiano się, czy obie powieści radiowe są jeszcze potrzebne. Ktoś wtedy zauważył, że przecież „W Jezioranach” ma 2,5 mln stałych słuchaczy i 3 mln okazjonalnych, z czego aż połowę ocen bardzo dobrych. Ewentualment jest, że po 30 latach rośnie popularność audycji! Wtedy padła odpowiedź: Ale popularność, sympatie słuchaczy nie są żadnym argumentem! W związku z tym pytam się: Czyje i dla kogo jest to radio?

— Jakże są gwarancje, że za parę miesięcy nie usłyszymy o „stypie” u „Matysiaków”, czy końcu „W Jezioranach”?

— Nie ma żadnych. Na razie zlikwidowano powtórzenia, równocześnie restrykcje ekonomiczne dotknęły aktorów.

— Jest więc pan pesymista?

— Cate życie byłem. A mimo to moja powieść radiowa przetrwała 30 lat. Bo mówi się, że pesymista to jest dobrze poinformowany optymista.

Rozmawiała:
ANNA GRONCZEWSKA

Z punktu widzenia Unii Polityki Realnej.

Wyzszość kobiet

JANUSZ KORWIN-MIKKE

Jak pisał kiedyś Maurycy Rothbard, szef amerykańskich libertarianów; gdy mężczyzna zarabia pieniądze i przynosi je kobiecie — to kto tu jest, do cholery, szefem, a kto wyrobnikiem? Gdy w Rzymie niewolnik pracował na swego pana — nikt chyba nie miał wątpliwości?

Przeczytałam w „ODGŁOSACH” polemikę p. Konrada Frejdliha pt.: „Niższość kobiet” — będącą atakiem na wywiad z p. Edwardem Kutelą, Prezsem oddziału Unii Polityki Realnej w Łodzi. Już myślałam, że p. Kutela stał się znieczeka męskim szowinistą gdy sięgnął jednak po ów wywiad, zamieszczony w „Expressie Ilustrowanym”, stwierdziłam, że p. Kutela NIGDZIE czegoś takiego nie napisał! Polemista po prostu ustawił Go sobie do bicia!

Weźmy przykład. Płyniemy statkiem, dmie wichura, na horyzoncie rafy... i oto kapitan wypada za burtę. Tak się składa, że jest to statek wycieczkowy, a wiezie same pasażerki. Nikt, oczywiście, nie ma wątpliwości, kto tu jest panem, a kto parobkiem: marynarze są dla pasażerek, które płacą za

bilet. Jednak, gdyby załoga zwróciła się teraz do pasażerek z prośbą, by w tej krytycznej sytuacji zechciały wziąć udział w demokratycznych wyborach kapłana — to zostałyby zwymsłana słowami: „Prześcieście zwracać nam głowę! Co z was za mężczyźni! Wybierzcie kogokolwiek i kierujcie tą łajbą zanim wszyscy zatoniemy!”

Dokładnie to samo jest z głosowaniem kobiet. Gdy państwo nie ma żadnych problemów, sterować nim może każdy. W związku z tym nie się nie stanie, gdy kobiety wybiorą przystojniaka Johna Kennedy’ego zamiast pragmatysty, p. Richarda Nixona... no, chyba że dojdzie do kryzysu karaibskiego spowodowanego tym, że nieboszczyk Kennedy, ze swymi lewicowymi skłonnościami, nie reagował na sowieckie poczynania tak długo, aż wreszcie postawił świat na krawędzi wojny.

Jest rzeczą charakterystyczną, że za prawem do głosowania dla kobiet najbardziej stanowczo opowiadają się... mężczyźni. To samo dotyczy ogólnej „równouprawności”. Gdy jednak niemal całkowicie męski Kongres USA uchwalił sła-

wetną ERA (poprawkę do konstytucji o „równych prawach kobiet”) i jeden za drugim uchwalali ją niemal całkowicie męskie kongresy stanowe (potrzeba było, by uchwalili ją 3/4 stanów) — kobiety zaproteowały pod hasłem: „My jesteśmy pięć uprzywilejowaną — i nie chcemy równych praw, bo to pogarsza naszą sytuację”. I wygrały — acz z największym trudem!

Pytałem kiedyś pewną zażartą bojowniczkę o prawo kobiet do czynnego głosowania, czy popiera demokrację. Popierała. Spytałem więc, czy jeśli zrobi referendum wśród kobiet — i większość wypowie się za tym, by kobiety nie miały prawa głosu w wyborach — to podporządkuje się ona tej decyzji. Odpowiedź była stanowcza:

— „NIE!”

No — i macie!

Tajemnica kryje się w tym, że równouprawienie kobiet leży w interesie mężczyzn, którzy zwalają na nie najgorszą, najnudniejszą robotę — o ile ludzi takich nazywać należy

mężczyznami. Sam p. Konrad Frejdlich pisze zresztą: „akcja sufrażystek zyskała sympatię premiera Campbell-Bannermana, który zachęcał sufrażystki do jeszcze gwałtowniejszych wystąpień, aby odpowiednio urobić opinię publiczną, a zwłaszcza szereg liberalów, gdzie nie było jedności”. Gdyby nie wsparcie rządzącej partii, grono stu wariatów-arystokratów potępianych przez kobiety (tak: przez kobiety!!) nigdy nie tylko nie osiągnęłoby celu, ale w ogóle nie miałyby żadnych wpływów! Kobiety użyły liberalowie do rozbięcia konserwatywnego establishmentu — podobnie jak potem w Ameryce używano do tego samego np. Murzynów...

W Ameryce „równouprawienie” (tj. praca kobiet na dwóch etatach...) było skutkiem dwóch wojen światowych — gdyż lewicowi politycy, którzy do nich mogli zastąpić część mężczyzn powołanych do wojska. Kobiety zazwyczaj wierzą mężczyznom — i tym razem dały się więc ogłupić. Powinny były powiedzieć: „Chcecie się bawić w waszą wojenkę — to się bawcie, ale nas od domu nie odrywajcie!”

Zwracam tu uwagę, że wszystkie ankiety wykazują, że ludzie o wiele większą wagę przywiązują do rodziny niż do spraw publicznych; jeśli więc konserwatywni liberalowie odwołują kobiety do domów — to powierzają im ważniejszy odcinek życia. I słusznie: programista komputerowy, gdy skopie program, to zmieni zaś-

mę lub skasuje pamięć komputera — natomiast mózg dziecka jest od komputera stokrót bardziej skomplikowany... i popełnionych błędów wychowawczych nie da się łatwo naprawić!

Zwracam też uwagę, że w Polsce oderwanych od domu kobiet jest procentowo prawie dwa razy więcej niż w USA... Toteż nasze feministki nie domagają się równouprawienia, a docenienia pracy kobiet. Pracy kobiecej.

Feministki zachodnie rozczarowane są tym, że mają małą reprezentację w parlamentach. Przyczyną tego jest prosty fakt: nie głoszą na nie kobiety. Mądra kobieta wybiera adwokata mężczyznę — czemu miałaby wybrać jako swego posła — kobietę???

Przypominam, że panią Margaret Thatcher wybrało grono liderów Partii Konserwatywnej. Samych mężczyzn. Gdyby połowę tego gremium stanowiły kobiety — p. Thatcher nigdy nie została premierem Wielkiej Brytanii!

Program liberalów jest więc najkorzystniejszy dla zwykłych kobiet, którym gwarantuje opiekę ze strony ICH mężczyzny, a nie ze strony państwa, które wyzyskuje, oczywiście, wszystkich, ale najbardziej pastwi się nad najsłabszymi — pod pretekstem opieki. Natomiast kobietom chcącym brać udział w życiu publicznym liberalowie oferują większą szansę (gdyż bierne prawo wyborcze im gwarantujemy, a

mężczyźni będą na nie głosować częściej, niż czyniłyby to kobiety).

Nie chcę tu prostować wszystkich nonsensów z artykułu p. Konrada Frejdliha — nonsensów wynikających stąd, że bezmyślnie propaguje on XX-wieczny mit o „równouprawieniu”. Zaznaczę tylko, że nie potrafię dojrzeć, dlaczego po to, by być wybraną, kobieta musiałaby mieć „pełnię praw” tj. obowiązek czynnego głosowania?!? Np. w większości państw prezydent NIE jest członkiem Parlamentu, nie ma prawa głosowania — a mimo to jest przecież wybierany? Powoływanie się zaś na los kobiety „zmuszonej żyć z mężczyzną o niższej od niej inteligencji, pi-jakiem lub brutalem” jest kontrprzykładem: niech kobiety nie wychodzą za mąż za byle kogo, — a od razu znacznie się podnosi poziom naszego narodu; gdy kobiety wychodzą za byle kogo — nie ma selekcji pozytywnej. I winien temu jest system socjalistyczny, który skłania kobiety do takich bezmyślnych kroków, „bo jakoś to będzie, państwo w razie czego pomoże”!

Na zakończenie: być może p. Kutela wybory przegra — ale sądzę, że głosować nań będzie procentowo więcej kobiet niż mężczyzn. Bo kobiety są — w odróżnieniu od feministek — rozsądne...

Pistolet, nóż, pałka

ze str. 1

Skoro przywożona nielegalnie broń cieszy się ogromnym wzięciem na Górniku, LKS-ie, na giełdach i każdym większym rynečku, dlaczego więc, skoro ktoś chce taką broń posiadać — nie może jej kupić legalnie, w sklepie, mając spory wybór i fachowe doradztwo?

— Cóż więc potencjalnemu klientowi, dysponującemu stosownym zezwoleniem, możesz dziś zaproponować?

— Mówiąc najogólniej: około 15 rodzajów pistoletów i rewolwerów gazowych, od najmniejszych ośmiomilimetrowych, pięciostrzzałowych „RECK G-5” czy „FBI-3000” po duże, dziesięciostrzzałowe „gnaty”, kaliber 35 mm, jak choćby „ROHM 735”.

— I jeszcze ceny, jeśli można...

— Można: od 750 tysięcy złotych za mały, „damski” pistolet, do blisko 3 milionów za ogromne „haubice”.

— Słyszałem, że właśnie te ogromne, mimo wyższej ceny cieszą się większą popularnością.

— To prawda, myślę, że to nasza husarsko-ulańska fantazja: dobrze jest, gdy „spluwa” wystaje spod marynarki, a nie spoczywa niewinnie w kieszeni...

— Ale widziałem tu i jakieś wiatrówki w cenie powyżej 3 milionów?

— Owszem, bowiem nie chcę zajmować się tylko handlem bronią gazową — marzy mi się sklep myśliwski z prawdziwego zdarzenia. I stąd te pierwsze próby. A to jest doskonała, profesjonalna broń sportowa, wiatrówka typ Mauser LS-300 — szalenie skuteczna, co powiem w tajemnicy — sprawdzaliśmy w garażu i na działce...

— Na półkach jeszcze dziwne „gazy bojowe” na klienta czekają.

— Po kolei. Proponujemy także doskonale pistolety wiatrówkowe firmy Phanera, duża gama pojemników z gazem w aerozolu (niezbędne identyczne jak na broń zezwolenie) w cenie, w zależności od pojemności i skuteczności od 95 do 195 tysięcy złotych, są pałki gumowe z gazem.

— Ktoś je kupił?

— Tak, kilka sprzedaliśmy. Byli to ponoć „bramkarze” z dyskotek.

— Kto kupuje broń? Zdradz, choć zapewne w tym celu w dowody osobiste nie zaglądasz.

— No nie, interesują mnie, wyłącznie dane osobowe. Ale uspokoje cię — kupują praktycznie wyłącznie ludzie dojrzały, sporo rzemieślników, generalnie — ludzie biznesu, byli i emerytowani wojskowi i milicjanci, wzrosło zainteresowanie naszą ofertą na przykład pracowników stacji benzynowych. W sumie, w ciągu dwóch miesięcy działalności sprzedaliśmy około 80 sztuk różnego typu gazowych „zabawek”. I warto dodać, że wśród kupujących było bardzo wielu faktycznych znawców broni.

— Sprzedajecie również amunicję?

— Owszem, wystarczająco skuteczne naboje izawiające, eliminujące szlochającego napastnika na minimum 10 minut oraz naboje izawiająco-paraliżujące, które oprócz tego wywołują u napastnika na prawie 20 minut efekt „duszenia”. Niezależnie od tego zadaliśmy o tak poszukiwane przez naszych

klientów estetyczne kabury do każdego rodzaju broni.

— I noże, dla młodzieży zapewne.

— I złośliwość i demagogia. Faktycznie, są noże typu „Survival” — z kompasem, pilką do metalu, haczykami na ryby, zapalkami i tym podobnym „instrumentarium”. Są drogie, nie ukrywamy; w sumie to „pekrenny przeciw towar. I faktycznie, bez demagogii: różnej maści scyzoryki i „finki” kupisz choćby w „Jedności Łódzkiej”. A w gospodarstwie domowym tasaki, i co z tego?

— Dzika konkurencja was nie zniszczy?

— Nie, oni z przemytu mają niższą cenę, ja przebijam ich szerokim wyborem towaru i gwarancją jakości i fachowością. Ale ten nielegalny obrót bronią przybiera faktycznie groźne rozmiary. Byli, i bardzo dobrze, akcje na łódzkich targowiskach, myślę, że trzeba by także wzmocnić „gazowe” kontrole na przejściach granicznych. Ta broń może służyć przecież nie tylko do obrony...

Rozmawiał:
DARIUSZ
DOROŻYŃSKI

GRZEGORZ
GAŁASIŃSKI
PREZENTUJE:



Łódzka Szkoła Baletowa



Collage: Grzegorz Gałasiński

Obyczaje '90

Z czystego serca

Pani Patrycja Kryńska postanowiła wyjechać do Republiki Federalnej Niemiec, gdzie od lat zamieszkał jej wujek Stefan Napierała, człowiek w latach, samotny i schorowany. W sercu bratanicy oprócz żalu i współczucia dla owego staruszka tliła się nadzieja, że przecież coś tam ów wujek po sobie pozostawi. No, może nie milionowy spadek, ale zawsze to waluta wymienna. Patrycja Kryńska dość dobrze orientuje się w kursie walut, przeto jej przyziemne nadzieje mają wymierną i wymienną wartość. Napisała podanie do naczelnika wydziału paszportowego w WUSW, prosząc w nim o przyspieszone wydanie paszportu. Dołączyła także zaświadczenie lekarskie o stanie zdrowia owego wujka przetłumaczone przez przysięgłego tłumacza z języka niemieckiego na polski. Oba te dokumenty włożyła do białej

koperty listowej. Do drugiej takiej samej koperty włożyła trzy banknoty Narodowego Banku Polskiego o nominale po 10.000 zł każdy. Pani Patrycja rozmawiała logicznie: skoro naczelnik będzie chciał przychylić się do jej prośby, wówczas zmuszony będzie poczynić pewne pozaprogramowe czynności. I za to należy mu się od niej gratyfikacja.

Wychodząc z domu, pani Patrycja obie koperty włożyła do notatnika. Przed oblicze naczelnika wydziału paszportów dostała się bez trudu. Poproszona, by usiadła, od razu siadła przy biurku, vis a vis pana naczelnika, po czym wyjęła z torby notatnik, wysunęła z niego kopertę z dokumentami i podała je naczelnikowi, a pustą kopertę położyła na biurku obok notatnika. Naczelnik szybko przeczytał podanie i zaświadczenie lekarskie i oznajmił pa-

ni Patrycji, że jej prośba jest uzasadniona, że Wydział paszportów przyspieszy wydanie potrzebnego jej dokumentu w ciągu siedmiu dni. Po czym na podaniu napisał decyzję o wydaniu paszportu poza kolejnością. Wówczas pani Patrycja wysunęła z notatnika drugą białą kopertę, notatnik schowała do torby i oświadczyła, że obie koperty zostawia na biurku. Naczelnik poprosił ją jednak, by tego nie czyniła i lepiej będzie, jeśli zabierze je ze sobą, gdyż w urzędzie one nie są potrzebne. Pani Patrycja z kokieteryjnym uśmiechem powiedziała, że jej także nie są do niczego potrzebne i może je wyrzucić do kosza. Wstała i wyszła.

Naczelnik także wstał i przeszedł do sekretariatu, by przekazać dokumenty Patrycji Kryńskiej do wykonania zgodnie z jego adnotacją uczynioną na podaniu. Trwało to wszystko zaledwie parę minut.

Po powrocie do gabinetu naczelnik usiadł za biurkiem i spostrzegłszy leżące dwie białe koperty sięgnął po nie, aby wyrzucić do kosza na śmieci. Jednakże, gdy tylko wziął je do ręki, zorientował się, że jedna jest cięższa i posiada wewnątrz zawartość. Gdy ją otworzył,

stwierdził, że są w niej trzy banknoty NBP o nominale po 10.000 zł każdy!

Jak oparzony wybiegł na korytarz chcąc zatrzymać Patrycję Kryńską, ale nigdzie jej nie było. Zatem wrócił, wezwał pracowników swojego wydziału i w ich obecności otworzył kopertę z banknotami. Na miejscu sporządzono stosowny do okoliczności raport.

Tego samego dnia Patrycję Kryńską przesłuchano w charakterze podejrzanej o usiłowanie przekupienia urzędnika państwowego na służbie. Przyznała się od razu. Jej rozumowanie było następujące: skoro kogoś o coś prosi, to przecież wiadomo, że nikt w Polsce niczego nie robi na piękne oczy. Tak było zawsze i tak pozostało. Zatem nie popełniła żadnego przestępstwa, po prostu w ten sposób podziękowała człowiekowi za okazane zrozumienie w jej żywotnej sprawie. A że on potraktował to tak, jak potraktował, to rzecz jego sumienia. Ona, w każdym razie, chciała jak najlepiej.

EUGENIUSZ
IWANICKI



Rys. Sławomir Łuczyński

Niezwykle rzadko ukazuje się jakaś muzyczna książka autorstwa łodzianina. Prace publikowane dotąd przez lokalnych autorów (wymienię choćby J. K. Lasockiego czy F. Wesolowskiego) miały zresztą najczęściej charakter podręcznikowy i przeznaczone były dla ściśle określonego adresata: ucznia szkoły muzycznej. Ponieważ w ostatnich latach w piśmarstwie związanym z Polihymnią zapanowała już niemal całkowita posucha, z uwagą trzeba się chyba odnieść do każdej nowej, choćby najskromniejszej produkcji.

Odnajdujemy zatem, że w niewielkim nakładzie tysiąca egzemplarzy wydana została na zlecenie Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych w Łodzi przez Miejskowy oddział KAW 90-stronicowa broszurka zatytułowana „Łódzka Olimpiada Muzyczna”. Jak się orientuje, jest to praca doktorska autorki — adiunkt Wiestawy Pchyńskiej-Kindykiewicz z Akademii Muzycznej w Łodzi — napisana w Instytucie Pedagogiki UW pod kierunkiem prof. dr hab. Ireny Wojnar (ze wstępu nie wynika, że to doktorat, choć

Góra i mysz?

pani promotor wymieniona została). Główną myśl książeczki streściłbym następująco: pionierska w skali kraju, łódzka olimpiada muzyczna była potrzebna i należałoby ją wznowić, gdyż organizowana obecnie olimpiada ogólnopolska ma inne cele i charakter raczej zamknięty. Aby taki zakres treści nie wypadł, jak na pracę doktorską, zbyt blade, omówienie pięciu olimpiad zorganizowanych dla szkół w latach 1971—1976 przez Łódzkie Towarzystwo Muzyczne podbudowane zostało fundamentem teoretycznym.

Wszystko to jest ciekawe, tyle że zestawienie ogólnych, uniwersalnych haseł z pomieszczeniem następnie na kilkunastu stronach opisem uczniowskiego współzawodnictwa może w sensie problemowym sprawić wręcz na kimś wrażenie Ezopowej góry, która porodziła mysz.

W jednym z 8 aneksów znalazł się nawet zestaw pytań zadawanych olimpijczykom (w tym zestawie rozpoznaję akurat własną pracę sprzed lat), natomiast zabrakło nazwisk laureatów. Im więc książeczki nie mogę polecić — byłiby fozzarowani, znajdując tylko odnotowane szkoły, które reprezentowali. Nie ma także składu jury, a przecież i to nie jest szczegół bez znaczenia.

Przed wszystkim jednak — zamiast długiego w części pierwszej teoretyzowania na temat doniosłości tej inicjatywy w rozwoju kultury muzycznej, a nawet rzetelnie przedstawionych przez autorkę motywów uczestniczenia uczniów we współzawodnictwie, wolalabym poznać wyniki jakichś badań empirycznych, dotyczących późniejszych losów olimpijczyków. Otóż ciekawość mnie, czy faktycznie zbliżyli się oni do muzyki, czy ich postawy zostały zaktywizowane. Sformułowanie wniosków na ten temat byłoby przecież możliwe w pracy pisanej z dystansu lat.

JANUSZ JANYST

Z dużą niecierpliwością oczekiwano łódzkie środowisko na to spotkanie. Zagrożenia pojawiające się nad wszystkim sferami życia kulturalnego potęgują nastroj niepokoju i... niepewności, nastroj który — jak wszyscy mieli nadzieję — rozproszy na tym spotkaniu minister kultury i sztuki Izabella Cywińska.

W napiętym programie wizyty w Łodzi — z okazji 75-lecia Filharmonii Łódzkiej im. A. Rubinsteina — gospodarze miasta zdołali „wygospodarować” ledwie sześćdziesięciominutowe spotkanie minister Cywińskiej ze środowiskiem kultury. Nic zatem dziwnego, że atmosfera spotkania — z udziałem prezydenta miasta Waldemara Bohdanowicza i wiceprezydenta Janusza Urbaniaka — była nalaodowana gorączkową niecierpliwością. Tak więc i pytania jakie padały, nacechowane były poczuciem zagrożenia i z troską o losy kultury polskiej w ogóle.

Minister Cywińska wyczuła widać atmosferę sali, bo natychmiast przystąpiła do tematów drażliwych.

— Nie spodziewam się niczego dobrego. Siedzę tu jako minister, ale sercem jestem z wami. Proponuję więc pytania ze wszystkich środowisk, aby wszyscy mogli się dowiedzieć co nas czeka w najbliższej przyszłości, jakie są trudności, co udało się przezwyciężyć, a czego nie. Zanim jednak padną pierwsze pytania pragnę wiele z nich uprzedzić, gdyż pojawiają się wszędzie, gdzie się tylko spotykam. Jak państwo widzie sytuacja w kulturze jest fatalna, podobnie jak w wielu innych dziedzinach, jak w całej gospodarce. Póki co jesteśmy takim samymi ludźmi jak inni w naszym kraju i musimy ponosić, jak wszyscy, ciężary. Możemy i musimy walczyć, aby te ciężary były łatwiejsze do zniesienia, lecz musimy wymy-

ślać sposoby, aby samemu sobie pomóc. Nie możemy natomiast spodziewać się szczególnych przywilejów dla środowisk kultury. Najtrudniejsze jest to, że wszystko o cośmy walczyli latami, z czego wiele wyważyliśmy, z tego dziś częściowo trzeba zrezygnować. Dlaczego twierdzą, że mu...? Otóż sytuacja jest bardzo ciężka, kraj znajduje się w trudnej sytuacji, ale wiele symptomów wskazuje, że już za parę miesięcy sytuacja będzie znacznie lepsza. Co nie znaczy, że niczego sami nie powinniśmy robić. Właśnie powinniśmy, powinniśmy zrobić ogromnie dużo aby pomóc. Proszę, abyście państwo nie sądzili, że nie wiem co się w poszczególnych środowiskach dzieje. Wiem, lecz bardzo proszę: myślny wszyscy co robić, aby mogło być lepiej, co zrobić, aby ten trudny czas jakoś przetrwać, aby dbać o miejsca szczególnie bolesne.

Już pierwsze pytania jakie padły z ust dyr. Filharmonii Z. Lasockiego wykazały, iż oczekiwania zebranych nie da się zaspokoić krótkimi zdaniami.

— Rozumiem, że sytuacja jest trudna, że trudno się spodziewać od władzy rozpieszczania artystów. Być może, nie zamierzam przesądzać sprawy, liczbą instytucji artystycznych w Polsce jest zbyt wielka. Ale zlikwidowanie jakiegokolwiek instytucji kulturalnej będzie odebrane jako wielka i bolesna strata. Wydaje mi się, że w naszym zubożałym społeczeństwie ministerialny mecenat kultury i... z najbliższe przynajmniej lata winien być utrzymany. Obawiam się bowiem, że przy okazji przejmowania tych sfer życia przez samorządy, bieżące problemy bytowe spowodują zanik zainteresowania kulturą, a to przyniosłoby śmierć niejednej znaczącej instytucji kulturalnej. Rozumiem, że trzeba oszczędzać, lecz jeśli jest już taka ko-

Więc pijmy przyjaciela...

„Więc pijmy przyjaciela” — to piękny tytuł. To tytuł zbiorku 36 wierszy Alfreda Edwarda Dreszera, wydanych w Oficynie Drukarzkiej w Łodzi, nakładem własnym autora.

Nie przepadam za patosem, nie lubię też wierszy patriotycznych, bo zwykle mało tam poezji prawdziwej, a dużo pustych deklaracji, naderżych fraz, mizerii uczuć i myśli; także oryginalności mało i zgrabnej formy; często wiele smutnej nieporadności wobec „wielkich” tematów... A liryka wspierająca się na przyrodzie — to już raczej zupełna makabra... Stąd bardzo rzadko czytam debiuty, a i po klasyczny sięgam nieczęsto. Dlatego zapewne nie zżera mnie wrzód żółdka i nocami nie nawiedzają mnie żil poeci w takim stopniu, w jakim nawiedzają zapewne Jana Marxa.

Ale zdarzają się szczęśliwe przypadki. Do takich właśnie należy fakt, że tomik Alfreda E. Dreszera, trafił do moich rąk za sprawą

mojego przyjaciela, z którym często odwiedzałem swego czasu „miejsca pełne poezji” a i dziś zdarza się nam to od czasu do czasu, acz miejsce takich jest już coraz mniej...

Pisanie o poezji ma — wedle mego głębokiego przekonania — mniej więcej taki sens jak pisanie o malarstwie: wiersze trzeba po prostu przeczytać, a obrazy po prostu obejrzeć. Ale pisze się i o jednym i o drugim, bo takie są obyczaje. To, co z tego nad wyraz często wychodzi, jest równie makabryczne, co opisywana poezja i opisywane malarstwo. Ale nie będziemy już w to wchodzić tym razem, bowiem wiersze Alfreda E. Dreszera nie dają nam ku temu powodów.

„Więc pijmy przyjaciela” jest późnym, bardzo późnym debiutem; w chwili ukazania się tomiku (1989) autor jego liczył sobie 86 lat. Ale „najstarszy” wiersz, jaki się w zbiorze znalazł, pochodzi z 1944 roku i powstał w oflegu

w Woldenbergu — domniemywać zatem należy, iż Alfred E. Dreszer pisał wiersze przez całe życie. I nie jest to żaden wyjątkowy przypadek, że ktoś, kto uprawiał jakiś rodzaj sztuki jako zajęcie „dodatkowe”, obok własnego zawodu — A. E. Dreszer jest ceniowym prawnikiem (studia na Uniwersytecie Warszawskim i w Paryżu) — po „uwolnieniu się” od niego z racji wieku, zwraca się bez reszty w stronę swojej prawdziwej pasji i jej to oddaje swoje serce, swój umysł i umiejętności. I wychodzą z tego interesujące rzeczy i sprawy.

Wartość wierszy Alfreda E. Dreszera dla mnie zasada się przede wszystkim w ich prostocie i uczciwości — jakże obcy mi niezawodnym poetom. A całe jego artystyczne i intelektualne credo zamyka się w słowach:

„Chciałbym — po prostu — / aby słowo było mostem / między moim i twoim / wzruszeniem, / aby było prawdziwe, / dźwięczne, / barwne, / żarliwe. / Słowo jest przecie / jak woda i ogień, / jak powietrze — / chiełbem naszym / powszednim. / Słowo jest siłą / i kunsztem — / w swoim locie / wysokim / (...)

I mało to — i dużo, zarazem, bardzo dużo: wiedza o tym najlepiej ci, którzy — jeśli się borykają ze słowem na co dzień i od święta: bo to przecież jest bez różnicy.

Wojna, miasta, z którymi związany był A. E. Dreszer uczuciem i gorzkim niezapomnianiem, a więc Warszawa i Kielce, natura odradzająca się wdech od nowa w swych radosnych cyklach, odwieczne, podstawowe pytania o sens żywota, bytu i rację działania wszelkiego — są tematami jego wierszy; również ziemia, na której żyje i jej kształt duchowy stanowią pretekst do zastanowienia i radosnej bądź tragicznej refleksji.

Dziś trud ich żołnierski w pomniki stroimy zbyt późno niejednym wciąż jeszcze nie wszystkim.

Z czołbi zbiorku emanuje jednak raczej pogodny nastrój mądrego doświadczenia i przekonanie, że warto było żyć i właśnie żyć tak, a nie inaczej; wierzyć w to w co się wierzyło... To wiele.

ANDRZEJ GRUN

„Reżyseria jest w głosie ludzkim...”

— Rozmowa z KRYSZYŃĄ ROBBACH.

KRYSZYŃA ROBBACH, solistka Teatru Wielkiego w Warszawie, jeden z najspanialszych głosów sopranowych (sopran lirico-spinto z koloraturą), niezapomniana „Lucja z Lammermoor”, żuń spiewa w łódzkim Teatrze Wielkim, tym razem w najnowszej premierze tej sceny „Ernani” Verdiego kreuje główną postać kobiecą, oś całego dramatu — Elwirę.

— Zdaje się pani wyjątkowo dobrze czuć w rolach dramatycznych heroin młotanych wielkimi namiętnościami. Czy to jest właśnie pani operowe emploi, czy o takim obsadzeniu zdecydował przypadek?

— Jak pan wie, śpiewam przecież wiele różnych partii. Z uwagi jednak na możliwości głosowe — jestem obsadzana w rolach dramatycznych. Czuję się śpiewaczką verdiewską. A opery Verdiego, jak wiadomo, wymagają specjalnych predyspozycji wokalnych. Trzeba więc w tym przypadku dysponować koloraturą, odpowiednią siłą głosu i również siłą wyrazu. Mam w swoim repertuarze szereg ról verdiewskich. Są to: Marchesa del Poggio w operze „Il finto Stanislavo”, Giselda w „I Lombardi...”, Abigail w „Nabucco”, Violetta w „Traviacie”; no i Elwira w „Ernani”. Zamierzam przygotować także: „Aida”, Leonorę w „Trubadurze” i Desdemonę w „Otelu”. W swoich planach, i to w najbliższym czasie, mam również partię Normy Belliniego, a więc Verdi przede wszystkim, ale nie tylko! Tyle zatem w związku z pytaniem o moje emploi. Natomiast co do roli przypadku — to przecież wszystko w tym zawodzie jest jednym ciągłym przypadkiem. Inwazja rynkowych zasad gospodarowania może to jeszcze bardziej pogłębić.

— Jaka jest pani najnowsza rola verdiewskiej Elwiry w „Ernani”?

— Mogę ją określić jednym słowem: skali. Wymaga ogromnej skali, dźwięk „c” powtarza się kilkanaście razy. Partia zaczyna się od koloraturowej arii, stopniowo jest coraz bardziej dramatyczna, a w niektórych momentach niemal mezosopranowa.

W liście do Guglielmo Brenny sam Verdi napisał: „Gdzie jest prima-donna, która mogłaby zaśpiewać jedno po drugim, wielką cavatine, duet, który kończy się tercetem i cały finał, jak to ma miejsce w pierwszym akcie „Ernani”? Verdi zdawał więc sobie doskonale sprawę z tego, jak trudne zadanie stawia przed żywym instrumentem, jakim jest głos ludzki.

— Zwykle śpiewa pani najtrudniejsze partie, co wymaga ogromnej kondycji, techniki, predyspozycji psychicznych. Jak pani stara się o to wszystko dbać?

— Wszystko polega na intensywnej, systematycznej pracy. Ćwiczenia, ćwiczenia, ćwiczenia. I odpowiednia higiena głosu. Efekt końcowy zależy nie tylko ode mnie. Trzeba pamiętać o wszystkich pośrednich etapach prowadzących do premiery, składa się na to praca sztabu ludzi pracujących w teatrze. Nie ma elementów mniej istotnych.

— Czy wciąż pozostaje pani pod opieką wokalną swego pedagoga?

— Pod opieką wokalną Romana Werlińskiego jestem już wiele lat. To on czuwa nad moim rozwojem, podbudowuje psychicznie, choć nie raz mnie krytykuje, wytyka błędy etc.

— Po premierze „Ernani” Janusz Janyst napisał w „Odgłosach”, że „powinna pani wzmożnić dot i złagodzić górę”. Pani wnikliwie czyta i analizuje to co piszą o niej recenzenci?

— Wszystkiego nie czytam. Robi to mój mąż. Z recenzji staram się brać to, co może wzbogacić mój warsztat. Przytoczona uwaga jest mało precyzyjna i trudno o niej tu dyskutować.

— Recenzentka „Głosu Porannego” napisała, że „Ernani” to wydarzenie artystyczne sezonu, a recenzent „Odgłosów”, że publiczność była znużona statyczną i koncertową reżyserią, wychodząc po I akcie i właściwie broni się tylko muzyką?

— Skoro recenzent „Odgłosów” liczył wychodzących z teatru, to nie mógł się skoncentrować na tym, co działo się na scenie. Jeśli znalazł się ktoś, kto opuścił teatr

wrzucając do kosza bilet za 12 tysięcy złotych, to nie warto nad tym ubolewać. Nie dla takich „melomanów” chciałabym w Łodzi śpiewać. Warto natomiast podkreślić bardzo gorące przyjęcie, jakie zgotowała nam premierowa publiczność, co podkreśliła recenzentka „GP”.

— Reżyseria Jose Louisa Pereza była jednak szalenie konwencjonalna, uproszczona i statyczna. Czy to pani odpowiadało?

— Bardzo mi odpowiadało. A tym, którzy po przedstawieniu odczuli niedosyt proponuję, aby wybrali się do cyrku lub oglądali program satelitalny „Super”. Tam dużo i szybko mięga przed oczyma.

— Ale w takim ustawieniu dzieła strona wyrazowa (aktorska) postaci schodzi na drugi plan, pozostaje sam popis wokalny, a we współczesnym teatrze operowym chyba nie tylko o to chodzi?

— „Współczesny teatr operowy” to moim zdaniem zbyt ogólne pojęcie. Premiera „Ernani” odbyła się w 1942 roku. Dzieło kompozytora należy wykonywać tak, jak on sobie tego życzył. To trzeba przede wszystkim zaśpiewać. Maria Callas powiedziała kiedyś:

„Reżyseria jest w głosie ludzkim”. Jeżeli ktoś nie lubi głosu ludzkiego i opery, to rzeczywiście może powiedzieć, że tu nic się nie dzieje.

— W stołecznym Teatrze Wielkim, na którego etacie wciąż pani pozostaje niewiele śpiewa?

— Ostatnio mało jest w tym teatrze repertuaru na mój głos. Dotychczas zdążyłam tam jednak zaśpiewać: Szamachańska Królową w „Złotym koguiku”, Violetta w „Traviacie” i „Lucję z Lammermoor”.

— Powróciła pani do Łodzi i... — Rzeczywiście do pewnego czasu moja współpraca z łódzkim Teatrem Wielkim jest bardzo intensywna. Daje mi to wiele satysfakcji. Tu przecież tyle się dzieje.

— Co w najbliższych planach? — Za kilka dni wyjeżdżam wraz z łódzkim Teatrem Wielkim na miesięczne tournée z operą „Nabucco” do Francji i Belgii. A po powrocie? Już wspominałam!

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI



nieczność, likwidujemy zespoły najsłabsze. Łódzka Filharmonia należy z pewnością do najlepszych w kraju, tymczasem gaże u nas odbiegają znacznie od tego co mają orkiestry znacznie niższej rangi. Nam może grozić udział z powodu braku środków. Apeluję więc: jeśli któryś zespół miałby paść, to w warunkach konkurencji, w uczciwych zawodach o prymat artystyczny i wtedy dopiero niech padnie słabszy. Mamy w Łodzi duży potencjał kulturalny, wiele instytucji o wysokim poziomie artystycznym i znacznym dorobku, lecz nie stawia to nas w uprzywilejowanej sytuacji, tym bardziej finansowej. Spowodowane jest to niezrozumiałym rozdziałem środków z centralnego funduszu przeznaczanego na kulturę. Nie wiem czym się władze kierują — metrami kwadratowymi, kilometrami, czy liczbą mieszkańców? — ale w moim odczuciu dostajemy znacznie mniej niż inni. I jeszcze jedna sprawa: istnienie coś takiego jak koszty uprawiania zawodu. W przypadku artystów muzyków rosną one lawinowo. Jeszcze trzy lata temu komplet strun do skrzypiec kosztował 15 tys. złotych, w tej chwili — 250 tysięcy. Taki komplet, przy bardzo ostrożnym i oszczędnym użytkowaniu, wystarcza skrzypkowi orkiestrowemu na półtora, dwa miesiące. Komplet strun do kontrabas kosztuje dziś 450 tysięcy złotych. Tymczasem gaża muzyka orkiestrowego wynosi 230 tysięcy złotych miesięcznie. Nie mówię już o cenach instrumentów, niebotycznie wysokich. Cena trąbki czy puzona to dzisiaj 25—30 milionów złotych. Trudno uznać za normalną sytuację, w której takśdwarz nie może kupić samochodu a muzyk instrumentu.

— Drodzy państwo. Pieniądze na kulturę, a więc środki jakimi dysponuje ministerstwo są relatywnie takie same bądź większe, za to po-

trzeby o wiele większe, bo zmieniamy cały system funkcjonowania gospodarki. Budżet przeznaczony na kulturę, będący procentem od podatków, jest malutki jak sam budżet, do którego wpływamy są nieproporcjonalnie niskie, gdyż wszyscy jesteśmy biedni. A skoro ludzie są biedni to nie chodzą do teatrów nie kupują obrazów, książek itd... Nie powtarzamy więc znanych prawd. Nic na to, nie poradzimy, że ceny instrumentów są takie. Owszem, mnie to ogromnie martwi, tyle, że nie nie mogę zrobić,

Kultura i

bo nie mam żadnego na to wpływu. Nie ma takiego budżetu, który by wystarczył na kupowanie potrzebnej ilości instrumentów, także dla szkół muzycznych, które ich nie mają. Poprawi się sytuacja gospodarstwa, wtedy będziemy mogli myśleć o poprawie sytuacji i w tym zakresie. A teraz sprawa samorządów. Jesteśmy o krok przed wejściem do samorządów, niepokój jest ogromny, bowiem w tej chwili decydujemy także o losach kultury. Ale skoro powiedzieliśmy „a” musimy powiedzieć „b”, skoro głosowaliśmy za tym, żeby wyrwać władzę z rąk władzy i oddać ją w ręce ludu, musimy być konsekwentni. Sama się tego strasznie boję, gdyż zdaje sobie sprawę z wielkiej odpowiedzialności. Zrujnowana gospodarka, zrujnowany kraj. Kiedy więc władza przejdzie w ręce samorządów, ludzie będą żądać nie filhar-

PESTKI DYNI

Najpierw anegdota. Rouen jest miastem rodzinnym autora „Cyda”, Corneille’a, a zarazem miastem, w którym spłonęła na stosie Joanna d’Arc. W tym mieście stała w charakterze świadka w „procesie teatralnym” Aleksander Dumas.

— Pański zawód? — pyta przewodniczący. — Pisarz dramatyczny, jeśli wolno mi tak siebie nazwać w mieście, które wydało na świat wielkiego Corneille’a.

Z kolei staje przed sądem młodziczka aktorka. — Pani stan cywilny? — pyta sędzia. — Dziewica, jeśli wolno mi to wyznać w mieście, gdzie paliło się na stosie...

A propos dziewczę: kronikarz rzymski S. Infessura („Diario della città di Roma”) podaje, że pod koniec XV wieku, w samym Rzymie, było 6800 prostytutek na 70 tys. mieszkańców...

Robert Gervaso, autor książki o rodzinie Borgiów („Borgiowie” Książka i Wiedza 1989) — napisał również biografie Gagliostro, Casanovy, Nerona i z Indro Montanellim 6-tomową „Historię Italii” — powątpiewa mocno w tę informację, posiadając wręcz Infessura o nienawiść do papieżkiej rodziny i kłamliwą stronniczość w malowaniu jej czasów, ale i tak przyznaje, że musiało ich być bardzo dużo.

Rzymskie „córy Koryntu” dzieliły się — jak wszędzie i zawsze, gdy zlewają się w koktail dość powszechnie piły wielkie ambicje i namiętności, ogromne fortuny i anarchia moralno-obyczajowa — na lepsze i gorsze: na kurtyzany i nierządnie.

Te luksusowe utrzymanki — pisze Gervaso — można by porównać z greckimi heterami. Sprzedawały nie tylko swoje ciała, ale i intelekt, były zarazem kapłankami Wenery, jak i Pallas Ateny, obok rozkoszy alkowy zapewniały przyjemności salonu. Kochanki i towarzyszyki życia kazały się nazywać „madonnami” i mieszkały w bogatych apartamentach eleganckich dzielnic. Były wykształcone, znały łacinę, a te, które miały największe „wzięcie” nawet grekę, czytywały klasyków, deklamowały wiersze Petrarke, umiały tańczyć i śpiewać, grać na harfie i lutni, mówiły o wszystkim w wdziekim i znajomością rzeczy, bywały w teatrach i ambasadach. Ubięrały się ekstrawagancko, tleniły włosy, malowały się jaskrawo, nosiły głębokie dekolty odsłaniające piersi i obwieszwały się ogromnymi klejnotami. Najbardziej ekscentryczne spacerowały z psem lub małpą na smyczy. Były bardzo pobojne, nigdy nie opuszczały mszy, regularnie spowiadały się i przystępowały do komunii, przestrzegały skrupulatnie postów, a w czasie Wielkiego Postu nie przyjmowały klientów. I być może niejedną zmarła in odore sanctitatis.

Nierządnie były mniej wykształcone, mniej wyrafinowane i mniej szczęśliwe. Żyły z dnia na dzień, a raczej z nocy na noc, pracowały w burdelach, w cieszących się złą sławą łazienkach publicznych lub na ulicach. Otaczała je powszechna pogarda, a kariery ich były krótkie.

Wszystkie one napaływały do Rzymu z najróżniejszych stron świata. Największą ich wylegarnią była Emilia, wiele pochodziło z Toskanii i Lombardii, nie brakowało Wenecjanek. Naderżymy powodeń miały Greczynki, bardzo wiele było Hiszpanek, jeszcze więcej Francuzek, można było spotkać nawet Albanki, a także jedną Turczynkę, którą wręcz rozrywano... „Z usług prostytutek z największym zapalem korzyści duchowni, ale i szlachcice, mieszczaństwo i plebejusze byli stałymi i dobrymi klientami...”

„Prostytucja nie podważała w najmniejszym stopniu instytucji małżeństwa” zabartowanej przez cudzołóstwo, usprawiedliwione zresztą tym, że związki małżeńskie zawierano częściej z wyrachowania niż z miłości. Ci — a było ich wielu — którzy żenili się dla interesu, nie uważali ani za grzech, ani za przestępstwo zdradzenia swej żony lub swego męża. Ulatwiał to fakt, że mężczyzna korzystał z absolutnej swobody, a kobieta przynajmniej do czasu, gdy Hiszpanie usadowili się na półwyspie i narzucili bardziej surowe normy obyczajowe, mogła sobie pozwolić — i pozwałała — na lekkomyślność”.

„A nieunikniona konsekwencją tej rozwiąłości była ogromna liczba bękartów...”

O bękartach wielkich i bękartkach małych — kiedy indziej.

ANDRZEJ GRUN

monii, lecz przedszkoli, żłobków, szpitali. Muszą tego żądać, bo taka jest hierarchia potrzeb. Walczyliśmy wiele lat, aby kultura stała się potrzebą codzienną i, niestety, nie stała się. Jak powiedziałam, najpierw człowiek musi być najedzony, a potem dopiero szuka wyższych wartości. Naszą rolę, rolę ludzi kultury, jest walczyć, aby w tym trudnym okresie te wyższe wartości przetrwały, aby o nich nie zapomnieliśmy. Musimy zaufać ludziom, musimy zaufać zbiorowej mądrości Polaków. Mądrości, która

pusta sakwa

wygrzywa, skoro godzimy się na stan w którym żyjemy, skoro wykazujemy tyle cierpliwości i wytrzymałości. Sądzę, że nowe samorządy też tak szybko z tych wyższych wartości nie zrezygnują. Jestem optymistką, a sygnały, jakie do mnie docierają z odległego terenu, gdzie ludzie walczą o każdą księgarnię, bibliotekę, zdają się to potwierdzać. A teraz o stawkach: kto onich decyduje, dlaczego są takie niskie? Drodzy państwo, układ jest taki jaki jest, mam tylko prawo dawać pieniądze do województwa, a województwo dzieli dalej. Jedną rzecz zlikwidowałam na pewno, a mianowicie: nie daję — jak dawali moi poprzednicy — na tzw. głowę, bo przecież rzecz nie w utrzymywaniu tysięcy nikomu niepotrzebnych ludzi. A skoro tak, to trzeba funkcjonować inaczej, na zdrowych zasadach. W momencie kiedy skończy się ten ro-

Jeszcze zanim Vaclav Havel został prezydentem Czechosłowacji, o jego dramaturgii było już głośno, i to nie we własnym kraju, gdzie jego utwory krążyły przez długi czas w nieoficjalnym obiegu. Te okoliczności rozbudziły, jak sądzę, dwojakiego rodzaju zainteresowanie pierwszymi u nas, oficjalnymi już prezentacjami jego sztuki, — czy mianowicie twórczość ta zawdzięcza swój rozgłos głównie jak to bywa, niepowstędnym okolicznościom towarzyszącym, czy też zawiera trwałe wartości artystyczne.

Wstępny dialog między głównym bohaterem, młodym i utalentowanym naukowcem Jindřichem Fousiką, a zagadkowym i obmierzłym osobnikiem, niejakim Fistulą, który odwiedza go w jego mieszkaniu, zapowiada wprawdzie problematykę o pewnym wymiarze filozoficznym — wkrótce jednak akcja banalizuje się, utworz przestacza się w deklaracyjną agitkę w konwencji satyry nie najwyższego lotu. Oj, jakis tam naukowy instytut medyczny, oparty na dygnitarskich stosunkach hierarchicznych, prowadzi fasadową działalność pod przykrywką politycznego frazesu.

Jest to więc dość powierzchowna krytyka zjawisk występujących, jak niestety zgadnąć, w tzw. realnym socjalizmie, której słabością jest brak merytorycznych odniesień, do jakiejś uchwytywnej tematyki; nie wystarczy przeciętne wezwanie do



Na zdjęciu: Bohdan Mikuc i Jan W. Poradowski.

fidentem dyrektora, którego główne „naukowe” zadanie polegało właśnie na tropieniu ideologicznych „odchylen”. Co znamienne i poniekąd zaskakujące, bohater przegrzywa z przeciwnikami nie tylko sytuacyjne, ale i... moralne. Za-

Foto: Andrzej Brustman

Kto trzyma z diabłem?

JERZY KWIECIŃSKI

walki z pieniącymi się wśród młodzieży postawami irracjonalnymi. Mało pożywny dla myślowego przewodu sztuki okazuje się tak ogólnikowo zarysowany przedmiot kontrowersyjny, stąd też sporo jałowej żonglerki słownej, sporo objawianych z namaszczeniem prawd, które zarówno w polskiej literaturze jak i publicystyce ostatnich wielu lat, dawno przestały stanowić polityczny tabu, stając się łatwym żerem popularnych satyryków.

W tę materię polityczno-ideologiczną wpleciono erotyczny wątek, którego motywacje i uwikłania mogą jedynie zaświadczać, iż utalentowany pracownik naukowy bywa wobec kobiet naiwny jak szubak.

Gdy nagromadzenie banału stało się niemal wszechogarniającą, z wyjątkiem scen między bohaterem z nachodzącym go tajemniczym gościem, zawsze ważkich intelektualnie, intrygujących psychologicznie zaczęło się we mnie rodzić podejrzenie, iż to reżyser nie potrafił znaleźć „sposobu” na sztukę, jak choćby przez stworzenie ironicznej dystansu do nieznośnego werbalnego dialogu między kochankami, jak również przez mniej groteskowe ujęcie scen zebraniowoburowych, co przydałoby im drażliwość i podbudowało spójność konwencji przedstawienia.

Zaczęło też kiełkować przypuszczenie, że w akcie następnym ukryte dotychczas znaczenia ujawnią swą właściwą wagę, pogłębia moralno-filozoficzną refleksję. I od pierwszych scen drugiego aktu też się dzieła zaczęło. Bohater podejrzewany przez dyrektora, zresztą szlachetnie, o uleganie, z oduszczenia tajemniczego gościa z erotycznym naukom, sprzącznym z obowiązującymi kanonami „naukowego światopoglądu”, zaczyna cynicznie prowadzić podwójną grę. Udaje przed kierownictwem instytutu, że podjął się na własną rękę demaskowania szkodliwych ideologicznie infiltracji, wobec zaś Fistuli gra rolę odrażającego bojownika w służbie nauk tajemnych.

Raptem nasz doktor Jindřich zostaje zdemaskowany, jako iż demoniczny Fistula okazał się kon-

mie on bowiem pewną regułę gry, ustalającą nieprzekraczalną granicę lojalności wobec tej ze stron, która potrafi zapewnić bezkarności i osłonę przed odpowiedzialnością. Jest to moralny przewrotny, respektujący istnienie przestępczego kodeksu moralnego. Dyrektor i jego konfident okazują się więc ludźmi większego formatu niż prowadzący dwulicową grę z gruntu wrażliwy i pełen dobrych intencji, doktor Jindřich, któremu wiara w diabła okazuje się potrzebna dla usprawiedliwienia własnego upadku.

Postacie tej sztuki wydają mi się jednak wymyślone „plakatowo”, stąd też nie dostarczają wystarczającego materiału do budowania wiarygodnych osobowości. Uwzględniając to, trzeba uznać postać dr Jindřicha w wykonaniu JANA W. PORADOWSKIEGO za przekonującą, z zastrzeżeniem, iż sam proces wyzbywania się zasad nie został dość wyraźnie uwidoczniony. Konsekwentnie choć nieco stereotypowo kreślił dygnitarską sylwetkę Dyrektora BOHDAN MIKUC. Niemal inwencji wykazała MIROSLAWA MARCHELUK, żeby tchnąć indywidualność w schematycznie nakreśloną postać Wilmy. Bodaj najlepiej pomysłana postać Fistuli zyskała pełny teatralny wymiar, dzięki LECHOWI GWITOWI, przydającemu rys tajemniczości trywialnym cechom konfidentem.

Myślę, że ta sztuka Havela swoim specyficznym klimatem ma szansę pozyskania sobie publiczności.

WALCZYŃSKI

Vaclav Havel: „Kuszenie”. Przekład — Andrzej Sławomir Jagodziński. Reżyseria — Jacek Zembruski, scenografia — Dorota Morawetz, muzyka — Przemysław Gintrowski. Premiera w Teatrze Nowym, 10 marca 1990 roku.

Konfrontacje '89

W czasie dorocznych konfrontacji filmowych zobaczymy jedenaście wybitnych filmów, które zdobyły w ubiegłym roku zasłużoną sławę. I tak w kinie „Bałtyk” (w dniach 21—27.03.) zobaczymy dodatkowo słynny film „Rain Man” — reż. R. Levinson, ze świetną rolą Dustina Hoffmana. W kinie „Włókniarz”, zobaczymy w tym samym czasie „Missisipi w ogniu” — reż. A. Panter — również słynny dramat społeczny, a zaś w kinie „Wisła” (w dniach 21—25.03.) „Burdliwy poniedziałek” — reż. M. Figlis, film o sensacyjnej fabule. W tym samym kinie (w dniach 26—27.03.) obejrzymy komedię amerykańską w reż. M. Nicholasa,

pt. „Pracująca dziewczyna”. Miniprzegląd najciekawszych filmów „Konfrontacji '89” zorganizowane zostaną również w kinie „Polesie” i „Świt”, nie mówiąc o programowych projekcjach w kinie „Iwanowo”.

Niezależnie od wspomnianych tu filmów w ramach tegorocznych „Konfrontacji '89” obejrzymy: komedię prod. REN pt. „Bagdad Cafe” w reż. P. Adlona, dawno zapowiedziany film Juliusza Machulskiego „Deja Vu”, radziecki obraz A. Rokożina pt. „Straż”, amerykański film sensacyjny w reż. J. Frankenheimera pt. „Czwarta wojna” oraz angielsko-francuski film pt. „Kucharz, złodziej, jego żona i jej kochanek” (reż. P. Greenaway), amerykańską komedię obyczajową pt. „Sex, kłamstwo i kasety wideo” (reż. S. Soderberg) i wreszcie program zamyka francuska komedia pt. „Neo w zgroźnym” (reż. J. P. Mocky).

stanowiąc jak dzielić, aby w pełni zaspokoić potrzeby społeczne, w tym także potrzeby ze sfery kultury, które decydują o życiu narodu. Powtarzam więc: jestem ministrem kultury i sztuki ale w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, dlatego nie mogę powiedzieć wicepremierowi Balcerowiczowi, że moim ludzom, moim kochanym twórcom, należy się dużo więcej niż wszystkim innym; niech sobie górnicy, hutnicy tyrają, my musimy mieć więcej, bo jesteśmy naznaczeni palcem bożym Nie. My tak samo musimy czekać cierpliwie, jak wszyscy, aż budżet będzie wyrównany, abyśmy mogli dzielić jak należy.

Komentując pytania o stawki autorskie minister Cywińska stwierdziła: — Stawka autorska wynosi dziś 320 tys. złotych, a i ta jest już dzisiaj za niska. A w ogóle to uważam, że pisarze winni mieć takie stawki jakie wynegocjują z wydawcami, że będąc na własnym rozrachunku wydawnictwa winny same decydować o ich wysokości, a pisarze nie decydują, gdzie będą wydawać. Musimy dojść do normalnego, europejskiego stanu, musimy walczyć, aby o takich sprawach nie decydował minister. Jest opracowany w Łodzi świetny system edukacji kulturalnej dzieci i młodzieży, system który bez pieniędzy nie ma najmniejszej szansy na rzeczywistość choćby realizację.

Wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi biblioteki, dzieci, młodzież, tam wszelkie programy muszą być wspierane w ramach dotacji celowych. Człowiek dorosły potrafi wytrzymać trzy, cztery lata bez kupowania nowej książki. Ale gdy dzieci odusnęły od kultury na tak długi czas, będziemy mieli kłopot naród.

Głos w dyskusji zabierał ponadto: M. Borusiewicz, K. Frejlich, J. Urbankiewicz, A. Herder, L. Benoit, E. Łukaszczyk, Z. Jaskuła.

Izabella Cywińska, w towarzystwie gospodarzy miasta wysłuchała pierwszego koncertu jubileuszowego z okazji 75-lecia Filharmonii Łódzkiej, który odbył się w kościele ewangelicko-augsburskim.

MARIAN ZDROJEWSKI

Kronika

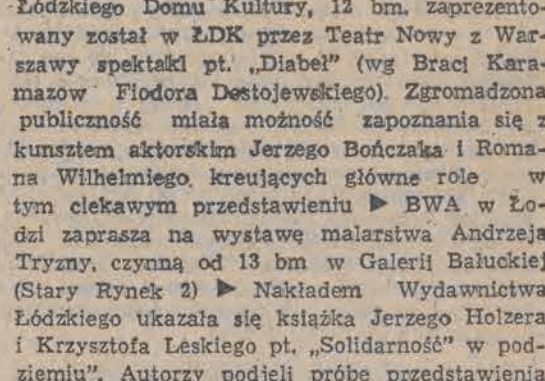
W Łódzkim Muzeum Tradycji Niepodległościowych (ul. Gdańska 13) otwarta została 18 bm. interesująca ekspozycja dla uczczenia 90. rocznicy działalności Józefa Piłsudskiego w naszym mieście. Wystawa ta zorganizowana została pod patronatem Społecznego Komitetu Pamięci Józefa Piłsudskiego w Łodzi i Interdyscyplinarny Zespół Naukowo-Badawczy Międzynarodowej Komunikacji Językowej przy Katedrze Filologii Klasycznej UŁ organizuje w dniach 24 i 25 marca br. przy współpracy z Sekcją Indo-europejską PTF, sesję pn. „Europejski Wspólny dom a międzynarodowa komunikacja językowa. Prelekcje będą się odbywały w siedzibie Katedry Filologii Klasycznej (ul. Narutowicza 54) i Miłośników talentu Ewy Demarczyk uciechy z pewnością informacja, że w dniach 23, 24 i 25 marca br. artystka ta wystąpi w Łodzi ze spektaklami swego teatru. Odbędą się one w Teatrze Wielkim (godz. 19). Publiczność Łódzka będzie miała możliwość usłyszenia m.in. utworów jeszcze nigdzie nie wykonywanych i w Galerii DK „Karolew” (ul. Bratysławska 6a), 9 kwietnia br. o godz. 18) otwarta zostanie ciekawa wystawa rękodzieła artystycznego z Krosna i w ramach cyklicznych spotkań teatralnych pn. „Mistrzowie Małej Formy”, organizowanych pod auspicjami Łódzkiego Domu Kultury, 12 bm. zaprezentowany został w ŁDK przez Teatr Nowy z Warszawy spektakl pt. „Diabeł” (wg Bracj Karamazow Flodora Dostojewskiego). Zromadzona publiczność miała możliwość zapoznania się z kunsztem aktorskim Jerzego Bończaka i Romana Wilhelmiego kreujących główne role w tym ciekawym przedstawieniu i BWA w Łodzi zaprasza na wystawę malarstwa Andrzeja Tryzny, czynną od 13 bm w Galerii Bałuckiej (Stary Rynek 2) i Nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazała się książka Jerzego Holzera i Krzysztofa Leskiego pt. „Solidarność” w podziemiu”. Autorzy podjęli próbę przedstawienia dzieł NSZZ „Solidarność” od pamiętnej nocy grudniowej do obrad „okrągłego stołu” i Przychylając się do wniosku zespołu prezydent Łodzi, Waldemar Bohdanowicz mianował dyrektorem Łódzkiego Teatru Muzycznego Włodzimierza Michalskiego (związany z tą sceną już od 13 lat), zaś dyrektorem artystycznym — Zbigniewa Czeskiego (znanego reżysera spektakli muzycznych). Muzeum Sztuki zaprasza 23 marca br. (o godz. 14.00) na spotkanie z Gaborem Szilasi, wykładowcą fotografii w uczelniach artystycznych Kanady, poświęcone problematyce współczesnej fotografii kanadyjskiej. Spotkanie odbędzie się w sali odczytowej Muzeum Sztuki (ul. Więckowskiego 36) i w Centralnym Muzeum Wióklennictwa w Łodzi otwarta została 15 bm. wystawa prac Jędrzeja Sępa p. „Obiekty”.

ZAPROSILI NAS: Biuro Wystaw Artystycznych w Łodzi na wernisaż: Izabelli Gustowskiej do Ośrodka Propagandy Sztuki w Łodzi (park im. H. Sienkiewicza 22 bm. godz. 14); malarstwa Henryka Starkiewicza — w Salonie Sztuki Współczesnej w Łodzi (27 marca br., godz. 14); Antykwariat Naukowy PP „Dom Książki” w Łodzi VI Łódzką Aukcję Antykwaryczną, która odbędzie się w dniach 4-5 kwietnia br. w Sali Koncertowej Muzeum Historii Miasta Łodzi.

Opracował: JAK

Galeria pisarzy

MICHAŁ JAGIEŁŁO



Rys. Sławomir Arabski

OGŁOSZY 9

Kiedyś ludzie to rozumieją i zmieniają do nich swój stosunek

Życie z pocałunkiem śmierci

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Przed dwoma tygodniami było w Polsce około 700 nosicieli wirusa HIV. JAK TO SIĘ STAŁO?

ONA: — Na imię mam Krystyna, mam 21 lat, jestem matką 2,5-letniego dziecka. Nie chodzę do lekarza, bo gdybym się ujawniła, to nie zostanę zbadana. Nie ujawnić się nie chcę, bo nie chcę narażać innych.

Zaraziłam się przez narkotyki. Zaczęłam brać, bo byłam z chłopcem, który śpiał. Na początku byłam największym wrogiem, narkomani omijali mnie z daleka, aż wreszcie załamalam się i... Przed rozpoczęciem leczenia w ośrodku MONARU robione są badania i wyszło, że mam HIV-a.

To był szok, tym bardziej, że mam dziecko i wydaje mi się, że tylko dzięki niemu jakoś to wytrzymałam. Gdyby nie dziecko, to albo epałabym nadal żeby się wykończyć, albo popełniłabym samobójstwo. Balam się przyszłości... Dziecko jest zdrowe.

Znając moją mamę i jej poglądy mimo wszystko nie pomyślałam, że mogłaby mnie odrzucić. Balam się tylko, że w niej mogłoby się coś zalać. Na wszystkie moje wybryki mama reagowała bardzo negatywnie. Kiedy dowiedziela się, że biorę narkotyki nie próbowała ze mną rozmawiać, zrozumieć mnie. Po prostu potępiła mnie, straszyla, że odbierze dziecko. Do tej pory nie może uwierzyć, że mogę z tym żyć, kaže mi wysłać kartkę do siebie dwa razy w tygodniu. W ośrodku, wśród ludzi z problemem jak mój czuje się bezpieczniej. W domu miałabym spokój, tolerancję, ale to tylko u mamy bo mieszkam w małej miejscowości i tam wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą.

ON: — Mam 32 lata, nazywam się Piotr, nazwiska — myślę — lepiej nie podawać. Przez pięć lat pracowałem — byłem operatorem sprzętu budowlanego. Nie jestem żonaty. Dobrze, że wiem, że jestem nosicielem, bo przynajmniej nie zarażam innych. Na razie nie dostrzegam żadnych objawów.

Zaraziłem się jak większość nosicieli w Polsce — przez używanie cudzych igieł, strzykawek. Narkotyzowałem się przez 12 lat. Zaczęło się od ciekawości, chciałem spróbować co to jest i jak to jest. Gdyby nie badania w MONARZE nie wiedziałbym, że jestem nosicielem wirusa HIV.

Najpierw było załamanie, ale dobrze się złożyło, że byłem w grupie i wszyscy starali się podtrzymać mnie na duchu. Będąc w ośrodku pomyślałem kiedyś, że niezależnie, czy będę żył rok czy dwa, to nie umrę jako narkoman. Żal mi straconego życia i tego, co mogłoby być przede mną, ale przecież nikt mi nie wciskał strzykawki do ręki.

Wróciłem po leczeniu do domu i powiedziałem, że jestem nosicielem. Szok był wielki, ale później, już na spokojnie dano mi do zrozumienia, że lepiej byłoby gdybym zamieszkał gdzie indziej. Wprawdzie rodzice mówili, że pomogą mi przez najbliższy czas, ale ja od razu wziąłem walizkę i wyszedłem z domu.

Miałem kiedyś dziewczynę, była zdrowa i chciała mnie. Nie myślałem, że są tak szalone dziewczyny. Byliśmy razem, ale to ja powiedziałem nie! Nie mam z nią żadnego kontaktu i nie potrafię powiedzieć czy jest zarażona.

Grupy największego ryzyka to: homoseksualiści, biseksualiści, prostytutki, narkomani i chorzy na hemofilię. W regionie łódzkim zarejestrowano 12 nosicieli. Jeden zmarł.

CO DALEJ? JAKIE NADZIEJE?

ONA: — Wszystko to, co się ze mną stało jest konsekwencją mojego postępowania, ale mogę z tym żyć. Dla mnie życie jest nadal piękne. Nie wiem ile będę żyła, przecież w każdej chwili mogą się zacząć objawy. Chciałabym zrobić coś dla nosicieli, których będzie w Polsce stale przybywało. Wszystkie, albo prawie wszystkie kraje miały ten problem i jakoś sobie poradziły. Myślę, że kiedy ludzie zrozumieją, co to jest HIV, AIDS i jak można się zarazić, to nie będziemy szczeni jak zwierzęta i zaczniemy być tolerowani.

ON: — Choć nie mam nadziei, że w najbliższym czasie zostanie odkryta jakaś szczepionka i zostaną wyleczeni, to nie uważam, że życie jest dla mnie stracone, i że nie można z tym żyć. Gdybym miał normalny dom i pracę, to czułbym się o wiele lepiej i wcale bym o tym nie myślał. Będąc w ośrodku wcale o tym nie myślałem.

Myślę, że czasem społeczeństwo zmieni do nas stosunek i zacznie nas tolerować, bo w przeciwnym razie może nastąpić tragedia — znajdą się ludzie, którzy na zasadzie odwetu będą zarażać innych.

Nie obrać się. Ale ten nasz dialog, dancinowa paranoja! Ze duszno, jak pani świetnie tańczy, a pański kolega aktor mówił, że pan jest reżyserem, a co, wolałaby pani szewca, i te pe. Takie perełki banału, macanie w ciemności przy pomocy słów, dancinowe ple-pie. W końcu ci o tym napomknąłem. Połapałaś się w niejakości tej paplaniny i aby zmienić nastrój przywarłaś do mnie. Przyznaje, nader skutecznie. Przez chwilę czułem tylko twoje prężne ciało, jego ciepło, obiecującą uległość, a w mózgu myśl — no, no. Ta się spieszy pod męski nozł (Wybacz, Nino, tę dostojną szczerść, lecz chciałaś tego sama). Później zaprosiłem cię do stolika, skąd kiwali na nas dionimi ubawiony Janusz i Jadzia — psycholog. To ona, wczasowym zwyczajem, zaproponowała przejść „na ty”.

Czyniałaś to z nabożeństwem nowicjuszek. Lęk wina, cmok-cmok kolejno z wszystkimi. Zaraz potem Janusz wpadł w swój zwykły trans, jak zawsze, gdy miał podziwiałe go audytorium. Tym razem was, dwie młode ładne kobiety, od najbliższych stolików też strzyżono ku nam uszami. A on już mówił o kulisach życia w

Jak to na wczasach bywa wspaniale!

Gra w miłość

TADEUSZ SŁUPECKI

uzdrowisku. Faceci z Ikrą, Orlop w Zdrojach organizuje sobie sam. Uda się, rozpoczyna podryw już w pociągu, jeśli z nim jadą same emerytki, działa najszybciej.

W oczach Jadzi nieudane zainteresowanie, w swoich też. Sprawdził to uważnym spojrzeniem i już spieszył z nagrodą, dalszym ciągiem pobisu.

— Seniority! Mówiłem o gieldzie panów. Jej gmach, to hol sanatorium lub domu wczasowego. Schodzisz tam ze swego pokoju, odpicowany na sto dwa, spotykasz innych, pytasz fachowo — panowie, jaki towar przyjechał? Nastolatki, średniolaty, emerytki? Jak opakowany? W których pokojach się składuje? (W oczach Jadzi i swoich podryw dla tej swady). Wszedł w hol, przed dyżurką pielęgniarce, pod drzwiami gabinetu lekarza. W korytarzach też. Nicujesz wzrokiem zajeżdżające taksówki lub przybycie wesołej bajki, strzyżesz uszami na ich rozmowy. Podobna ci się ta blondyna? No, to leci „dzień dobry”, potem zagadujesz, pani Krystyna, ten sweter jest i owszem, lecz ładniej pani w zielonej bluzce w groszki. Ona — słup soli, żona biblijnego Lota, była, skąd o niej tyle wiem, a ja macam w kieszeni notes. Gdzie w uzdrowisku notuje wszystko co usłyszę i zobaczę, imiona kobiet ich wiek, wzrost, odcień włosów, nawet kolory bluzek. Także pierwsze wrażenia — „tyczka”, „ciepłe kluski”, „rzadko się myje”, „Palce liczą”, „można zaryzykować”, „szkoda czasu”. Kobiety podziwiają — ale wy, aktorzy, macie pamięć! A ja mam notesik, o ten, gdzie wszystko maczkiem notuję.

Wyjął go z kieszeni ciemnej, wizytowej marynarki. Mignął nim nad stolikiem. Odwrócił się do trzech młodych dziewczyn. Stały za nim w pozie trzech mizdrzących się muz, ćwierkając, by zechciał dowcipami rozgrzać się. Puchi z zadowolenia, zdradzała to jego twarz, ale się wymawiał. Po chwili pogadał z muzykami i wszedł na parkiet, gdy przestali grać. Wziął mikrofon w dłoń, chuchnął w jego pyszczek, głośnym „Proszę państwa!” przygłosił gwar sali. Po minucie przy stolikach buchnął śmiech. A we mnie przybyło niezadowolenia, chęć, aby twój wzrok oderwał od tamtego. Jego głos głużył śmiechy, więc zacząłem niedbale.

— Widzisz, Nino. Na Zdroje i tę salę warto spojrzeć przez inne okulary, niż proponuje Janusz. Oczywiście, też symboliczne. Zakładam

je (tu zrobiłem śmieszny gest, jakbym stroił nimi nos, aż się roześmiałaś) i widzę co? Prawdziwe ludzkie zoo! Nie wierzyście? Przecież w każdym tańcu tu się kolysze, pomrukuje jak parzące się lwy. Hiény i ichorze, ludzka menażeria. Niemniej interesująca. Homo Seksus, człowiek seksualny, intymny. Bo tu z wszystkich motorów życia najważniejszy jest seks!

Pogłaskałem twoją dłoń, oswajałem z mym dotykiem, i rad z siebie, nie zwalniałem rozpędu.

— Wskazać wam parę typów z tej ludzkiej menażerii? Proszę, ta filigranowa wytwornisza, o buźce Japonki, to żona znanego reżysera. Trzecia. Przy niej sympatyczny grubasek, biolog, co po studiach wyjął się na swój zawód, otworzył jakiś warsztat i nieźle się ma. Dalej inżynier Wojtek, chłopcy młody i niegłupi lecz pechowy. W oko wpadła mu tamta znerwicowana ślicznotka, przybyła z małego miasteczka. Jej zmartwienie, to stary, aseksualny mąż, frustracja, nerwica, to podobno lekarz zalecił jej wyjazd po odmiane. Cóż, inżynierowi na złość, już ją obskakuje spawacz Kamiński i krawiec Zieliński. Obok przeczynności asystentka uniwersytetu, kopia pięknych polskich dziew-

Sam skłoniłem się Jadzi-psycholog, gwizdając na miny Janusza. Chwilę kolysałem się z nią na parkiecie sam, taksowany przez sto par oczu z sali, ale już dreptały ku nam inne pary. Pokadziłem Jadzi komplementem, odjąkowałem to jeszcze raz, i zerknąłem za tobą. Pechowy inżynierek obejmował cię wpił desperacko, jakbyś była ostatnią kobietą na świecie, ty płynęłaś przy nim kojąco, z buźką przy jego twarzy. Myśl — lubisz, luleczko, ten styl, czy robisz to na złość mnie? Zreflektowałem się. Idiotka, znowu się wygłupiam. Na co wybrzydzą, czego tu właściwie chcą? Zakonnicy na dancingu?

Wróciłem z Jadzią do stolika. Wachlowałaś się tam chusteczką, z miną księżniczki, opanowana choć zmęczona, przy tobie w porwanym komuś fotelu Wojtek, z gębą zalotnika. Spawilem go bez pardonu, wyjaśniając mu — byś tylko pożyczka, na jeden taniec, dalej toż zajmie się sam. A ty nic, jakby to szło o kelnerkę. Dopiero po chwili, już na parkiecie, spytałaś, co mnie napadło? Wiedziałem, myślisz o tym głupim zagranju z inżynierkiem, lecz siliłem się na chłód, nawet na impertynencję.

— Bo nie lubię, słowiczku, gdy kobieta, która podrywam, gotowa jest pozwalać na to każdemu.

Wypadło to ostrzej, niż zamierzałem. Toteż twoj melodyjny głos napełnił urazę.

— No, wiesz, Leszek! Byś mógł być dla kobiet uprzejmniejszy! I skąd pewność, że się nie mylisz?

Po raz drugi się zreflektowałem. Faktycznie, wygłupiam się, jak zazdrośny szewc. I znowu pytanie, czego właściwie od ciebie chcę? Abyś była ze mną przez dzień, przez tydzień, do końca twojej kuracji? Czy nie godziłaś się na tę grę, nie podejmujesz jej jak piłkę, nie odbijasz i powrotem? To ja wygłupiam się w tej grze, chciałbym podświadomie zmienić ją w smęta, podobną do tej, jaka łączyła mnie z Halą. Więc nowa miłość? (Gdzieś we mnie budziło się niedowierzanie). Miłość? Co to słowo dziś dla mnie znaczy? Co ono w ogóle znaczy, w naszych znaczących czasach? W jakim słowniku znaleźć mógłbyś dla nas do przyjęcia jego tłumaczenie? Rozbierzasz z sukni kobietę, zostaje jej nagoci. Rozbierzasz słowo „miłość”, pozostaje ci seks.

Przerwałś milczenie, terkając mi w twarz. — O czym znowu myślisz? Jeszcze o tym, coś powiedziałeś!

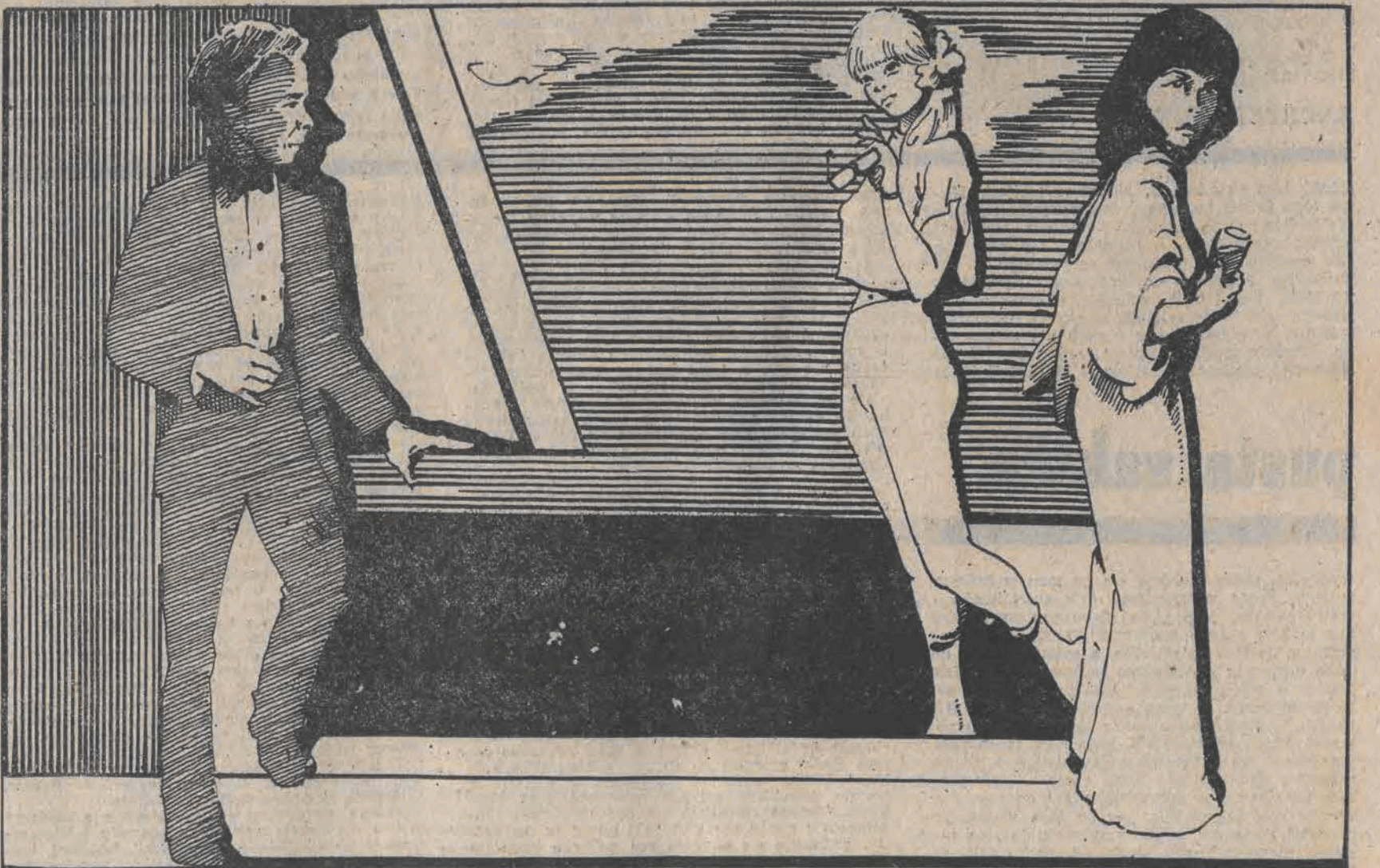
— Przepraszam cię, Nino. Tamto było, mi nieło. Zechciej o tym zapomnieć i ty.

Muzyka ucichła, zapłaciłem kelnerce. Musiałam wracać do twojego sanatorium. W holu sterczał samotnie pechowy Wojtek, więc poznałem go z Anią-hutnicą, stojącą z Pzenicznosnością i typem z broda Wikinga. Potem wyszliśmy z KUBANY, na pustą o tej porze chodnik. Śmiałyśmy się chwilę z dowcipów, mówionych kolejno, później Janusz nawrócił do zwierzeń i dancingu. On w Zdrojach nigdy się nie spieszy, krąży sobie po sanatorium, słucha, popatruje, gdzie tylko się da. Taksuje kobiety w jadalni, w pijalni, na deptaku i dancingu, na plażowej łączce. Bo babcia na oko czasem niepozorna, nieopierzona kurczka, a ujrzyj ją w płazowym kostiumie i staje ci móżg! Co z tego, że z urlopu minął już tydzień lub dziesięć dni. Te, która mu się podoba, poderwie każdemu.

— Nieobrze, Janusku! Mnie wybrałeś chyba za wcześniej. Już po trzech dniach!

To Jadzia-psycholog. Znowu wdając się, z dionią w jego dion. Ty milczałaś, choć jego swada wciąż ci imponowała, patrzyłem więc z ukosa ku Jadzi. Ładna, niegłupia, nawet inteligentna, lecz coś w niej nie pasuje do portretu psychologa, leczącego charaktery. Co, nie wiedziałem.

Janusz zwinął kroku. Przez chwilę przekomarzał się, drepcząc za nami, później ugrzęzł w przychylnym półmroku, z dala od wścibskich świateł ulicznych lamp, calując się tam. Również zwinął, aby mogli nas dogonić, po czym (może to udziela się jak ziewanie?) objął cię wpił i też pocałował. Nie bronilaś się, lecz i nie prowokowałaś. Przed nami, rozprawiając o sporcie i muzyce, gził przykładnie jak para harcerzyków Wojtek z Anią-hutnicą. Odsunęłaś się ode mnie i rodzającego się w nas nastroju.



Rys. Dariusz Romanowicz

Nie będziemy robić konkurencji dr Michałowi Wiślickiej i innym specjalistom, bo my — spojrzmy na siebie z punktu widzenia odżywiania.

Kłopoty z seksem wcale nie są rzadkością, bywają powodem cichych tragedii, nieraz rozwodów z krzywdą dzieci, a wielu ludzi po prostu unieszczęśliwiają.

Nie jestem lekarzem, a jednak... ileż razy musiałam wysłuchiwać zwierzeń na temat seksu. Naturalnie, że można się obejść bez współżycia seksualnego, choć wielu ludziom — nie tylko u nas, ale na świecie — wydaje się to niemożliwe. Księża, zakonnicy i zakonnice ślubują czystość. Bywają też — co prawda bardzo rzadko — „białe małżeństwa” dobrowolnie skazujące się na brak współżycia. Znacznie jednak częściej bywają takie, w których jedna ze stron ma dość partnera. Skargi na współmałżonka dotyczą nieraz całkiem niby błażych spraw. Jemu poca się nogi, ona jest tak tusta... On jej przykro pachnie, one żyje z nim 23 lat, ale nie wie co to orgazm, itd., itp.

Czy tu odżywianie może coś pomóc? Jak zawsze — może, choć sprawy seksu wiążą się bardzo silnie ze sprawami emocjonalnymi, uczuciowymi, namiętnościami, pobudzeniem płciowym...

Co prawda badań naukowych nad wpływem odżywiania na seks — jak dotąd — nie było zbyt wiele. Wiadomo, że do prawidłowego działania hormonów płciowych potrzebne są: białko, NNKT, witamina E, niektóre witaminy z grupy B i niektóre mikroelementy, między innymi cynk.

Brak białek lub spory ich niedobór powoduje spadek zainteresowania seksem i spadek produkcji spermy. Przy braku witaminy E — tak u zwierząt jak i u ludzi — spada produkcja hormonów płciowych (witamina E chroni te hormony przed rozbitiem przez tlen).

Wiadomo z doświadczeń ostatniej wojny, że ludzie w obozach koncentracyjnych — głodzeni — tracili zainteresowanie seksem, a dziewczyny i kobiety traciły nawet menstruację. W ogóle osoby w wieku reprodukcyjnym, nie odżywiane należycie — tracą wpływ na hormony płciowe i na ich działalność wydzielniczą.

Mężczyzna, którego organizm odczuwa wyraźny brak witaminy B6 staje się impotentem. A podczas stresu — zainteresowanie seksem może mijać, a produkcja spermy się zmniejszać. Ilość i jakość spermy jest proporcjonalna do ilości witaminy E w męskim nasieniu.

Gdy człowiek dostarcza swemu organizmowi — w wieku reprodukcyjnym — około 1600 kcal dziennie, to zainteresowanie seksem wyraźnie spada. Zaczyna się coś w rodzaju melancholii, niepokoju, depresji, czasem hysterii... Ludzie odczuwają zmęczenie, osłabienie, spada chęć do pracy, ręce i stopy stają się zimne, trudno skoncentrować myśli, nieraz ucieka się od ludzi, staje introwersyjnym. Jeśli jeszcze zmniejszy się ilość kalorii i witamin z grupy B — wszystkie te objawy się intensyfikują.

Niektóre osoby, szczególnie młode dziewczyny i kobiety, zadowolają się 1600 kaloriami dziennie. Moda na odchudzanie miewa też swoje złe strony. Młode dziewczęta chcą być koniecznie szczupłe i po prostu się głodzą. Dobrze jest być szczupłą, mieć zgrabną, zrezonant sylwetkę, ale trzeba dostarczać organizmowi wszystkiego, co jest mu potrzebne, bo inaczej nie będzie silny, zdrowy, młody... 1600 kalorii dla normalnego, średnio wysokiego człowieka dziennie — to za mało. To dobre dla karłowatki. Po dłuższym okresie takiego odżywiania nieuchronnie się zjawia wyraźny brak zainteresowania seksem, a więc oziębłość.

Mężczyzna, który pije dużo alkoholu i przez to też mało jada (bo alkohol dostarcza mu wprawdzie sporo kalorii, ale pustych, bez koniecznych dla zdrowia składników odżywczych), jest po prostu zagłodzony, choć nie odczuwa głodu. I jest też niezdolny do współżycia płciowego, do erekcji, choć wraca do normy, gdy jest prawidłowo odżywiany.

Gdy brakuje witaminy B.

Podczas bardzo wielu doświadczeń na wolonariuszach — mężczyznach i kobietach — okazało się, że brak któregoś z witamin z grupy B — niemal uniemożliwiał współżycie seksualne.

Ci, którym brakowało witaminy B1, szybko stawali się zmęczonymi, apatycznymi, depresyjnymi, zapominalskimi, niespokojnymi, nieoperatywnymi, łatwo wpadali w irytację, lekceważyli swoją pracę, swój wygląd, zaczęli być nietolerancyjni, szczególnie czuli na hałas, cierpieli z powodu bezsenności, znerwicowania, wykazywali tendencje paranoiczne i hipochondrię. Wszystko to stosunkowo szybko mijało, gdy im tę witaminę podawano w odpowiednich ilościach.

Brak witaminy B3, czyli PP (niacyn amid) powoduje dezorientację, trudności w kojarzeniu, a nawet halucynacje i chorobę umysłową. Nieraz tacy chorzy stają się niebezpieczni dla otoczenia. Ale — bywa, że w 48 godzin po odpowiedniej dawce tej witaminy wszystko wraca do normy. Niedobór (a nie brak) tej witaminy powoduje porytowanie, podejrliwość, stany lękowe i depresję. Taki współmałżonek nie jest zdolny do współżycia.

Niedobór kwasu pantotenowego powoduje również depresję, stany porytowania, kłótnie, podwyższoną temperaturę, chęć pozostawania w samotności oraz zupełny brak zainteresowania seksem. Podobne objawy daje niedobór witaminy B6. Ponadto powoduje on dużą nerwowość, umysłowe pustki, sprzyja powstawaniu hemoroidów, przykrego odoru z ust i fatalnego zapachu męczących gazów. Wszystko to — rzecz jasna — nie sprzyja zainteresowaniu seksem.

Niedobór kwasu foliowego również powoduje zmęczenie, roztrągnięcie, stany irytacji, depresji itp. choć wszystko to mija, gdy organizm ma dość kwasu foliowego albo biotyny (witaminy H).

Tak więc niedobory witamin z grupy B, gdy w rodzinie nie zwraca się uwagi na odpowiednie odżywianie, mogą bardzo zaciążyć nie tylko na życiu małżeńskim, ale w ogóle rodzinnym. Małżonkowie się kłócą, są wciąż zirytowani, krzyczą na dzieci, te też stają się nerwowe, aroganckie, przykre, niesłowne... I nieraz doprowadza to do rozpadu rodziny.

Podczas gdy na odwrót — odpowiednie żywienie, dostatek witamin z grupy B — sprzyja miłemu nastrojowi, radości, harmonijnemu współżyciu, seksualnemu zadowoleniu rodziców. Atmosfera miłości udziela się także dzieciom. Inaczej mówiąc, wszyscy są szczęśliwi.

Niedobory rozmaitych innych składników odżywczych mogą również być powodem kłopotów z seksem.

Już niewielkie niedobory magnezu powodują nerwowość, irytację, kłótnie i potrafią zamieć przyjaźń we wrogość. Niektórzy stają się grubiańscy, wojowniczy lub apatyczni. Czasem skropne bóle głowy (również inne bóle,

dużo i bynajmniej dokucały po przeżytym stresie. W takim wypadku nadmierne wydzielanie tyle sodu, który jest wydalaný z moczem, że potrzeba aż około pół łyżeczki soli (np. w rosole, rypie, wodzie), aby przynieść ulgę i chęć do życia.

Jednym z powodów zmęczenia i niechęci do spraw seksu jest bezsenność.

Można ją zresztą wywołać sztucznie u wolonariuszów, nie podając im specjalnie witaminy B6, a także kwasu pantotenowego. Silna nerwowość, której przyczyną jest niedobór magnezu, jest również związana z niezdolnością do zaśnięcia, ale się cofa, gdy magnez się przyjmie.

Niedostateczna ilość wapnia albo trudności z jego przyswajaniem mogą również być powodem bezsenności. Kto cierpi na bezsenność powinien brać około 2 g wapnia dziennie albo wypijać litr mleka z dodatkiem mleka sprosz-

czyc. A w dodatku te produkty zwiększają jeszcze zapotrzebowanie na jod.

Jeśli organizmowi brakuje witaminy E, to tarczyca zmniejsza przyswajanie jodu do 5 proc. normalnego. Ponieważ gruczolę, chcąc skompensować niedobór, mogą się stawać zbyt aktywne, albo toksyczne, każdy z nadczynnością tarczycy pobiera (lub powinien) sporą dawkę witaminy E przez dłuższy czas. Biorąc 500 mg witaminy E dziennie, można spowodować, że tarczyca przyswaja dwa razy więcej jodu i białka związanego z jodem. Zatem ci, którzy mają toksyczną tarczycę mogą sobie pomóc, biorąc dziennie 4 do 6 mg jodu.

Dieta bogata w białka przyspiesza aktywność oszałego gruczolu tarczycowego przez dostarczenie aminokwasu tyrozyny, który wchodzi w skład gruczolu tarczycowego. Tyrozyna zaś nie może być użyta bez udziału witaminy B6 i witaminy C, a hormon nie może powstać bez choliny. Tyrozyna zaś staje się nieczynną przez działanie tlenu, o ile witaminy C jest za mało lub gdy ulega rozkładowi. Tak więc — wszystko to jest ze sobą powiązane, poplątane i... nie takie proste.

Jod jest nam koniecznie potrzebny i wiele osób ma go za mało.

Wielu lekarzy i żywieniowców jest zdania, że sól jodowana powinna być w częstszym użyciu. Dla niektórych — przydałaby się codziennie. Szczególnie dla osób chorych, także dla wszystkich z nadwagą, z wysokim poziomem cholesterolu we krwi... Ci, którzy mają niedoczynność tarczycy powinni dostawać dziennie około 300 j.m. witaminy E, 4 mg jodu oraz wysokobiałkową dietę i dostateczną ilość witamin: C i grupy B.

Gdy już ktoś ma wole, wymienione ilości składników odżywczych mogą okazać się niewystarczające, ale o tym decyduje już lekarz. Na przykład 6 mg jodu dziennie dla tarczycy źle funkcjonującej — powoduje znakomity wynik, ale dla tarczycy zdrowej może być to dawka wprost toksyczna.

Jod organiczny, np. z rzeżuchy lub z Kelp, jest lepiej przyswajalny i nie tak szybko ucieka z moczem, jak ten z jodku potasu. Podobnie jest z jodem przyswajalnym nad Bałtykiem lub innym, bogatym w jod wybrzeżem morskim (ewentualnie pod tężniami).

Kiedy z tarczycą są naprawdę poważne kłopoty, trzeba użyć leków tarczycowych, ale one muszą być pobierane pod opieką i kierunkiem lekarza. Nawet mały nadatek wzmacnia bardzo zapotrzebowanie na inne składniki, szczególnie witaminowe i mineralne.

Są tacy, którzy twierdzą, że dopóki się żyje, choćby ponad sto lat, to zainteresowanie seksem istnieje.

Są jednak inni, którzy twierdzą, że jedną z niewielu zalet starości jest to, że już seks nie rządzi człowiekiem. Odpadają namiętności, można kierować się rozumem, rozumą, doświadczeniem, rozsądkiem, a nie ślepą miłością, opętaniem zmysłami itp.

Niemniej, gdy autorytet w sprawach seksu w USA, dr F. Dunbar przeprowadził ankietę wśród osób w wieku stu i ponad stu lat, pytając czy już stracili zainteresowanie seksem, odpowiedzieli mu, że: — Nigdy! Wielu mężczyzn zachowało jeszcze potencję, a niektórzy nawet się żenili, mimo przekroczenia setki lat.

Zresztą znane są przypadki nie tylko słabów po 80 roku życia lub po setce, ale i nawet urodzenia dzieci przez młodsze żony statków. Czyli, że... byleby było zdrowie, to i seks sprzyja! (Witamina E odgrywa tu ważną rolę, co też udowodniły doświadczenia na zwierzętach).

Opinia, że na stare lata nie można już grzeszyć jest archaiczną pozostałością purytańskiego wychowania, nie mającą nic wspólnego z rzeczywistością. Ktoś ładnie powiedział, że: mając te... dziesiąt lat, nadszedł już najwzrostszy czas, by być lekkomyślnym... Niemniej... nikt nikomu nie każe poddawać się namiętnościom, jeśli nie chce.

Kłopoty z seksem mają wiele przyczyn. Tym przyczynami mogą być, np. gniew, lęk, obawa, strach, zbyt słabe lub zbyt silne potrzeby emocjonalne, nawet te z wczesnego dzieciństwa, i różne inne zahamowania... Nieraz są tak poważne, że niektórzy chodzą do seksuologów lub psychiatrów, by się leczyć. Mężczyźni nie godzą się z impotencją, kobiety chcą zamać orgazmu, o którym nieraz słyszą, choć po wielu latach pojęcia małżeńskiego i urodzeniu kilkorga dzieci — nie mają pojęcia, co to jest i nigdy go nie przeżyły. U wielu osób już drobnostka potrafi zgasić cały żar uczucia lub pożądania. Bywa i tak, że gdy mija gniew — mija i chęć do miłości. Organizm jakby się wyładowywał w złości.

Niemniej każdy człowiek potrzebuje, wprost musi kogoś kochać. Również potrzebna jest ludzkom wzajemność kochania, nie mówiąc już o stronie fizjologicznej miłości, która nieraz z uczuciem nie ma nic wspólnego, choć — naturalnie — ideałem jest, aby jedno i drugie łączyło się z sobą. A poza tym, aby było trwałe — na całe życie. I choć wiele zależy od zdrowia, więc i od odżywiania, to jednak w grę wchodzi też sprawa od żywienia niezależne, choćby charakter, psychika, wychowanie, religia itd. itp.

Dla przykładu powiedzmy, że np. istnieje w świecie, a także i u nas, taka grupa ludzi, którym ich religia (sekta pochodząca z Indii) nakazuje kochać się wzajemnie, pomagać sobie, być wegetarianami (niemniej cebula i czosnek są zakazane), odbywać wspólne medytacje, ale odciąć się zupełnie od seksu. Jest to jeszcze jeden dowód, że bez seksu — też można się obyć i być szczęśliwym, jak twierdzą członkowie tej sekty.

Fragment książki pt. „Wenus i Ateleta” przygotowywanej do druku przez Wydawnictwo „ALFA”.

Bez seksu można żyć, ale... po co?

Musisz mieć kłopoty, bo źle się odżywasz!

IRENA GUMOWSKA



Rys. Dariusz Romanowicz

np. po operacjach) ustępują szybko po podaniu wody, soli i małej ilości magnezu.

Niedobory białkowe (nierównowaga pomiędzy aminokwasami) mogą spowodować depresję, apatię, pragnienie, by wszyscy odczuli się. Takie stany, często powodowane niewłaściwym odżywianiem, są przyczyną — niekiedy — zazywania środków uspokajających (między innymi niedobór wapnia powoduje nerwowość i chęć zazywania tych środków). A one mogą być właśnie przyczyną nieporozumień małżeńskich, niechęci do współżycia seksualnego, kłótni i niezadowolona obu stron.

Przy tym z taką depresyjną osobą nie jest łatwo, gdyż zwykle brak jej apetytu i niesychanie niechętnie sięgałaby po bogate w białko pożywienie. Brak apetytu pogłębia się, niechęć do jedzenia wzrasta, a wraz z tym — także niechęć do spraw seksu. Tymczasem wzbogacone mleko, kiełki pszenicy, drożdże potrafią przywracać spokój w rodzinie i seks w małżeństwie.

Jest wiele przyczyn, które potrafią wywoływać zmęczenie, a każde utrudnia współżycie. Anemia, kłopoty z wątrobą, niedobór lub brak któregoś z witamin z grupy B, nerwowość spowodowana niedoborem wapnia i magnezu — to wszystko są powody negatywnych emocji i uczuć. Nawet — niezjedzenie śniadania może być powodem zmęczenia w ciągu dnia i tego, że nie się nie chce. Nieraz odrobina chlorku potasu przynosi niemal natychmiastową ulgę.

Również i zbyt niski poziom cukru we krwi może być powodem zmęczenia, apatii, nerwowości, osłabienia, drżenia rąk, bólu głowy. Dobrze jest niewielkie ilości cukru, ale często — dostarczać organizmowi w formie np. słodzonej herbaty (lekkiej), ciasteczka, a najlepiej owoców. Reguluje sprawę także żywność bogata w witaminę z grupy B oraz w białko, jak drożdże, kiełki, zarodki pszeniczne, watroby...

Osoby ze zbyt niskim poziomem cukru we krwi — poza tym zupełnie zdrowe, bo nie im nie dolega, są jednak depresyjne, apatyczne, zagubione, bez celu w życiu, bez zainteresowania seksem. Ta odrobina cukru jest nam jednak potrzebna. Przede wszystkim natychmiast odżywia i pobudza mózg, poprawia ogólnie samopoczucie, a w rezultacie pobudza też zainteresowanie seksem.

Ból głowy połączony z niskim poziomem cukru oraz niskim ciśnieniem krwi może trwać

kowanego, witaminy B6, kwasu pantotenowego, magnezu i wapnia — przynajmniej na pół godziny przed pójściem spać. Wapń i magnez mogą również pomóc na nocne kurcze w łydkach, które wiele osób wyrwyją z snu, bo są bardzo bolesne. Czasem są one skutkiem niedoboru witaminy E i wtedy ta witamina pomaga.

Niski poziom cukru we krwi bywa często przyczyną bólu głowy czy migren. Potrafią też te bóle zniknąć, gdy się zje nieco cukru. Czasem przy bezsenności takim stanem spowodowanej — kostka cukru przed snem wszystko szybko załatwia. Ale może to też być np. słodka gruszka lub inny owoc (przypomina się Tadeusz Boy-Zeleński i jego „Słówka”: „jeszcze dwie gruszki zjadł do poduszki”... itd.). Także odrobina chlorku potasu może być lepsza i skuteczniejsza od np. aspiryny.

Tyrosyna — hormon tarczycowy — kontroluje szybkość każdej reakcji, jaka się w naszym organizmie odbywa. Osoby, które syntetyzują zbyt mało tego hormonu, tracą też zainteresowanie seksem. Dokuczają im też zmęczenie, zimno, szczególnie w ręce i stopy; zwykle też mają zwolniony puls, niskie ciśnienie i przeważnie łatwo przybierają na wadze już od niewielkiej ilości kalorii. Trzeba im dostarczać więcej jodu w pożywieniu, aby gruczol tarczycowy mógł produkować ten hormon.

Duży niedobór jodu powoduje powstawanie wola, które szybko potrafi się powiększać, jeśli jod nie jest odpowiednio przyswajany, czy też w ogóle dostarcza się go zbyt mało.

Jeśli dziecku podaje się tylko 8,5 mg jodu potasu dziennie przez zaledwie kilka dni, to tarczyca ma spokój na następne 6 miesięcy (jod jest łapczywie przyswajany i wdzicznie przetrzymywany).

W bardzo wielu doświadczeniach na zwierzętach okazywało się, że niedobór lub brak jodu powoduje ciężkie krwawienia w gruczole tarczycowym. Przy tym można je szybko zahamować, podając jod. Ranki też szybko się zablizniają, ale taka zablizniona tkanka nie może produkować potrzebnego hormonu i tu już nie pomaga podawanie jodu. Trzeba przypomnieć, że wszystkie rośliny — warzywa z rodziny kapustnych, także mąka sojowa i orzeszki ziemne zawierają mniej lub więcej substancji, która łączy się z jodem i nie dopuszcza do jego przyswojenia przez tar-



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia - podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

22 marca — **ANDRZEJ GĘBAROWSKI** —
godz. 10—15.

29 marca — **DARIUSZ DOROŻYŃSKI** —
godz. 10—15.

TELEFON 36-77-70 CZEKA NADAL NA CIEBIE.

**RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W
DNIU 15 MARCA 1990 R.**

Pani Bogumiła F. (dane personalne znane redakcji), pilnie poszukuje leku o nazwie MYA-CALCIC. Posiadacz wymienionego specyfiku proszony jest o telefoniczny kontakt z nr 36-52-44 za co z góry w imieniu naszego zainteresowanej, dziękujemy.

Pan Kazimierz M. (dane personalne znane redakcji), pilnie poszukuje leku o nazwie MYA-CALCIC. Posiadacz wymienionego specyfiku proszony jest o telefoniczny kontakt z nr 36-52-44 za co z góry w imieniu naszego zainteresowanej, dziękujemy.

sonalne do wład. redakcji), jest ojcem dziecka z wadą postawy. Dzienny pobyt dziecka w jednym z dwóch istniejących w Łodzi sanatoriów wynosił aż 2,5 mln zł! Pan K.M. postuluje, aby dziećmi z wadami postawy zajęły się szkoły przy współudziale służby zdrowia. Chodzi mu o to, by w szkołach wprowadzić zajęcia rehabilitacyjne dla małych dzieci, gdyż obecnie nie wszystkie one są objęte leczeniem (za mało miejsc w sanatoriach i przerażające budżet rodzinny koszty).

Pani Anna T. (dane do wiadomości red.), skarży się, że z faktu przyłączenia Wiskitna do Łodzi (ludzie tego nie chcieli) zwiększyły się jedynie podatki, natomiast woda w wodociągu jak była żółta tak i pozostała, a obecnie ledwie ledwie cieknie (chcąc napoić krowę, trzeba czekać godzinę na napełnienie się wiadra). Co na to Urząd Dzielnicy Łódź — Górna?

EUGENIUSZ IWANICKI

**PSTE JATKI
W WESOŁEJ**

Elżbieta Stępkowska ujawniła w „Kurierze Polskim”, że w Wesołej koło Warszawy oficerowie 1 Praskiego Pułku Zmechanizowanego urządzili... polowanie na psy. Polowanie trwało dwa dni i użyto do niego żołnierzy jako nagonki. Miało trwać też dzień trzeci, ale na skutek interwencji oficerów nie biorących udziału w psiej masakrze dowódca pułku mjr Piotr Makarewicz zakazał dalszego strzelania i — jak wyjaśnił w liście do „Kuriera Polskiego” odebrał oficerom prawo posiadania broni sportowej. Zapewnił również, że winni poniosą należną im karę. Mjr Piotr Makarewicz ubolewa, że niektórzy oficerowie 1 Praskiego Pułku Zmechanizowanego poderwali dobrą opinię pułku.

WITOLD B.



14 marca otwarto w Łodzi Studium Języka Angielskiego, które będzie powiązane bardzo ściśle z najbliższą czytelnia British Council w Polsce. W uroczystości otwarcia wzięli udział: prezydent Łodzi Waldemar Bohdanowicz, dyr. British Council w Warszawie Charles Chadwick, prezes Towarzystwa Przyjaciółki Polsko-Brytyjskiej prof. dr hab. Jacek Pisiak, władze UL, z rektorem prof. dr hab. Leszkiem Wojtczakiem.

Foto: Grzegorz Gałański

Czy można oszukać „Westę”?

„Westa” wystąpi wkrótce w kilku procesach sądowych i dla nikogo nie powinno być to zaskoczeniem... poinformował ostatnio prezes Rady Nadzorczej Spółdzielczego Zakładu Ubezpieczeń — Janusz Barański.

Powtarzają się przypadki wyłudzenia bądź próby wyłudzenia odszkodowań od „Westy”. „Jotex” z Kielca za skradziony sprzęt elektryczny „wycisnął” z „Westy” 16 milionów tytułem odszkodowania. Gdy jednak sprzęt udało się odzyskać właściciel przecenił jego część, sprzedał wśród osób zaprzyjaźnionych, a firmę — rozwiązał.

W Zielonej Górze właściciel drogiego, zachodniej produkcji samochodu ubezpieczył go na kwotę około 100 milionów złotych, a 2 tygodnie później zgłosił jego kradzież. Przeprowadzone z inicjatywą „Westy” wycieki „międzynarodowe” dochodzenie wykazało jednak, iż sprytny właściciel sprzedał auto w Austrii. Ostatecznie oddał zakładowi ubezpieczeń bodaj 10 milionów, jakie otrzymał tytułem odszkodowania, prosząc o puszeczenie całej afery w niepamięć.

Były i podobne próby w Łodzi, choć „Chemia” nie była w „Weście” ubezpieczona, a inne pożary finansami firmy bynajmniej nie zachwiała — dodał prezes Barański, przypominając, że podobnie jak na całym świecie i u nas obowiązują zasady, iż sam ubezpieczony musi udowodnić że poniósł straty. Nie wystarczy zgłoszenie utraty mienia powiadomienie kilkunastu milionów, trzeba jeszcze udowodnić, że faktycznie się ono tam znajdowało. Niektórzy „lekko” przesadzają, starając się dowiedzieć, jak choćby pewna firma z Radomia, iż niemiennie straszy bez śladu nawet spore ilości żelaznych grzejników.

(D.D.)

PARADOKS

Pewien mój znajomy, przeczytawszy w gazecie, że w Polsce zostanie zbudowana największa na świecie huta „Katowice” stwierdził: cóż, warto zaopatrzyć się w większą ilość żyletek bo kiedy ten gigant ruszy, na pewno nie będzie się czym golić. Po latach, kiedy żyletek całe miesiące nie było w sprzedaży, przypomniałem sobie jego prorocze słowa.

Przebojem najbliższego sezonu ma być prywatyzacja. Słowo to powtarza się w deklaracjach rządowych i na wszystkie sposoby odmiennie się w prasie. Jak na razie jedynym zauważalnym efektem trendu prywatyzacyjnego jest samolikwidacja zakładów rzemieślniczych, zawieszanie działalności przez prywatnych producentów itp.

Raz jeszcze dał o sobie znać polski paradoks potwierdzony wcześniej zniknięciem żyletek.

J.d

KOMUNIKAT Z POLA BITWY

Trwa zaciekła walka między „Gazetą Wyborczą” (łódzkie wydanie) i cotygodniową Niezależną Kolumną Przewidywacza Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego w „Dzienniku Łódzkim”. Toczą się zażądane polemiki na płaszczyźnie politycznej, a nawet lingwistycznej, jak tego dowodzi spór o słowo „geszet”. „Niezależni” z uporem godnym większej sprawy dowodzą na przykład, że to słowo, pochodzenia niemieckiego, wprowadził do literatury polskiej łodziarz Julian Tuwim. Otóż nie miłi panowie, o pierwszeństwo mogą ubiegać się Henryk Sienkiewicz („Mieszaniec literacko-artystyczny”), Bolesław Prus („Lalka”) i Ignacy Maciejowski-Sewer („Zyzna”).

Wyraźnie zastępcza polemika wokół „geszetu” znamionuje ukrytą potyczkę o jakiejś zgola innej wartości i sprawie. Jakiej?

W niemieckim istnieje zwrot: „Ein grosses Geschäft besorgen”. Nie chodzi tu o wielki interes, można to przełumaczyć: zrobić kupę! Coś nam to wszystko niemilo pachnie!

kof.

Tym razem inaczej o Józefie Stalinie

Książka nie tylko dla byłych komunistów

Temat „wyczynów” Józefa Wissarionowicza w dziedzinie porachunków dyktatora z jego rzeczywistymi bądź urojonymi przeciwnikami może wydać się już wyczerpany. Pora na pogłębione, poważne przyjrzenie się systemowi, który sparaliżował system władzy, uduł gospodarkę, sprowadził szczytne (lub jak kto woli — utopijne) założenia socjalizmu do poziomu ponture karykatury. Wydaje się, że tak myśleć może polski czytelnik po fali publikacji prasowych i książkowych, jaka przetoczyła się przez rynek czytelniczy.

Tymczasem ukazała się niedawno książka, która wprowadzi nie zawiera ekscytujących informacji o tajemnicach Łubianki ani pikantnych kawałków o prywatnym życiu i ponurej osobowości „Wielkiego Nauczyciela”, jest natomiast bardzo rzetelnym zapisem rozwoju bandyckiej dyktatury, od sporu w sprawie Michaiła Riutina — sporu, który Stalin przegrał i był zmuszony zaakceptować zasadę, że nie likwiduje się członków starej, bolszewickiej gwardii, aż po rozkвіт ślepego terronu wyrażającego się nie tylko gigantyczną rzezią oficerów, nie tylko aresztowaniami i egzekucjami najbliższych (i najwierniejszych) towarzyszy Wodza, ale wręcz

masowym ludobójstwem ludzi, którzy nic a nic nie mieli na sumieniu i sami byli najbardziej zdumieni faktem swego aresztowania.

Autor książki o mocnym tytule: „Stalin — demon zbrodni i zła” Andrzej Rosiński, wykonał swoją robotę rzetelnie i solidnie. Oparł się na wielu dokumentach i publikacjach, nie przytacza nie sprawdzonych plotek i wątpliwych anegdotek. Daje możliwie prawdopodobny obraz stalinowskich grzechów, nie tylko przez Józefa Stalina popełnianych.

Z odrobiną przekory powiedzieć można, że Andrzej Rosiński napisał książkę dla... byłych bądź aktualnych komunistów. Dla czytelnika, który może być szczególnie zainteresowany tym wszystkim, co działo się w WKP(b) a zwłaszcza jej kierowniczych gremiach. Najważniejsze partie książki dotyczą zabójstwa Sergieja Kirowa, sprawy Grigorija Zinowiewa i Lwa Kamieniewa, rozprawy z Nikołajem Bucharinem. Wszystko to uzupełnił niesłychanie ciekawymi materiałami faktograficznymi jak kronika ważniejszych wydarzeń z historii partii bolszewickiej do roku 1928 oraz dwoma krótkimi a jakże tragicznymi w swej wymowie aneksami, przedstawia-

KRONIKA TOWARZYSKA

JACEK SYSKI — naczelny redaktor „Literatury” w liście do „Trybuny” poinformował wszystkich zainteresowanych, że dr **MIECZY-SŁAW KRAJEWSKI** od lutego 1990 roku nie jest już zastępcą redaktora naczelnego „Literatury” i działalność polityczną prowadzi na własny rachunek.

Rozpoczęły się prace przygotowawcze do utworzenia Partii Wolnych Demokratów. Wyłoniono trzysobowy zespół inicjatywny, na czele którego stanął ideowy przywódca Ruchu Wolnych Demokratów — **KAROL GŁOGOWSKI**. W skład tego zespołu weszli też **ANDRZEJ KERN** — poseł na Sejm RP z Łodzi. Sekretarzem został **ADAM PLESNIAR**.

RYSZARD NALESZKIEWICZ — zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Rondo” zaprzętał w „Trybunie” przeciw upowszechnianiu fałszywej wiadomości jakoby miało być zawieszono bądź nawet zlikwidowane „Rondo” ma się dobrze, wydaje je spółka z ograniczoną odpowiedzialnością „Rondo-graf”, która nie jest własnością RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

Zaprotestował również **FRANCISZEK SZKLENIK** — redaktor naczelny „Zarzewia” przeciw załączeniu jego pisma do mających być zlikwidowanych. Wprawdzie pismo przeżywa kryzys, ale nikt nikomu wymówień z pracy nie wręczył.

W Łodzi przebywał z wizytą **WASYL KOZNOW** — rosyjski poeta i pisarz, piszący też po polsku, wieloletni wykładowca na Uniwersytecie Łódzkim, od lat już mieszkający w Iwanowie. Dawny współpracownik „Ogłosów”. Wasyl Koznow zakończył prace nad monografią o Januszu Korczaku. Do Polski, gdzie w Łodzi ma rodzinę, wybrał się na 3 miesiące. Wytrzymał zaledwie 2 tygodnie. Nic nie mógł zrozumieć z tego, co się w Polsce dzieje i wolał wrócić do Iwanowa.

Minister spraw wewnętrznych gen. Czesław Kiszczyk zwolnił ze stanowiska zastępcę szefa WUSW w Łodzi do spraw służby bezpieczeństwa na własną prośbę pki. **JANA JASINSKIEGO**.

W Warszawie z Teatru Powszechnego odchodzi **ANDRZEJ WAJDA**, który funkcję dyrektora objął po śmierci Zygmunta Hübnera. Jego miejsce zajmie od nowego sezonu **MACIEJ WOJTYLSKO**.

WITOLD B.

W TEATRACH

W Łodzi czynny jest 8 teatrów (w tym 1 dla dzieci). We wszystkich teatrach obserwuje się spadek liczby publiczności. W Teatrze Nowym jest przeciętnie wykorzystanych 70 proc. miejsc, w Powszechnym — 76 proc. (według danych za styczeń), w Teatrze im. Stefana Jaracza 50-60 proc., w Teatrze Wielkim na 1276 wolnych miejsc zajętych jest przeciętnie 950. Ceny biletów kształtują się następująco: Teatr Nowy 2.300 zł, 2.100 zł, 1.900 zł. Teatr Powszechny 2.550 zł — 1.250 zł. Na bajki — 2.020 i 1.750 zł z dopłatą na Fundusz Rozwoju Kultury. Teatr im. Stefana Jaracza 2.600 zł, 2.000 zł, ulgowe — 2.000 i 1.500 zł. Teatr Wielki 1.500 zł, 1.200 zł. Premiere — 12.000 i 10.000 zł.

I INNE

Wstęp do Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego — 200 zł (uczeń) i 400 zł (dorosły). Video-Disco-Test — wejście 5 tys. zł od osoby (ukłon w stronę gości — cztery pierwsze osoby wchodzi gratis).

Przedstawienie „Hemar” w Teatrze Muzycznym (gościnnie ze stolicy) — jedno miejsce 15 tys. zł.

Bilet do kina „Bałtyk” na film pt. „Predator” — na seanse o godz. 10, 12, 14 — 2000 zł i 1800 zł, na godz. 16, 18, 20 — 3000 i 2500 zł.

Bilet do Filharmonii — na koncerty specjalne — 2000 zł i 1300 zł, na kameralne — 700 zł, 400 zł.

Bilet do zoo — normalny 1000 zł, ulgowy — 500 zł, roczny na okaziciela — 10 tys. zł.

Magda G. Kasia F.

Rozmyślania pani woźnej.

Przezwacze

1. Trzeciego marca w nocnym kinie sensacji telewizyjna pokazała głośny, amerykański „Incident”. Treść w skrócie: Dwóch podstępnych, nastawionych zabawowo do świata młodych ludzi, terroryzuje pasażerów w wagonie metra. Pasażerowie siedzą cichutko niczym myszki pod miotłą, każdy z nich bowiem wyznaje zasadę, że dopóki mnie nie zaczepią to innych — proszę bardzo, można i reżać. Pocziwa zasada pocziwych ludzi. Film kończy się nie tyle happy, ile sprawiedliwym endem, bandziorów zabiera policja, porażonego żołnierza jego życzliwy kumpel, a uwolnieni od brutalnej psychodramy pasażerowie z ulgą opuszczają wagon.

2. Następnego dnia, a więc czwartego, marca, niedzielnym popołudniem znalazłam się w pewnym towarzystwie, które odbyło krótką intelektualną dyskusję pod tytułem: „Moje wrażenia oraz refleksje z filmu „Incident”. Wrażenia pań (wyższe wykształcenie humanistyczne) składały się przeważnie ze zdań wykrzyknikowych: Och, ta obojętność, ta znieczulica, strasznie! lub: Ach, ta młodość, zdeprawowana cywilizacja, pozbawiona moralnych hamulców! W ramach refleksji jeden z panów (doktor habilitowany, medycyna) poddał krytyce bierną postawę obywateli, lecz został zdruzgotany argumentem drugiego (magister inżynier, politechnika): A cóż można począć w tak ekstremalnej sytuacji?, do którego to argumentu dołączyły zbitowane panie, na czym dyskusję zakończono, gdyż podano kawę i drinki.

O człowieku nie wspomniał nikt. Nikt po prostu z tego towarzystwa nie zauważył.

3. „Incident” byłby jeszcze jednym, sprawnie zrobionym obrazem do oglądania dla przezwacze, zasiadających w miełkich fotelach przed ekranami telewizorów marki Helios lub Sony, gdyżby nie główny bohater filmu; bohater, który ani razu nie pokazał widowni swojej twarzy, nie wypowiedział ani jednej kwestii dialogowej. To właśnie on, i tylko on — nie młodzi wykołajeńcy — nadał „Incidentowi” wstrząsającą wymowę moralną.

Po raz pierwszy pojawia się w sekwencji, gdy kolejni pasażerowie wsiadają na poszczególne przystankach metra do wagonu. On już w nim jest. Jak długo odbywa swoją nocną podróż, ilu podróżnych go minie, nie wiadomo. Leży na ławce. Być może, jest tylko pijany, ale być może — potrzebuje pomocy, bo jest chory. Nie wiadomo. To, co się z nim dzieje, nie jest „broszka” wsiadających; jego nieruchoma obecność nie wyzwała żadnych reakcji poza jedną: zająć jak najdalej od niego miejsce.

W końcówce i kluczowej, bełdacie dramatycznej nojnta scenie, gdy już koszar podróżnych skończył się i oto przed nimi wolna droga do wyjścia z wagonu na peron, leżący spada z ławki i staje się przeszkodą. Przeszkodą alternatywną. Albo — albo. Albo pochylił się nad nim, wykastując po dopiero co przeżytych własnych doświadczeniach ludzi odruch, albo przekroczył. Tak, jak przekracza się tarasujący nagłe drogi kamień czy pień. Gęsim rzadkiem, ostrożnie, aby na lawce, nie zaczepić nogą, po kole — przekraczając. Człowiek zostaje sam w zupełnie opustoszałym wagonie, i zaraz ruszy w następny etap swojej niewiadomej podróży, być może — już ostatni. Tego też nie wiadomo.

4. Siódmy marca, środa. Róg Kościuszki i 22 Lipca. Godzina piętnasta z minutami. Główne nateżenie ruchu pieszego i samochodowego: dzisiaj sznur samochodów, chodnikiem potok ludzi. Wszyscy się spieszą. Przejście dla pieszych (UWAGA, WYPADKI!), zatłoczone. Jakiś dzielnym jeźdźni hamuje. Za nim inni, z piskiem opon i klaksonami. Piesi rzucają się na drugą stronę ulicy.

I wtedy dostrzegam tego człowieka, który tam leży, na samym brzegu chodnika, tuż przy jezdni, zawiadając pieszym. Widzę pania, która wdzięcznie przeskakuje przez nogi leżącego. Inni również nie wahają się podczas pokonywania przeszkody. — Co za bydlę — komentuje obywatel — tak się upić — i biegnie, bo samochody ruszają.

5. W PKO proszę, żeby zadzwoniono na pogotowie. Jeśli ktoś leży na ulicy, to znaczy, że jest pijany. Tu są telefony służbowe, i my tu pracujemy. Skoro pan tak lubi się wtrącać, proszę dzwonić z automatu. Koniec dyskusji.

6. Nikt nie ma „średniej” dwudziestolatków. Wychodzą z PKO. Człowiek leży. Potok ludzi płynie. Jedyne, co mogą zrobić, to wrócić do domu i z domu zadzwonić. W tramwaju tłok. Młody mężczyzna siedzi, na kolanach trzyma siedmioletniego oseska. Obok stoi stara kobieta. Osesek wierz się, niespokojny. — Tata, ta pani... — Patrz w okno, durniu! — syczy tatuś.

7. Pogotowie nie przyjmuje zgłoszenia. Należało sprawdzić chuch, oświadczyć głos po drugiej stronie aparatu, pojedziemy do pijaka, a tymczasem umrze człowiek. Dzwonie więc na milicję. Mówią, że pojadą. Może i pojechali, nie wiadomo.

8. Prawie pięćset lat temu Bruegel, wielki moralista palety, namalował przezwacze. Pracują spokojnie w pełnym blasku dnia i żaden nie zauważa, że oto właśnie Ikar kończy swój dramatyczny lot. Jeszcze tylko skrzydło przykryje ostatnią falą. I po wszystkim.

To o anonimowej śmierci Ikaru zamiast rozmyślań. Dziś ich nie będzie. Nie ma o czym. Człowiek, który leżał przy przejściu dla pieszych, Ikarom nie był na pewno.

EWA OSTROWSKA

POLEMIKI

LISTY OPINIE

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

GDYBY W SOKOLNIKACH BYŁ SAMORZĄD

Osoby odwiedzające Sokolniki sporadycznie nie zdają sobie sprawy, że to miasto-ogród bliskie jest dewastacji spowodowanej ludzką beznadziejnością i brakiem troski zarówno o środowisko, jak i o spokój i „porządek publiczny”. Jest kilka spraw, o których należy wreszcie powiedzieć głośno, gdyż dotychczasowe próby załatwienia ich na forum gminnym nie przyniosły efektu. Po sezonie letnim pozostają wśród drzew tony odpadków — puszek, butelek, kubeczków po lodach, papierów itp. Można oczywiście mieć słuszne pretensje do tych, którzy je tam pozostawili, ale z drugiej strony trudno im się dziwić, skoro w Sokolnikach nie ma ani jednego kosza na śmieci! Może ścisiej — nie ma ani jednego ogólnodostępnego kosza na śmieci! (...) Propozycja ustawienia większej ilości koszy i kilku chociażby pojemników kontenerowych, spotkała się z odmową pani naczelnik gminy Ozorków, spowodowaną brakiem funduszy. (...) Ostatnie suche lata sprawiły, że poziom wód gruntowych gwałtownie się obniżył. Co najmniej mieszkańcy, by móc korzystać z działek, zdecydowali się na wiercenie studni głębinowych, przez co poziom obniżył się jeszcze bardziej i nadal opada. Ale poziom wody to jedno, a jej czystość to drugie. Trzy lata temu SANEPID badał wodę studzienną, w której stwierdzono znaczne zwiększenie ilości bakterii coli. Nic w tym dziwnego. Zagęszczenie działek jest ogromne, prawie na każdej jest szamba, więc to, co u jednych z szamba przecieknie do gleby, u innych pojawia się w studni. Gmina jednak nie daje żadnych szans na wodociąg w najbliższym czasie, mimo że okoliczne wsie mają już takie instalacje. Coraz więcej powstaje tu domów całorocznych ogrzewanych węglem, choć dla miejscowości o tak cennych walorach rekreacyjnych jedynym dopuszczalnym paliwem powinien być gaz. Ale o gazociąg można oczywiście tylko marzyć. Do dewastacji środowiska walczy przyczynia się też działalność trzech największych trucicieli — sanatorium, ośrodka MONARU i ośrodka wypoczynkowo-szkoleniowego służby zdrowia „Zdrowie”. Grzybniarze wracający z Sokolnik z pełnymi koszami nie zdają sobie zapewne sprawy, że swój obfity zbiór zawdzięczają dobroczynności tego ośrodka. Wydobywane z przepastnego szamba nieczystości niemal codziennie wylewane są a to na ulicę, a to do lasu, a to na okoliczne pola. Dla „Zdrowia” MONARU i sanatorium jest co prawda przewidziane ścieki, skąd ścieki trafiać miałyby do Bzury (to smutne, choć rzecze tej nie jest już w stanie zaszkodzić), ale zarówno kierownictwo ośrodka jak i traktorysty wiozącego beczkę asenizacyjną bardziej opłaca się pozbyć cuchnącej zawartości jak najbliższą niż wieść ją taką kawał drogi. W 1989r. do codziennych należał widok traktora, który po wydobyciu nieczystości z szamba „Zdrowia” wycofywał się do lasu i całą zawartość beczki wylewał po drugiej stronie ulicy, nie dalej niż 10 metrów od bramy ośrodka. Wydawało się, że bliżej już nie można, ale kierownictwo „Zdrowia” pokazało co potrafi i szamba jeło opróżniać na własnym terenie. Wiele osób widziało jak hektolitry nieczystości zalały ziemię wokół brodzika dla dzieci i trawniki między pawilonami campingowymi. (...) Na szczęście w Sokolnikach mieszka radny Gminnej Rady Narodowej, przewodniczący komisji ochrony środowiska i porządku publicznego — Andrzej Aptabski. Na szczęście Andrzej Aptabski jest również kierownikiem ośrodka „Zdrowie”. Sprawa porządku publicznego to również w Sokolnikach problem niemały. Od kiedy w centrum powstała kawiarnia serwująca alkohol bez żadnych ograniczeń, matki zaczęły mieć powód, by drzeć o los swych pociech. Osoby mieszkające w lesie rzadko odwiedzają ten przybytek. Wieczorami, przeważnie w soboty i niedziele, z okolicznych wsi ścigała do kawiarni tłumy spracowanych rolników, którzy szukają tu godziwej rozrywki. Znalazszy ją wychodzący się przed kawiarnianą bramę, śpią w krzakach, wymiotują lub załatwiają inne potrzeby fizjologiczne. Trzęsiejki, magocy powstaje z kolan, dosiadają motocykli, traktorów, samochodów i podejmują tytaniczną próbę powrotu do domu. Strach patrzeć. Jedynie wypadki samochodowe w Sokolnikach zdarzyły się przed kawiarnią. Kawiarnia nazywa się „Zdrówko” i mieści się w ośrodku „Zdrowie”. (...) Miasto-ogród wymaga ochrony i inwestycji. I na jedno, i na drugie potrzebne są pieniądze. Gdyby w Sokolnikach powstał samorząd terytorialny, który przejąłby gospodarowanie funduszami dotychczas wpłacanymi do kasy Urzędu Gminy w Ozorkowie (opłaty dzierżawne, podatki, kwoty ze sprzedaży działek), już wkrótce bariery finansowe przestałyby mieć znaczenie. Nagle okazałoby się, że nie stanowi problemu wywóz śmieci, woda z głębinowych studni, kanalizacja, może nawet oczyszczalnia ścieków — może gaz?, może centrala telefoniczna?... Jest o co walczyć. I zdaje się, że w Sokolnikach pojawili się już tacy, którzy podejmą tę walkę. List ten pełnym imieniem i nazwiskiem podpisał 11 osób.

reszta, jak się okazuje, też jest ważna, bo wyjaśnia, gdzie my, obywatele tego regionu, jesteśmy w szeregu wymienionej hierarchii. (...)

Zaproszenie Komitetu Obywatelskiego brzmi tak: „Przyjdź może każdy, kogo interesuje samorządność lokalna w Kutnie i akceptuje treść zawartą w nazwie „Komitet Obywatelski” przy poście OKP”. (...) „Nasza Sprawa” piszą: „Komitet Obywatelski nie rości sobie żadnego politycznego przywództwa”. Z takim twierdzeniem nie można się zgodzić. Jeżeli wcześniej żąda się akceptacji treści zawartej w nazwie, czyli KO przy poście OKP, to dobrze wiadomo, że jest to linia polityczna, a nie towarzystwo gry na harmonijce ustnej. (...) Drugi Komitet, czyli Obywatelski Ruch Samorządności Terytorialnej w Kutnie w swojej deklaracji zamieszczonej w „Głosie Kutnowskim” zapowiedział, że: „Ruch ten ma na celu przywrócić prawdziwej samorządności w miastach i gminach na drodze działań demokratycznych przy udziale szerokiego mas społeczeństwa”. Intencje działalności tego Ruchu były zgodne ze społecznym oczekiwaniami. Były, ale nie są, gdyż ten Ruch przestał istnieć. Ruch ten usilnie dążył do połączenia się z Komitetem Obywatelskim przy poście OKP. Po długich przepychankach z obu stron 16 stycznia 1990 r. doszło do połączenia. Zebranie w dniu połączenia Komitetów prowadził Maciej Dercz z KO przy poście OKP. Dziwne to było zebranie. I dlatego uważam, że społeczeństwo Ziemi Kutnowskiej powinno się troszkę o tym zebraniu dowiedzieć. (...) Gdy podczas pierwszej przerwy zarządzonej dla umożliwienia stronom wypracowania stanowiska w swoich grupach na sali została grupa KO, zaczęła się narada w stylu minionej epoki. Maciej Dercz powiedział do zebranych: „Pan poseł, Zbigniew Kamiński, powiedział mi, że jak w skład prezydium KO wejdzie inż. Wirski, to on zrezygnuje z mandatu poselskiego i działalności w KO. A my, proszę państwa, zajmijmy takie stanowisko, jakie w tej sprawie przedstawia nam członkowie Zarządu Kutnowskiego Oddziału „Solidarności”. W dyskusji członkowie zarządu byli przeciwko Zbigniewowi Wirskiemu. Jednak znaleźli się tacy, którzy zaczęli rozważać skutki takiego rozwiązania. Ksiądz z Grochowa powiedział, że nie ma się czego bać, nawet Zbigniewa Wirskiego, bo w prezydium jego grupa będzie w mniejszości i w razie głosowania będzie skazana na porażkę. A dr Grudziński sprawę przedstawił tak: „Przebieg jakichś krótkim czasie możemy zrobić nowe wybory do prezydium i po nich zostaniemy we własnym gronie”. Takie sugestie były nie fair, ponieważ na sali nie było przeciwnika. (...) Gdy nastąpiło głosowanie na dokooptowanie do prezydium KO, inż. Zbigniew Wirski przeszedł w głosowanie i został członkiem prezydium KO nadzorowanego przez poście OKP. Czy społeczeństwo Ziemi Kutnowskiej skorzysta na połączeniu tych dwóch Komitetów? Raczej należy wątpić. Teraz wszyscy muszą zaakceptować treść zawartą w nazwie „Komitet Obywatelski przy poście OKP”. (...) Kto myśli inaczej, jest wrogiem. Byłoby najlepiej, gdyby Klub Obywatelski skupiał wszystkich politycznie aktywnych działaczy, bez stawiania im warunku, że muszą zaakceptować treść zawartą w nazwie Komitetu Obywatelskiego przy poście OKP. W społeczeństwie są ludzie, którzy „głowią” lepiej od niejednego posła. Jednak wielu z nich nie będzie w stanie przebić się przez polityczne bariery i zostać wybranym do rad narodowych różnego szczebla. (...) KAZIMIERZ ZYSKOWSKI

STANOWISKO POSEŁ TERESY ZALEWSKIEJ

W związku z informacją opublikowaną w prasie lokalnej i ogólnej pt. „Piotrkowska Solidarność cofa poparcie” autorstwa ukrytego pod kryptonimem: „Mar” — jako poseł RP oraz członek „Solidarności” uważam za konieczne, aby złożyć następujące wyjaśnienia: Nowo wybrany (17 lutego br.) Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” zapominając o swych statutowych obowiązkach i kompetencjach, zamiast skierować swoje wysiłki na ochronę ludzi pracy, usiłuje kontrolować i podporządkować sobie Komitety Obywatelskie oraz oceniać ich działalność. Wyrażam zdecydowany protest przeciwko dyskryminowaniu osoby pani Ewy Juszkowej-Palubskiej jako dyrektora biura senatoro-poselskiego OKP województwa piotrkowskiego. W ciągu ostatnich kilku miesięcy, najczęściej w soboty i niedziele, odbyłam ponad 70 spotkań w różnych środowiskach uczestnicząc w tworzeniu różnych form i metod pracy Komitetów Obywatelskich. W większości spotkań towarzyszyła mi (bezinteresownie!) pani Ewa Juszkowa-Palubska, która zawsze była i nadal jest dla mnie wiarygodnym i kompetentnym doradcą. Protestuję również przeciwko zarzutom stawianym panu Zygmuntowi Augustyniakowi — przewodniczącemu Niezależnego Ruchu Obywatelskiego w Tomaszowie Maz. oraz uzostawianiu jego działalności i funkcji w Ruchu z działalnością związkową. Z całą odpowiedzialnością stwierdzam, że wymienieni wyrosli z etosu „Solidarności” i zawsze pozostali wierni jej najczystszyemu ideałom. Wysoce oceniam ich bezinteresowność i oddanie dla idei Komitetów Obywatelskich, które podjęły trud kształtowania przemian ustrojowych i gospodarczych. Pani Ewa Juszkowa-Palubska i pan Zygmunt Augustyniak zostali upoważnieni przez Federację Komitetów Obywatelskich woj. piotrkowskiego w dniu 24.02. br. do reprezentowania jej na zewnątrz i nawet jeśli Zarząd Regionu tego w pełni nie akceptuje, nie ma prawa niszczyć kilkumiesięcznej pracy wielu ludzi przez podejmowanie i publikowanie nieodpowiedzialnych uchwał. Wyrażam również stanowczy protest przeciwko deprecjonowaniu działalności pana senatora Tadeusza Zaskórskiego, który także włożył wiele serca i wysiłku w tworzenie Komitetów Obywatelskich. Jego osobisty sentyment dla reaktywowania tradycji PSL, którego był członkiem w 1946 r. w żadnym razie nie może być przedmiotem krytyki Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność”, gdyż jego członkowie też przejawiały różne opinie polityczne. Apeluje do wszystkich środowisk i mieszkańców województwa piotrkowskiego o podtrzymanie działalności Komitetów Obywatelskich. Pamiętajmy, że ich jedyną legitymacją jest poparcie społeczne. TERESA ZALEWSKA

KTO POMOŻE INWALIDOM I RZEMIEŚNIKOWI?

Jestem rzemieślnikiem. Od dwóch lat prowadzę produkcję na rzecz inwalidów. Mam garaż przerobiony na warsztat. Od roku proszę urząd do spraw lokalnych o przydział pomieszczenia, które nie wymagałoby milionowych inwestycji czy bajątków opłat za użytkowanie. Zapraszam wszystkich do obejrzenia warunków, w jakich powstają wózki do nauki chodzenia czy czworonogie laski. Z zadrzocią patrzę na zakłady mające, zupełnie im niepotrzebne, tysiące metrów w pełni uzbrojonej powierzchni produkcyjnej. Po co je oddać państwu, które mogłoby przekazać lokal jakiemuś „prywatyzarowi”, kiedy lepiej płacić, kosztem pracowników, podatki i czekać na bogatego udziałowca z Zachodu. Inna propozycja. Może Zakład Energetyczny mógłby zmniejszyć o np. 50 proc. koszt energii związanej z tak potrzebną produkcją? Są zakłady, które z chęcią ułatwiają życie, jak np. „Społem” przy ul. Ogrodowej 76/78. Przyjęli ciekawościenne rurki do gładzenia (mają odpowiednią maszynę), mimo że nie był to dla nich interes a raczej kłopot. Z tą samą prośbą zwróciłem się do Zakładu Doświadczalnego Regionalnego Związku Spółdzielni Inwalidów — odmówili, mimo że zajmują się tą samą branżą, co moja i dysponują wspa-

MPK INFORMUJE

W piśmie podpisanym przez zastępcę dyrektora MPK w Łodzi — mgr inż. Lucjana Strawę, które jest odpowiedzią na relację z reporterskiego dyżuru, poinformowano nas, że dokonano zmian w rozkładzie jazdy autobusów linii „80” i „83”. Ponadto na krańcówce przy ul. Juliana Tuwima ustanowiono punkt dyspozytorski. Ma to usprawnić komunikację na obu autobusowych liniach. MPK przeprasza też za niedogodności w korzystaniu z tych linii autobusowych. OD REDAKCJI: Pan Czesław Makowski, który poświęcił wiele czasu na wykazanie braków w komunikacji linii „80” i „83” może mieć pełną satysfakcję. Gratulujemy!

WYBÓR

Organizacją wyborów samorządów lokalnych powinny zająć się Komitety Obywatelskie, w których przegląd poglądów społeczno-politycznych obywateli biorących udział w pracach tych komitetów powinien być jak najszerszy. Niestety w Kutnie jest inaczej. W ostatniej dekadzie 1989 roku powstały dwa komitety. Jako pierwszy powstał Obywatelski Ruch Samorządności Terytorialnej w Kutnie, którego liderem został wybrany inż. Zbigniew Wirski. Jako drugi powstał Komitet Obywatelski Ziemi Kutnowskiej do spraw Samorządu Terytorialnego przy poście OKP. I jeden, i drugi w swoim opublikowanym credo przedstawił się społeczeństwu jako wzór demokracji i wszelkich cnót pozytywnych. KO przy poście OKP w swoim piśmie pt.: „Nasza Sprawa” napisał że 18.09.89 r. powstał Komitet Obywatelski Ziemi Kutnowskiej ds. Samorządu Terytorialnego przy poście OKP, zarejestrowany następnie w Komitecie Obywatelskim ds. Samorządu Terytorialnego przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie. Uff!... jak dla mnie nazwa za długa. A co o tej nazwie mogą sądzić ludzie, powiedzmy, nie zorientowani w filozoficznych zawiłościach myślenia prominentów „Solidarności”? Wystarczyłaby nazwa KO ds. Samorządu Terytorialnego. Ale ta

WYBÓR

niałymi środkami produkcji (żeby tak mieć dziesiątą ich część). Zaś, że obecni dyrektorzy i załoga borykają się z ogromnymi kłopotami finansowymi i kadrowymi. Może zakład ten nie produkuje już wspaniałych wózków inwalidzkich a słowo „doświadczalny” w nazwie, dawno nie odpowiada rzeczywistości. W Poradni przy ulicy Wólczańskiej w okropnej ciastocie przechowywany jest sprzęt rehabilitacyjny. Czy nie szkoda pracy innych? Sami fanatycy pracy tej placówki nie wystarczy. W „Expressie Ilustrowanym” z 16.01.1990 r. ukazał się artykuł, z którego wynika, że wiele firm prowadzi produkcję, a niepełnosprawni ze spokojem mogą patrzeć w przyszłość. Gdyby autor artykułu zapoznał się wnikliwie z problematyką, dowiedziałby się, że sytuacja nie jest tak różowa. Dowiedziałby się, że koszty materiałów i energii przekraczają możliwości moje i zamawiających, że w 1990 roku żaden wózek nie opuścił jeszcze mojego warsztatu. W podobnej sytuacji są inni wytwórcy. Inwalidzi nie pojadą, wzorem taksówkarzy, pod Urząd Miasta, aby domagać się swoich praw do normalnego życia. Siedzą w domach oczekując pomocy od ludzi dobrej woli, którym przepisy i papierki nie przysionyły normalnych i zdrowych odruchów i równie zdrowego myślenia. JACEK BRYDA

JEST INACZEJ...

W rubryce „fakty” („Odgłosy” z 25 lutego 1990 r.) zamieszczono notkę zaczynającą się słowami: „Rada Obywatelska przy CZMP... — która akurat z podanymi faktami nie ma nic wspólnego. Rada Obywatelska nigdy nie występowała i pewno nie będzie występowała przy CZMP. Pełna jej nazwa brzmi: Rada Obywatelska Budowy Pomnika-Szpitala Centrum Zdrowia Matki -Polki i jest organem społecznym, który nie ma bezpośredniego związku z funkcjonowaniem Szpitala. Celem, dla którego została powołana Rada, było upowszechnianie idei uhonorowania Polskich Matek oraz inspirowanie inicjatyw społecznej w kraju i za granicą jako pomocy w materializowaniu idei. Pod nadzorem Rady Obywatelskiej, zbieraniem, ewidencją, przekazywaniem zgodnie z przeznaczeniem (cegła, płyty ceramiczne, cement, maszyny, urządzenia, drobny sprzęt, dzieła sztuki, medykamenty itd.), czy wreszcie sprzedażą za zgodą ofiarodawcy darów zajmuje się Sekretariat Rady Obywatelskiej. Prowadzona jest ścisła ewidencja darów, jak również innych przejawów ofiarności społecznej, w tym wpłat pieniężnych, które występowały najliczniej, odpowiednia dokumentacja do wglądu w Sekretariacie. W przyszłości księgi honorowe ofiarności wyłożone będą w Szpitalu. Jeśli mówić o darach liczonych w sztukach, to jest ich setki tysięcy, a może miliony, tu nie chodzi o brak precyzji, tylko o sensowne liczenie w sztukach różnych darowizn, wśród których jest i dzieło sztuki, i cement. Można z trudem zgodzić się na 200 pozycji, ale to też nieścisłość, bo dokładnie zewidencjonowane jest 340 pozycji. Natomiast kontrola NIK obejmuje, zgodnie z życzeniem społecznym — całą działalność wszystkich jednostek związanych z powstaniem i funkcjonowaniem CZMP. Sekretariat Rady Obywatelskiej zawsze służy i służy prawdziwą informacją dotyczącą jego działalności. Nie mogą powstrzymać się na koniec przed wyrażeniem podziwu dla autora notki, który potrafił w krótkim zdaniu zawrzeć tyle nieprawdy. Sądzę jednak, że czytelnik „Odgłosów” woli rzetelność i dlatego proszę o zamieszczenie mojego wyjaśnienia na Waszych łamach. HENRYK ANDRZEJEWSKI Dyrektor Sekretariatu Rady Obywatelskiej Budowy Pomnika-Szpitala Centrum Zdrowia Matki-Polki

„PRZYJNAJE, PADŁEM OFIARĄ PRYMITYWNEJ PROPAGANDY KOMUNISTYCZNEJ”!

Dzięki panu Jackowi Dębskiemu uświadomiłem sobie, że mam wreszcie watek martyrologiczny w swojej biografii. W obecnych czasach jest to cenna rzecz. Otóż okazuje się, że padłem ofiarą wrednej propagandy komunistycznej wypowiadającej się w kwestii oceny działalności gen. Pinocheta. Dokonując przeglądu prasy światowej z lat 70-tych, można zauważyć, że ofiarami owej propagandy padły liczne renomowane tytuły, takie jak: „NEWSWEEK”, „TIME”, „LIBERATION”, „LE MONDE”, prezentujące liczne artykuły poświęcone metodom zwalczania opozycji w Chile. Do grona tych ofiar należą również zaliczyć Amnesty International, która to organizacja opracowała alarmujące raporty w sprawie prześladowań opozycjonistów chilijskich. Dziennikarz francuski J.P. Clerck w „Le Monde”, z 7 października 1988 roku, poddając analizie zmiany zachodzące w Chile pod koniec lat 80-tych, stwierdza, że Pinochet przejmując władzę w 1973 r. działał perfidnie i okrutnie. Warto cytować autora artykułu, gdyż być może będzie to pomocne w przywróceniu p. J. Dębskiemu zdrowego rozsądku, którego domaga się ode mnie: „Oprócz prawicy, prawie całość warstw średnich, chrześcijańska demokracja, Kościół katolicki — ogarnięto bardzo szybko przerażeniem, kiedy stwierdzili w jaki sposób się go (puc) urzęczywił: zbombardowana rezydencja prezydenta, wody rzeki Mapocho niosące przez całe dnie trupy sympatyków Jedności Ludowej, stacyjny pełne działaczy opozycji, cisza nocna rozdzielana odgłosami salw doraźnych egzekucji i uporczywe pogłoski o zaginionych i torturowanych, których jedynie zagorzali zwolennicy, ludzie nieuczciwi lub uśpieni mogli udawać, że nie słyszą”. Za pomocą takich oto metod nastąpiło odsunięcie działaczy lewicy od wpływów politycznych w Chile. (...) WITOLD KASPERKIEWICZ

Lata trzydzieste.

Naraw płytka z łachami piasku. Przy brzegu zasunowana łódź, do której gramole się wraz z bratem Jerzym, chrześniakiem Jerzego Wielkiego. W tle dworek, smukła sylwetka pisarza. Wśród schodów pełno kwiatów. Jakże klomby, aleje, wszystko to jak sen dzieciństwa.

Niespodziewanie łódź zsuwa się z łańcucha i dwa berbecie żeglują leniwymi falami Narwi. Pamiętam jak stryj biegł ku nam, wprost do rzeki. Ktoś woła. Szczęśliwie zacierają się, a ja siedzę, wkrótce na kolanach zacięty Jerzego. Tego samego jeszcze popołudnia przejazdka na wysokim koźle powozu czy wozu. Pełna szczęścia trzymam lejce. Nie zapomnę, bo to była „czwórka”. Byłam pełna uwielbienia dla wspaniałego zegrzyńskiego stryja, który potrafił spełnić dziecięce marzenia. Wówczas jeszcze nie spostrzegłam jego powściągliwości.

Wspomnienie o wielkim dramaturgu JERZYM SZANIAWSKIM.

Odgradzony od życia wielkim plotem

MARIA SZANIAWSKA-CZARNOCKA

Zegrzynek z tamtych lat z całym bagażem ceiremonii, niuansów, wytworną babcią Wandą z Wysłówchów i legendą dziadka Zygmunta, którego długą brodę podziwiałam na fotografii i który wracał po latach we wspomnieniach mojej mamy. Zapamiętałam stryja Jerzego przebiegającego się do każdego posiłku, stosownie do pory dnia, choćby jadł tylko z matką. Pamiętam jadaliśmy pełną stołnicę i te wysokie krzesła, w których ginęła. Największy podziw budził we mnie stół z wbudowanym w blat długim, kryształowym, rymenkowym wazonem i piękny obrus haftowany przez babcię z wyciętym otworem na ów wazon.

Różne to oddzielne rodzaje krajobrazu Zegrzynka. Była to pełna barw i zapachów pasja babci Wandy. Podobno było ich kilkadziesiąt gatunków. Niektóre sprowadzano z zagranicy. Oplaty dworek, zbiegali ku Narwi — a zimą kwitły w oranżerii, którą tu powszechnie nazywano zimowym ogrodem. Stąd także dostały się one na karty dramatu Jerzego Szaniawskiego „Adwokat i róża”, przysyłał do niego jak symbol. Za sztukę tę otrzymuje wówczas Państwo Nagrodę Literacką i Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

Wielki pisarz, a dla mnie wówczas tylko najciekawszy z wujków i stryjów. Miał także ulubione koty. Było ich chyba z siedem. Osobiście je karmił, odkładając na specjalny talerzyk smakołyki z półmisek. Wylegiwał się też tam na tarasie potężny pies Saba.

Nie pamiętam już dobrze — były to może trzy lub cztery przedwojenne wizyty. Częściej zabierano tam mojego brata Jerzego, chrześniaka stryja. Wojna zabrała ten świat bezpowrotnie. Zrujnowany i częściowo spalony dworek i stryj jakby już z innej epoki, zewnętrznie nie ten sam człowiek, zniszczony latami poniewierki i pobytem na Pawiaku. Siedział w fotelu w jakiejś starej, mocno podartej marynarce, sfatygowanym swetrze i filcowych butach, które dawno należałyby odłożyć. Pozostała jedynie nieodłączna fajka, pełen łagodności uśmiech i jeszcze bardziej zamknięte milczenie między otaczającym światem a jego własnym ja.

Takim go zobaczyłam w latach 50-tych.

Wrócił jednak tu — bo, jak sam mówił, „urościłem w tę ziemię jak sosna korzeniami i nie mógłbym żyć gdzie indziej”. Dramatyczną scenę ocalonych, nie pasujących do siebie sprzątek, rozświetlała postać pani Wandy Natolskiej, kobiety niemalże irracjonalnej, którą bez trudu można odnaleźć w Pani Laurze z „Dwóch teatrów”. Postaci pełnej snów, kabał i głębokiej filozofii życia, może jednym skrzydłem wyniesionej z Sorbony Paryskiej — ale drugie skrzydło, cięższe, wykute było przez życie. Po osobistej tragedii, po śmierci męża na Pawiaku, zamieszkała w Zegrzynku. Ona to w czarodziejski sposób potrafiła wskrzesić ciepło i realnie spojrzeć na kłopoty finansowe pisarza, zupełnie bezradnego wobec życia. Ona także — niemal siłą — klejąc, chwytając go za nogi, powstrzymywała Jerzego w tragiczną noc po śmierci w rzece jego przyjaciela Leona Pietrzykowskiego. Pisarz nie mógł się z tym pogodzić, że stało się to właśnie tu, w Zegrzynku. Długo nie mógł się podnieść po tym ciosie. Stryj nie wracał do tego tematu. Opowiadał nam o tym wydarzeniu pani Wanda. Przyjeżdżałam tam niejednokrotnie w studenckich latach z moją piękną mamą. Być może była ona w młodości cichą sympatią Jerzego. Stryj ożywił się. Dzielili się krótkimi uwagami na temat okaleczonych przez cenzurę „Dwóch teatrów”, wspominał powściągliwie jak w Krakowie na premierze rzucało mu różę.

Interesował się także moim poezjowaniem. „Pokaż Marysiu, co tam napisałaś?”. Zabierał moje wiersze do swego pokoju i czytał przed snem. A potem rano: „Pisz, dziecko. Warto. Coś w tym jest...”.

Jedną z wizyt w Zegrzynku przypadała na czas, kiedy zaczynałam pisać dla radia. Przywoziłam próbę słuchowiska „Atlantida”. Zresztą nie bez zażenowania, z bijącym sercem, czytałam przy wielkim dramaturgu moje pierwsze próby teatralne. Mówił: „To nieporozumienie. Skreśl. Nie mów do końca. Trzeba zostawić widzowi...” A potem przed wyjazdem: „Czujesz scenę i dialog...” I chyba tym słowom zawdzięczam, że niejednokrotnie wracałam do tekstów dramatycznych.

Fatalne warunki finansowe, bezłotne podatki, brak wpływu pieniędzy z „Zaiku” po zawieszeniu jego sztuk w teatrze, zatruwały życie pisarza. Pani Wanda skarżyła się nieraz, że Jerzy zmuszony do sprzedania kilku mórg ziemi płakał jak dziecko, młotał się, wpaadał w ziemne nastroje. Krepowały go wobec obcych braki domowe, zważywszy, że odwiedzali go tu ludzie różni, a często były to sprawy podstawowe, jak odzież czy jedzenie.

Innym znów razem — było to jakoś jesienią — odprawiał mnie do Borowej Góry. Podobno, jak mi to od dzieciństwa mówiono — miałam dar przelamywania jego milczenia. Szedł wolnym krokiem. Mimo protestów niósł mi neseserek.

— Oglądałem „Luczniczkę” — mówił — oni

w tej telewizji... nie to co chciałem... było to... — nie dokończył.

Miał poza sobą trudny okres. Po latach zenującego milczenia, gdy na scenie polskiej dla jego twórczości zabrakło miejsca, w jubileuszowym huku, po wielkiej odwilży, trumfalnie przywrócony został scenie polskiej.

— Niesmaczne — wspominał. — Ten sam pan, który skreślił moje sztuki z afiszów teraz mówił: — Mistrzu... — Zwierzenia przychodziły mu trudno, zawieszając głos, jakby w sobie dopełniał obraz. — ...mnie przypała ten zaszczyt...

Mimo tej kropki gorczy pani Wanda z rozczuleniem opowiadała, jak Jerzy kapitalnie i długo przemawiał i jak to potem „spadł deszcz róż” i aż specjalny samochód przywiózł kwiaty do dworku. Jedliśmy jakieś smakołyki przywiezione z Warszawy. Pani Wanda Natolska stawiała kabałę. Stryj pokazał nam obraz namalowany przez panią Carlotę Boloque „Liselotta z żołnierzykami w zaświatach”, który sprawił mu wyrażną radość.

W sierpniu 1955 roku wznowiono wreszcie „Most”, co było satysfakcją nie tylko dla ducha, ale i przysporzyło trochę grosza. Stryj żył także nadzieją, na premierę „Latającego chłopca”.

Wkrótce wpadłam znów do Zegrzynka. Był piękny, jesienny dzień. Była ze mną wówczas moja mama, brat a także stryjeczny brat Jerzego — Czesław. Stryj powitał nas z ręką na temblaku. Opowiedział na wstępie, jak jego ulubiona klacz dopominała go o cukier, pieszczotliwie szturchnęła go w plecy, powodując upadek. Mimo drażniącego jeszcze bólu był rozmowny. Zrobiliśmy wówczas nawet trochę zdjęć. Gawędziliśmy o spodziewanej premierze „Dwóch teatrów” w Krakowie i o nie kończących się kłopotach gospodarczych.

Chłod ranka bijący od Narwi, wielkie, niemal baśniowe loblany dobiegały do drzwi. Wokół cisza dzwoniła tylko śpiewem ptaków. Nikt wówczas nie myślał, że następne spotkanie będzie tak zaskakująco inne. Los nie pozwolił pisarzowi na filozoficzną kontemplację otaczającego piękna. Śmierć dobrego ducha tego domu, pani Wandy Natolskiej, zmieniła zasadniczo życie Jerzego Szaniawskiego.

„Obca pani na Zegrzynku”.

Z rozpuszczonym pasmem rudych włosów, w granatowych dresach zwieczonych sznurkiem paciorków, badawczo spoglądała na nas. Przyjechałam tu znów z mamą, uprzedzona zresztą przez stryja Czesława o małżeństwie Jerzego. Był to jednak szok: wokół nieład, jakaś dławiąca, niepokojąca pustka. Pani Anita niechętnie przyjmuje wiadomość, że nosimy to samo nazwisko. „Jerzego nie ma” — oświadcza jego tajemnicza żona. Czuję że to nieprawda. Idę w kierunku Narwi. Na zapuszczonym trawniku siedzi dramaturg szarpie się z rozbrzykanym koniem. Chwytam cugle niespokojnego kasztana. Uczesany stryj przygarnia mnie mocno do serca. Zażenowany tłumaczył: — ...widzisz dziecko, uciekli wszyscy... boją się...

Patrzę z niedowierzaniem.

— No, Jej... to wariatka...

Dziwnie brzmią te ostre słowa w jego ustach.

Siedzimy już wszyscy w opustoszałym pokoju.

Brak nawet szklanki na herbatę. Nie mówiąc już o czymkolwiek do jedzenia. Pani Anita szybko zmienia kurs. Proponuje przejście na ty. Zaspjuje nas tysiącem opowieści.

— ...bo ja właściwie rzeźbię... — kawałki gliny walają się po podłodze z jakimś na pół uformowanymi głowami. Nadaje to dworkowi wyraz jeszcze większego zaniedbania. Macha lekceważąco ręką.

— Te stare chałupy, to się rozbiere... (zabytek pod ochroną). Wybuduje nowoczesny pawilon nad rzeką... prawda Jerzy?

Pisarz bezradnie wzrusza ramionami.

Pani Anita Szatkowska-Szaniawska nachyla się konspiracyjnie i głośno szepce:

— ...trzeba tu sprowadzić dzieci Jerzego. Urodziłam mu bliźniaki. Są we Frankfurcie — wyciąga z pudełka jakieś kaftanki — jak im dać na imię? Jak mówiłaś. Aha, tak jak twoje: Ania i Ewa.

Anita mówi chaotycznie. Dramaturg usuwa się z drogi na drugi czy dziesiąty plan. Powiedziała przecież kiedyś:

— Przez małżeństwo z nim muszę wejść do historii.

Wreszcie chwila, gdy można zamienić choć kilka słów z Jerzym:

— Maryla — mówi do mamy — nie zwracaj uwagi. To wariatka...

Wpatruję się z żalem w tę spokojną niegdyś twarz. „To” zostanie w nim do jego smutnej, samotnej śmierci w nędznym warszawskim pokoiu. Nie pisze. Ma tylko jakieś fragmenty utworów. Jakby dalszy ciąg opowiadań Tutki. Nie może się skupić. Coś w nim umarło.

Szybko zbliża się popołudnie. Tym razem nie ma mowy o noclegu w przytulonym do wzgórza dworku. Jerzy odprowadza nas do furki. Pojawia się bowiem — wokół tego otwartego gościnnego domu — plot. Stryj ścisła kurczowo nasze ręce. Nie możemy się nic bliższego dowiedzieć. Pani na Zegrzynku już pokrzykuje. — No, wracaj... Długo czujemy ten rozpaczliwy uścisk ręki.

Drażniący niepokój, oszołomienie, zostają w nas. Chcemy tu wkrótce wrócić. Trzeba ująć coś, aby Zegrzynek stał się znów domem pisarza, którego nazwisko zna nie tylko Europa. Jeszcze w pełni nie jesteśmy w stanie pojąć tragedii człowieka. Niestety, ten rozpaczliwy uścisk dłoni był ostatecznym naszym pożegnaniem.

Jerzy zostaje odcięty od wszystkich i od wszystkich co stanowi sens jego życia. Żaden nasz list nie dotrze już do niego. Plot wyrosło do notwornych rozmiarów, a zlepsy zmieniają dworek w nieosiągalną twierdzę. Uwieszono w niej umysł i serce człowieka. Milczenie wielkiego pisarza wymknęło się z kart jego filozofii. Była to stała się faktem życia.

Resztę strawiły plomienie.

Lódź, maj 1989 roku.

UWAGA! NOWA OFERTA „ODGŁOSÓW”

Powoli i nie bez przeszkód rozwija się wolny rynek. Powstają nowe firmy, przedsiębiorstwa, kantory, spółki. Z drugiej strony mamy do czynienia z niedowładem handlu. Rosną zapasy w magazynach hurtowni i fabryk. Wszystko to razem powoduje, że do ludzi musi docierać szeroka i pełna informacja o tym, co im może oferować wolny rynek. Ta informacja powinna docierać zarówno do klientów, jak i handlowców, jak też i ludzi podejmujących różnorodną działalność gospodarczą. Taką informację zapewniają ogłoszenia i reklamy.

Ludzie również chcą wiedzieć, co ciekawego dzieje się w ich otoczeniu. Bardzo lubimy plotki, ale i lubimy chwalić się. Ktoś uzyskał dyplom, ktoś się żeni, ktoś wrócił z zagranicy, ktoś wyjeżdża, ktoś się rozwodzi. I każdy chciałby o tym powiadomić innych. To zupełnie nowy rodzaj ogłoszenia. Do tej pory nie praktykowany. Ale, co stoi na przeszkodzie, aby w „Odgłosach” nie pojawiły się tego rodzaju ogłoszenia? Nic.

Z przedstawionych powyżej powodów

PRAGNIEMY ROZSZERZYĆ NASZĄ REKLAMOWO-OGŁOSZENIOWĄ OFERTĘ.

Proponujemy to każdemu, kto ma ochotę, potrzebę i pieniądze: ludziom prywatnym, firmom, fabrykom, biurom, przedsiębiorstwom handlowym, właścicielom warsztatów i sklepów.

PROPONUJEMY:

- różnorodne informacje o prowadzonej działalności gospodarczej, kulturalnej, społecznej,
- zawiadomienia o otwarciu praktyki lekarskiej, adwokackiej, o otwarciu warsztatu, kancelarii, uzyskaniu dyplomu, patentu i tak dalej,
- ogłoszenia okolicznościowe: z okazji narodzin, ślubu, chrztu, zdania matury, uzyskania pełnoletności, uzyskania stopnia naukowego i temu podobne.

Życie nasze przebiega różnymi torami, zdarzają się tam przypadki szczęśliwe i nieszczęśliwe. Odchodzą od nas najbliżsi, żenimy się, rozwodzimy, jednych witamy, innych żegnamy. Czasem chcielibyśmy powiadomić wszystkich wokół, jakich to ludzi zabrakło wśród nas. Służymy pomocą! Na życzenie naszych klientów jesteśmy gotowi publikować teksty o różnych ludziach: na cześć dziadków, męża, żony, dzieci, teściów, przyjaciół. Absolutnie są wykluczone teksty mogące narazić czyjeś dobro osobiste. Redakcja wprawdzie nie odpowiada za treść ogłoszeń, ale w tym wypadku nie może ustąpić, gdyż zabrania tego prawo!

Nasi klienci mogą też proponować inne formy ogłoszeń i jeśli nie naruszają one obowiązującego prawa, to znajdują naszą przychylność. Możemy ogłoszenia wzbogacać o fotografie, rysunki. Na życzenie klienta — i za dodatkową opłatą — tekst ogłoszenia może być opracowany przez fachowca.

W redakcji „ODGŁOSÓW” pod numerem telefonu:

36-80-99

stale — z wyjątkiem sobót i niedziel — dyżurować będzie osoba, która udzieli potrzebnych informacji, pomocy i wszystko załatwi na życzenie klienta. Zgłaszać się też można osobiście na XII piętro wieżowca, przy rogu ul. Gabriela Narutowicza i Henryka Sienkiewicza — wejście od ulicy H. Sienkiewicza. Wjazd windą nr 4. Dyżury trwają od godziny 10 do 14 — z wyjątkiem sobót i niedziel.

Ogłoszenia można też składać w BIURZE OGŁOSZEŃ LWP — Łódź, ul. H. Sienkiewicza 3/5 — parter.

NIE PRZEGAP OKAZJI! CENY PRZYSTĘPNE!

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

SPRZEDAM pianino Bechstein, Batalionów Chłopskich 4/10 blok 188. 20832-g

NAUKA-PRACA

ANGIELSKI, 36-79-11, Łódź 11074-g

USŁUGI

SZYJEMY firanki na zamówienie. 12-10-32 20590-g

ALTERNATORY — przewijam 42-07-06 10378-g

KOMPLEKSOWE usługi stolarskie w domkach: schody, podłogi, boazerie, meble, inne. 48-09-12 10992-g

MONTAŻ boazerii. 81-74-62 10993-g

ZGUBY

ZGUBIONO rodowodów PKR II — XIX — 3824 smaucer miniatura 9362-g

UNIEWAŻNIAM zgubioną pieczęć „Krawiectwo, Krystyna Radziszewska, Tuszyn, Mickiewicza 25” 10227-g

IWONA Szybińska zgubiła leg. studencką 60321 PL 10816-g

RAFAŁ Skowron zgubił leg. studencką 17310/L AM 11176-g

JANUSZ Wojtas zgubił leg. studencką 63836/S UL 11083-g

DOROTA PIKALA zgubiła legitymację studencką 2772 AM 11101-g

MARIUSZ Wójt zgubił legitymację studencką 66533 PL 10971-g

JAROSŁAW Talar zgubił leg. studencką 2278 AM 10997-g

JUSTYNA Janiak zgubiła legitymację studencką 68813/S UL 10983-g

UNIEWAŻNIAM pieczęć: Krzysztof Nogala — lekarz, 98-200 Sieradz, Dąbrowszcaków 6/17. Nr 4181 10825-g

UNIEWAŻNIAM dwie skradzione pieczęć: Lek. med. Lucjan Welfel, choroby dzieci, specjalista laryngolog, Łódź, Thälmana 35/44 tel. 86-79-24. Nr statystyczny 115 10608-g

TOMASZ Kłodaś zgubił legitymację studencką 63941 PL 10811-g

UNIEWAŻNIAM zaświadczenie o prawie wykonywania zawodu lekarza na nazwisko Małgorzata Świdarska 10547-g

PAULA Kempa zgubiła legitymację studencką 16803 AM 10268-g

UNIEWAŻNIAM pieczęć: „Spedytor-ladowacz nr 4158 PTHW 4 — Łódź”. 10284-g

EWA Pięchocka zgubiła leg. studencką 63419 PL 10103-g

PIOTR Zdzieńkowski zgubił legitymację studencką 64843 PL 20833-g

MONIKA Nowak zgubiła leg. studencką 15763/L AM 20504-g

UNIEWAŻNIAM skradzione — Zezwolenie kinooperatora I kat. Legitymację pracowniczą ŁDK Kazimierza Kowalewskiego, Łódź, Elsnera 17 20545-g

UNIEWAŻNIAM zagubioną pieczęć: Dzierżawstwo maszynowe i reżne, krawiectwo lekkie i bielizniarstwo J. Kwiatkowski, D. Kwiatkowski 91-050 Łódź ul. Pawia nr 18 tel. 57-84-56, 86-86-97 20738-g

URSZULA Tłoczek zgubiła leg. studencką 17348/L AM 20736-g

UNIEWAŻNIAM skradzioną pieczęć: Kłosek Branzy Rolno-Spoż. Warszawy-Owoce, Władysław Wypych Łódź, ul. Franciszkańska 95 20672-g

UNIEWAŻNIAM się zagubioną pieczęć o treści: Biuro Agencji Handlowe Jolanta Chybińska Łódź, Sienkiewicza 4 oraz księgę podatkową wystawioną na tę firmę 20859-g

DARIUSZ Błaszowski zgubił legitymację studencką 65165/S UL 20939-g

ROŻNE

1 000 000 zarobisz nie inwestując. Informacja: 2500 zł, koperta, znaczek Łódź, Marchlewskiego 44/13 10817-g

od środy do środy

PROGRAM TV

ŚRODA 21.03.1990 R.

PROGRAM I

- 8.35 Domator
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15 Wiad.
- 9.25 „Druh” — radz. film fab.
- 16.20 Program dnia — Telegazeta
- 16.25 Dla młodych widzów: Kamelion
- 16.50 Dla dzieci: COJAK — telet.
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Gry wojenne
- 17.55 Telew. Inform. Wydawn.
- 18.15 Dawniej niż wczoraj
- 18.45 10 minut
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Obok nas — punkt zwrotny
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 Studio sport — 1/4 Pucharu Europy w piłce nożnej
- 21.50 Zawsze po 21
- 22.30 Wiad. wiad.
- 22.45 Estradowe debiuty
- 23.00 J. angielski

PROGRAM II

- 16.25 Korepetycje dla maturzystów
- 16.55 J. francuski
- 17.25 Program dnia
- 17.30 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Magazyn „102”
- 19.00 „Marc i Sophie” — odc. 4 franc. ser. pt. „Bez nikotyny i bez dziewczyny”
- 19.30 Program muzyczny
- 20.00 Czarno na białym — przegląd PKF
- 20.40 Przegląd muzyczny
- 21.00 Ze wszystkich stron
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „W labiryncie” — odc. ser. TVP
- 22.20 Telewizja nocą
- 23.05 Komentarz dnia
- 23.10 Express gospodarczy

CZWARTEK 22.03.1990 R.

PROGRAM I

- 8.35 Domator
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15 Wiad.
- 9.25 „Policjanci z Miami” — odc. (ostatni) ameryk. ser. krymin. pt. „Włamywacze”
- 16.20 Program dnia — Telegazeta
- 16.25 Dla młodych widzów: Kwiaty i film z serii „Ordy”
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Militaria, obronność, nowoczesność
- 17.55 „Poza rok 2000” — austral. film dok.
- 18.25 Magazyn katolicki
- 18.45 10 minut
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Interpelacje (1)
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 „Policjanci z Miami” — odc. (ostatni) ameryk. ser. krymin. pt. „Włamywacze”
- 20.55 Interpelacje (2)
- 21.35 Sport
- 21.50 Pegaz
- 22.35 Wiad.
- 22.55 J. angielski

PROGRAM II

- 16.25 Korepetycje dla maturzystów
- 16.55 J. rosyjski
- 17.25 Program dnia
- 17.30 „W labiryncie” — odc. ser. TVP
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Program na życie
- 19.30 Zielone kino: „Kwiaty”
- 20.00 Wielki sport
- 21.00 Ekspres reporterów
- 21.30 Panorama dnia
- 21.50 Studio Teatralna Dwójki: Per Olof Enquist — „Godzina kota”
- Elżbieta jest psychologiem, pracuje w jednym z luksusowych szpitali psychiatrycznych. Prowadzi naukowe doświadczenia m. in. nad próbami scalenia zderzanej psychiki. Jej ostatnim pomysłem jest przydzielenie małej grupie pacjentów rozmaitych zwierząt pod opiekę. Eksperyment miał szansę powodzenia. Misternie zbudowaną teorię naukową „zepsuł” młody chłopak, który otrzymał od Elżbiety... kota.
- 23.10 Komentarz dnia

PIĄTEK 23.03.1990 R.

PROGRAM I

- 8.35 Domator
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15 Wiad.
- 9.25 „Nowinki zza płotu” — odc. 1 ser. NRD pt. „Kwiecień plecień”
- 16.00 Program dnia — Telegazeta
- 16.05 Piłkarska kádra czeka
- 16.25 Dla młodych widzów: Ramblit — telet.
- 16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Raport
- 17.55 „Witkacy '89” — film dok.
- 18.25 Rzeczpospolita samorządna
- 18.45 Weekend w Jedyńce
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Teraz — tyg. gospod.
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 „C. K. Dezerterzy” — odc. 1 polsko-węg. filmu fab.

Scenariusz dwuczęściowego filmu Janusza Majewskiego opartą na powieści Kazimierza Sejdy, z humorem opisującej przygodę polskiego żołnierza służącego w C. K. Armii w ostatniej fazie I wojny światowej. W roli Jana Kanłowskiego zwanego „Kanią” wystąpił z powodzeniem Marek Kondrat...

PROGRAM II

- 21.40 Sport
- 21.50 Snob literacki
- 22.10 Wiad. wiad.
- 22.30 Spór o jutro — Otwarte studio
- 16.55 Korepetycje dla maturzystów
- 17.25 Program dnia
- 17.30 Wzroczkowa Lista Przebojów Marka Niedzwieckiego
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 O czym się mówi
- 18.50 Program muz.
- 19.30 Dookoła świata: Na Polinezji Francuskiej
- 19.55 „Dama Pikowa” — opera Piotra Czajkowskiego (1)
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Reka mordercy” — franc. film fab.
- Miłość, zazdrość, morderstwo. Tak jednym zdaniem można scharakteryzować film, którego bohaterka — Helena — matka dwojga dorosłych dzieci nawijuje romans z przypadkowo poznanym mężczyzną. Wkrótce Kochanek ginie nie w nie wyjaśnionych okolicznościach. Wynajęty przez zaradnego męża detektyw stara się wyjaśnić okoliczności zabójstwa...
- 22.15 „Portrety” Zofii Nasierowskiej
- 23.30 Komentarz dnia

SOBOTA 24.03.1990 R.

PROGRAM I

- 7.45 Program dnia
- 7.50 Tydzień na działce
- 8.20 Na zdrowie
- 8.40 Ziarno — progr. Red. Katolickiej dla dzieci
- 9.00 DROPS — mag. dla dzieci i młodzieży oraz film z serii „Hejli!”
- 10.30 Wiad.
- 10.40 Azjatycka mozaika: „Wiosenne święto Kriszny” (8)
- 11.10 Do lata — prog. dok.
- 11.40 Laboratorium: To ważne i nie!
- 12.05 Odwieczne pieśni — rep.
- 12.35 „Zaczyna się od zoba”...
- 13.05 Telew. Teatr Prozy: H. Böll — „Elfians”
- 14.15 Zycie — mag.
- 14.40 Prezydenci
- 15.10 Filmy o miłości: „Ich dzień powszedni” — polski film fab.
- Autor scenariusza i reżyser Aleksander Scibor-Ryśki w kameralnym, psychologicznym zbliżeniu ukazał życie zwykłych ludzi, jakich codziennie można spotkać na ulicy. Lekarza pogotowia porucza żona nawijając wiec romans z młodą, atrakcyjną dziewczyną. Ale bunt żony okazuje się krótkotrwały...
- 16.45 Flesz
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Polska walcząca 1939—1945: Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie
- 18.30 Butik
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Z kamera wśród zwierząt
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 „C. K. Dezerterzy” — cz. 2 polsko-węg. filmu fab.
- 21.20 Telew. przegląd sportowy
- 22.20 Tydzień w polityce
- 22.30 Piosenki z San Remo 90
- 23.25 Kino sensacji: „Zniknął bez śladu...” — ameryk. film fab.
- Młody chłopak Steven Walker wyjeżdża z domu w Ottawie i udaje się samochodem do szkoły letniej w USA. Nagle ginie po nim wszelki ślad. Zaniepokojona matka powiadamia policję i swego byłego męża. Natrafia na absolutną znieuczulicę ze strony władz. Dopiero stary, emerytowany detektyw potrafi odkryć prawdę. Film zrealizował Roger Young w 1985 r. starając się odwzorować wydarzenia, jakie miało miejsce w 1978 r.

PROGRAM II

- 12.30 Czas akademicki
- 13.00 W świecie ciszy
- 13.25 Studio im. A. Munka
- 14.25 „5 — 10 — 15” — program dla dzieci i młodzieży
- 15.55 Małe kino: „Uchodźcy afgańscy” — film dok.
- 16.25 Studio sport
- 16.55 Powitanie
- 17.00 Muzyka rozrywkowa
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Legendy filmu: Anthony Quinn
- 19.30 Alfa i Omega
- 20.00 „Dama Pikowa” — cz. 2 opery Piotra Czajkowskiego
- 21.05 Dwa plus 2 — drugi obieg w drugim programie
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Znowu w Brideshead” — odc. 12 ang. ser.
- 22.30 Alfabet Księcia
- 22.45 Komentarz dnia

NIEDZIELA 25.03.1990 R.

PROGRAM I

- 7.00 Witamy o siódmej
- 7.30 Notowania
- 7.55 Po gospodarsku
- 8.10 Tydzień

- 8.35 Program dnia
- 9.00 Teleskanek oraz film z serii „Emil z Lönnberga” (6)
- 10.30 Wiad.
- 10.35 „Tajemnice rosyjskiej przyrody” — odc. 5 ser.
- 11.00 Koncert żywych
- 11.45 Teatr Młodego Widza: A. Maleszka — „Ofelia”
- 13.15 Pieprz i wanilia — Z wiatrem przez świat: „Cenniejszy niż diament”
- 14.00 Sport — MP w boksie — finały
- 15.35 „Panna dziedziczka” — odc. brazył. ser.
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Morze — mag.
- 17.50 Agromarket
- 18.20 Antena
- 18.40 Powracająca melodyjka
- 19.00 Wieczorynka
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 „Północ — Południe” — odc. 6 ameryk. ser.
- 21.40 7 dni — świat
- 22.10 Sportowa niedziela
- 22.50 Wystawa „Żydzi polscy” — film dok.

PROGRAM II

- 8.25 Przegląd tygodnia
- 9.00 „Północ — Południe” — odc. 6 ameryk. ser.
- 10.35 „Twierdzą im był każdy las...”
- 11.20 Jutro poniedziałek
- 11.50 Powitanie
- 12.00 PKF
- 12.10 „Kane i Abel” — odc. 5 ameryk. ser.
- 13.05 100 pytań do...
- 13.45 Maciej Niesiołowski — Z batuta i z humorem
- 14.00 Kino familijne: „Autostrada do nieba” — odc. 4 ang. ser.
- 14.50 „Polacy” — film dok.
- 15.40 Podróże w czasie i przestrzeni: „Czasy katedr” — odc. 5 ser.
- 16.30 Biografie: „Agatha Christie” — ang. film dok.
- 17.30 Bliżej świata
- 19.00 Wydarzenia tygodnia
- 19.30 Galeria 37 milionów
- 20.00 Studio sport
- 21.00 Łazienki Królewskie w Warszawie — Pałac Mysliwski
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Kane i Abel” — odc. 5 ameryk. ser.
- 22.35 Komentarz dnia
- 22.40 Akademia wiersza

PONIEDZIAŁEK 26.03.1990 R.

PROGRAM I

- 16.20 Program dnia — Telegazeta
- 16.25 LUZ — program nastolatków
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Gorące linie
- 17.55 Wędrowki dalekie i bliskie: „Kto się boi genetyki” — cz. 1 franc. filmu
- 18.30 Szkoła mistrzów — Piotr Marczewski
- 18.45 10 minut
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 W Sejmie i Senacie
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 Teatr TV: Tankred Dorst — „Ja, Feuerbach” (wyk. T. Lomnicki)
- 21.40 Sport
- 21.50 Kontakpunkt
- 22.20 Wiad. wiecz.
- 22.40 J. francuski

PROGRAM II

- 16.55 J. angielski
- 17.25 Program dnia
- 17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
- 17.45 Ojczyzna — polszczyzna
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Film dok.
- 19.00 Życie muzyczne
- 20.00 Auto-Moto Fan Klub
- 20.30 „Imperium Kota” — wspomnienie o M. Bulhakowie — rep.
- 21.00 Mistrzowie współczesnego kina: Andras Kovacs
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Heimat” — odc. ser. RFN
- 23.10 Komentarz dnia

WTOREK 27.03.1990 R.

PROGRAM I

- 8.35 Domator
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15 Wiad.
- 9.25 „Dolina nadziei” — odc. 3 franc. ser.
- 16.20 Program dnia — Telegazeta
- 16.25 Dla dzieci: Tik-Tak oraz kino Tik-Taka: „Gumisie”
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Spożyczenia
- 17.55 Klinika zdrowego człowieka
- 18.15 Business
- 18.45 10 minut
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Plus — minus
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 Spotkanie z min. J. Kurońcem
- 20.15 „Dolina nadziei” — odc. 3 franc. ser. pt. „Dzień powszedni Lotarynghi”
- 21.15 Sport
- 21.25 Listy o gospodarce
- 22.00 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „S”
- 22.45 Wiad.
- 23.05 J. rosyjski

PROGRAM II

- 16.55 J. angielski
- 17.25 Program dnia
- 17.30 Klub ludzi z przeszłością
- 18.00 Program lokalny
- 18.45 Modlitwa wieczorna
- 19.05 Publicystyka
- 19.30 Studio sport
- 20.00 Non Stop Kolor
- 21.00 Wywiady Ireny Dziedzic — Lucjan Wolanowski reporter
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Mistrz i Malgorzata” — cz. 2 ser. TVP pt. „Mistrz”
- 23.20 Komentarz dnia

lewym okiem

Prawie jak w Paryżu

Kilka lat temu byłem w Paryżu. Leciłem tam mając pod powiekami wizję miasta pełnego zieleni, pięknych i eleganckich kobiet, bogatych wityny sklepowych, ciekawej architektury. Taki obraz Paryża przekazywali nam przez dziesiątki lat bywalcy opiewający uroki tej stolicy świata. Dominantą tych wspomnień były paryskie piosenki, paryskie teatry i teatrzyki, midinetki i kafejki, spacerzy w Ogrodach Luksemburskich i godzinny kontemplacji w przebogatych muzeach. To wszystko prawda, to wszystko tam jest i jeszcze wiele więcej rzeczy godnych podziwu i pamięci. Tylko jakby usunęły się gdzieś na drugi plan, nie rzucają się w oczy przybyszowi nie mającemu zbyt wiele czasu na roznamiętkowanie się w paryskiej dzielnicy. W tym celu zmieniłabym dziś krajobraz miasta: handel.

Z takim właśnie wrażeniem wróciłem znad Sekwany: że jest to jedno wielkie targowisko. Wzdłuż wszystkich ulic, przed sklepami, bramami, kafejkami stoją nieprzerwanym szeregiem kramy i stoiska, na których piętrzą się góry towarów wszystkich branż. Na wytwornym bulwarze Saint-Germain panie grzebią w stercie damskich niewymownych, do wityny sklepowych dostępnych nie ma, ledwie że przecisnąć się można pomiędzy rzędem handlowych stoisk a rzędem stojących na krawężniku jezdni samochodów. Tłok i nieustanne handlowanie niemal przez całą dobę bez przerwy, signum temporis epoki konsumpcji.

No i proszę: przynajmniej pod tym jednym względem ulice naszych wielkich miast z Warszawy i Łodzi na czele zaczynają się upodabniać do ulic paryskich. U nas handel też wyszedł na ulice. Nie ten, który by uzupełniał sklepy, jak tam, tylko ten, który zastępuje sklepy. Na każdym skrzyżowaniu ulic, tworzącym jakiś taki placik, zbierają się co dzień handlarze z warzywami, owocami i mięsem, pieczywem, ale także sprzętem domowym i lekką konfekcją. Wygląda na to, jakby władze miejskie nagłe zapomniały o zasadach higieny, ruchu ulicznego, estetyki i po prostu porządku.

Ryszard Marek Groński w „Polityce” twierdzi, że nasz uliczny handel cofną naszą kulturę wymiany towarowej o kilkadziesiąt lat wstecz. Ale proszę: w Paryżu jest to samo, chociaż inaczej sprawa się tam motywuje. Tam chodzi o wyjście z towarem do klienta, u nas, mówicie sobie, co chcecie, chodzi przecież po prostu o rozbiście i doprowadzenie do bankructwa monopolu handlu spółdzielczego i państwowego. Stworzone konkurencję o łatwo czytelnej motywacji: przecieście sprzedawcy z ręki, z ławki ogrodowej, z samochodu nie placą kilkadziesiąt tysięcy złotych za metr kwadratowy jak sklepy; nie troszczą się o pokoje wypoczynkowe dla personelu, o warunki bezpieczeństwa i higieny pracy, umywalnie z ciepłą wodą, ciepłą odzież, większość z nich nie placą także podatku. Nie prowadzą żadnej księgowości i sprawozdawczości, dzięki temu wszystkim mogą sprzedawać swe towary o wiele taniej, mogą monopol wygrać nie mogą. Zbankrutują, a wtedy władze przypomną sobie o wszystkich przeciwwskazaniach i dobiorą się do handlu ulicznego. Przystaniemy przypominać Paryż.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

nagłe zastępstwo

Ten cholerny zegar

„...siadę sobie w domu, będę pił brom i czytałem Apokalipsę”; mówi jeden z bohaterów świetnej powieści Andrzeja Bielego pt. „Petersburg”, a mechanizm bomby zegarowej (która w utworze odgrywa dość ważną rolę) już działa, puszczony przez owego bohatera nieopatrznie w ruch. Czas więc mijal, słychać było cykanie, a bomba w końcu w całym rozgardzaniu zaginęła i...

— Pan nic z tego, co się dzieje nie rozumie — powiedział pan S.

— Ja wszystko rozumiem, tylko że pan jest po prostu drań — odpowiedział pan N. i spururował na twarzy.

— Ja... ja jestem drań... — jęknął się pan S. — to pan wobec tego jest — zastanowił się przez ułamek sekundy — pan wobec tego jest... — powtórzyl. — lewicowicie! — wykrzyknął i oblicze mu się rozjaśniło.

No, tego już było za wiele. Powiedział, że pan N. jest lewicowcem — to największa obraza, bo przecież pan N. jest właśnie prawicowcem (wiedzą o tym wszyscy) i zawsze nim był, od urodzenia niemal, no, poza tą drobną chwilą, kiedy w pierwszej klasie szkoły podstawowej szedł w pochodzie pierwszomajowym i wraz z innymi dziećmi krzyczał: „Niech żyje towarzyszu Stalin”. Ale to było dawno i wszystkie dzieci były wtedy do tego zmuszane. I dlatego teraz, po takim oskarżeniu, patrzył ostro w oczy pana S., który owego wzroku wytrzymać nie mógł, wiedział bowiem (znał wszak od dawna pana N.), że za chwilę nastąpi straszny atak, ale, by go uprzeczyć, zaszedł cicho pod nosem:

— Ale przecież Niemcy? — Co Niemcy?! — krzyknął pan N.

— No, Niemcy!

— Co mi pan tu z jakimś Niemcami wyjeżdża... niech pan lepiej słucha i nie przerywa, bo chce panu powiedzieć, że pan jestes z wyjątkiem bolszewik — rzekł ostro pan N. i zrobił przy tym okropną minę, która najprawdopodobniej miała być obrazem Czngis-chana.

Po tym strasliwym oskarżeniu zapadła cisza.

(A zegar wciąż cyka)

Pan S. zaczął zbierać myśli, wiedział jednak, że właściwie przegrał. Postanowił chwycić się ostatniej deski ratunku i — o dziwo — spokojnie powiedział:

— A demokracja? — A demokracja? — zapytał pan N. i widać było, że jest lekko zaskoczony.

— Nasza demokracja.

— Niech pan laskawie nie szermuje demokracją, o niej wszyscy wiedzą, nie ma o czym gadać — uciał pan N.

(A zegar wciąż cyka)

W tym momencie pan S. postanowił sposobować jeszcze jednego chwytu.

— Ja przecież też byłem aresztowany — powiedział z dumą.

— I co z tego... oni w amoku głupoty i swoich zamykali — odparował pan N.

— Tak?!

— A właśnie, że tak... krótko mówiąc, mnie zamknęli słusznie a was nie...

— Tylko nie was, nie was, proszę laskawego pana — przerwał pan S. — Widzę jednak, że się nie dogadamy — dodał — pójdę więc teraz do domu, ale niech pan nie myśli, że to ujdzie panu na sucho... stalnowiec — szepnął na odchodne pan S.

— Idź pan szybko, a i tak styszałem, co pan powiedział i zapamiętam sobie — rzekł zadawolony z siebie pan N.

(A zegar wciąż cyka)

A może rzeczywiście najlepszym wyjściem jest teraz zaszyć się gdzieś w domowym kąciaku, pić na przykład neospazminę (z borem bowiem mogłoby być trochę kłopotów) i czytać Apokalipsę.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

Polski rekord

Jak wiadomo, Polak potrafi. Dlatego dziwić musi absencja naszej nacji w „Księdze rekordów” Guinnessa. Ktoś tam podobno jest, jakiś piłkarz, który podrzucił nogą piłkę przez cały dzień i temu podobne drobności. A tymczasem mamy się przecież czym pochwalić. Choćby ucieczkami z kryminalu — jeszcze mamy w pamięci brawurową ucieczkę Zdzisława Najmrodzkiego, a już prasa odnotowała nowy rekord: tym razem uciekło dwunastu zuchów naraz! To jest sukces...

Już widzę oczyma wyobraźni oburzonych Czytelników. Jedni pokrzykują: świętości szarga! Kryminalistów chwali! A nasi znakomici artyści, podbijający świat na scenie albo na fortepianie? A wspaniali sportowcy, a laureaci nagród Nobla, Oskara, Victora czy innego Urbana?

A inni jeszcze — owsem, złodziejstwo, oszustwo, ucieczki z mamra to mamy. A gdzie sukcesy gospodarcze? Gdzie nasze sukcesy na niwie przemysłu, handlu, techniki itd. Tylko to się liczy we współczesnym świecie, nie żadna martyrologia, nie sukcesy w sztuce, a już na pewno nie jakieś bunt w kryminalach i zbiorowe ucieczki bandziorów!

Odpowiadam hurtem obydwu kategoriom oburzonych. Fakt, wydaliśmy jako naród zarówno Kopenikę jak Chopina i Marię Skłodowską-Curie. Dalśmy także wyraz naszej narodowej dumie i uhonorowaliśmy tych wielkich Polaków odpowiednimi do ich zasług nominacjami na ich znakach NBP. Ale do księgi rekordów się tedy nie wchodzi. To raz. Jeśli natomiast chodzi o „osłagi” w dziedzinie gospodarczej to mamy, mamy. Jeden przynajmniej na skalę światową: udało nam się zaciągnąć takie długie jak nikomu, licząc krótki czas ich zaciągania i wskaźnik zadłużenia na głowę ludności.

Przypominam sobie sprzed lat Cygana Jędrusia, który grywał w łódzkich knajpach na skrzypcach. Grał zupełnie dobrze, co akurat w tej anegdotce nie ma większego znaczenia. Znaczenie ma bowiem fakt, że jako człowiek całe dziesięciolecie spędzający w lepszych i gorszych restauracjach był znakomicie obnawiany ze zwyczajami bywalców tych lokali. Do tych obyczajów zaliczało się także pożyczanie drobnych sum na konto monopolu spirytusowego, długów z reguły nie do odebrania.

Kiedys ktoś pokazał mi pewnego dientelmena o charakterystycznym sinawym nosie i schrypniętym baritoniku. Ten facet — powiedział z pewną dumą — nie pozbawioną odrobiny zawisł mój informator — otóż ten facet nawet od Cygana Jędrusia pożyczył na pół litra!

Czyż — jako patriota — nie powinniśmy z taką samą dumą mówić o naszych dwóch dzielnych przywódcach, o wujku Edwardzie G. i wujaszku Piotrze J.? Oni przecież nawet poważne państwo banki z wielu krajów ustrzelili na niejedno pół litra. Zasużyli na Guinnessa!

Toteż nic dziwnego, że to właśnie oni z taką lubością dekorowali kraj tym dumnym hasłem, wspomnianym na początku: „Polak potrafi!”

ANDRZEJ KAROL

Marian Major nie lubił tego tematu. Jego wina, że Brygida zrobiła sobie wtedy skrobankę? Jakby kładł Gerwazy miał ją surowiej potępić za bekaria niż Pan Bóg za przerwaną ciążę. Nie z nim to przecie było ani nie z Remem, wcześniej jeszcze, podobno z pewnym geodetą wojewódzkim, który kilkunastu dziewuchom w okolicy poprzysięgał wierność i małżeństwo. Bywała przysięga, których nie sposób dotrzymać. Zostać bigamiścią jeszcze by się dało, ale jak dochować wierności tylu panom naraz? Chyba że się jest eunuchem. Geodeta nie był. Poszła więc Brygida do ginekologa w Krasnogaju, poszła w sekrecie, ale Pan Bóg ma oko na takie sprawy i od czasu do czasu umie surowo ukarać. Najpierw był krwotok od przebitej ścianki macicy, pogotowie i szpital, a potem okazało się, że dzieci już nie będzie. Nigdy. Wszystkim wyskrobannym Pan Bóg tego nie robi, ale niektóre karze przykładnie, żeby inne знаły mores.

Akurat wypadło na Brygide. — Nieraz już miewaliśmy nowe czasy — powiedział do żony komendant Marian Major. — Kto cierpliwy, przeczekaj i wracaj do normy. Człowiek ponoć pochodzi od małpy, ale nikt nie widział, żeby z małpy zrobił się człowiek. Wiesz dlaczego? Bo może to prawda, może nieprawda, tylko świat zmienia się powolutku, przez całe stulecia. Nie zobaczysz, jak włos rośnie. Jeżeli nie było włosów i raptem są, to wiedz, że peruka.

— Jednak będzie inaczej — powiedziała Brygida. — Przyjeździ wiedzą. Tamci zaczną przysgarbiać do siebie wiadzą, po kawaleczku, w imię Boże. A wasi im będą po kawaleczku, po cichutku oddawać, bo im nie nie wychodzi i mają dosyć, tylko chcą z honorem.

— Już było — powiedział komendant. — Jedni drugim wciskali jak cuchnące jajo. Wtedy Marat się zalał. I wrócił na miejsce, Brygido, ponieważ nie się nie da zrobić na łapu-capu, potrzebne są stulecia.

— Będą próbowali szybciej. — Wiem — wyznał komendant. — Zrobi się bajzel.

— I tak jest bajzel. — Będzie większy. — Musi?

— Niestety, tak. Rem już dawno mi to wytłumaczył, a ja się nie zgadzałem przez grzeszność, choć jego bajdy trafiały mi do przekonania. Losy świata są zapisane w gwiazdach na zasadzie wypadków losowych: jednym idzie, drugim nie. Nam nie szło, nie idzie i nie pójdzie tak szybko, a przyczyn lepiej szukać w gwiazdach niż we własnej gnuśności.

— I warcholstwo. — I warcholstwo — zgodził się komendant. — Więc najpierw bajzel, później mordobicie i na końcu kaganiec. Może ze szlachetnej stali, jeśli dobrze pójdzie.

— A potem? — Wróci nowe — zaśmiał się komendant Marian Major i ruszył do drzwi. — Mnie to wszystko na szczęście nie dotyczy, a jeśli dotyczy, to tylko przez prywatny sentyment i pośrednio, ponieważ jestem służbowy, zaś służba jest ponad. My politykę traktujemy rozrywkowo, jak muzykę albo rysunek. Dzięki temu Centrala jest wieczna.

— Gadasz tak, bo nie widzisz, że twojemu ukochanemu szefowi naprawdę coś grozi — powiedziała Brygida. — Wcale nie jesteś taki, za jakiego chciałaś uchodzić, Marianku.

Komendant westchnął. Rad był, że Brygida nie wierzy w bezosobowość służb. Marian Major miał serce i czuł teraz, że je ma. Bilo równo.

— Ucałował żonę w policzek i odszedł na służbę.

Brygida ubrała się szybko, wzmknęła na podwórze tylnym wyjściem, stamtąd przez szparę w ogrodzeniu i mimo czujników, obok kamier, wzdusiła szpalera krzewów ozdobnych pospieszyła w kierunku leśniczówki.

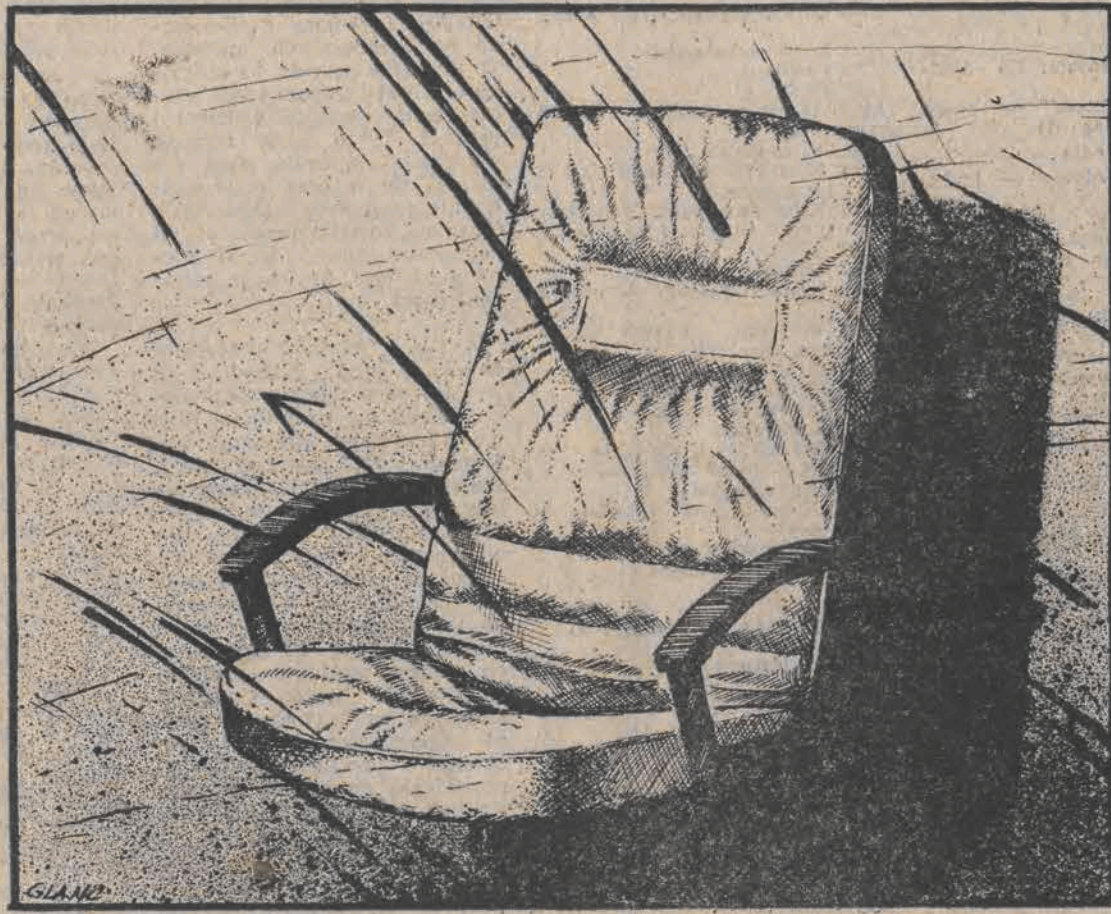
Rem jadł śniadanie. Króli w kostkę wędzoną słoninę, posypywał solą i pieprzem, potem zagryzał rozdkiewką i chlebem razowym. Mleko pił prosto z dzbanka, surowe, pachnące kro-wim ciepłem.

Brygide przywitał zmużeniem oczu. Złuszczeknął, merdnął ogonem półprzystażnie. Chyba nie cieszył się, że jego pan okazuje względny innej istocie, a zwłaszcza że za tą istotą tęskni. Ze wszystkich ludzkich uczuć psy rozpoznają najlepiej tęsknotę i ból.

— Czekałeś na mnie? — zapytała Brygida. — Ciągle na ciebie czekam.

ALEKSANDER MINKOWSKI

Sekrety prominentów (16)



Rys. Janusz Szymanski-Glanc

— Wiedziałeś, że przyjdę. — Rem wskazał jej miejsce obok siebie. Zanim usiadła, wyjęła z kredensu półmisek, rozłożyła specjalnie przyniesione z domu: faszerowany mostek cielęcy, połówkę pieczonego bażanta, ćwiartkę proszonia w galarecie.

— Niczego, co mnie dotyczy, nie potrafisz przewidzieć — powiedział Rem. — Skosztuj proszonia — zachęcała Brygida.

śladając przy nim i już tułając się, powyskakując niecierpliwie.

Rem wolał słoninę z rozowcem, ale spróbował prosięcia, skubnął mostku z aromatycznym farszem, obgryził bażancie udko, chude cokolwiek i lykował.

— Smaczne — pochwalił. — Tyle mi nie przynosi, co z tym zrobić?

— Szkoda, żeby się zmarnowało. Zjeść nie damy rady, a wynieść za bramę nie wolno. — Głupota, że nie wolno. Rodzinie zaniósłabyś, byłby pożytek.

— Polityczna sprawa — powtórzyła za mężem Brygida. — Rozniosłyby się plotki o frykaszach w Ośrodku. Remie, jak wygląda anioł?

— Tak jak ty — odparł z uśmiechem i poglaskał ją po kasztanowych bujnych włosach, upiętych w koński ogon.

zdradzą, puszcza się z tobą, myśli miewam bezwzględnie... Nie żartuj ze mnie.

— Skąd mogę wiedzieć, jak wygląda anioł? — Rem powrócił do wędzonej słoniny, do razowego chleba i rzodkiewek maczanych w soli. — Moje widzenia kończą się tutaj. Patrz, jak człowiek umiera, ale co z nim później się dzieje, pojęcia nie mam. Może nie?

— Musi być coś.

— Musimy tak myśleć — zgodził się leśniczy. — Inaczej życie nie miałoby sensu. Anioł to ten, kogo się brudy nie mają. Niby zdradza, niby się puszcza, niby wyczytnia brewerie, które innych gorszą. A w srodku czysty.

— Możliwe?

— Wtedy gdy nie robi tego przeciw innym. Kiedy komuś sprawia radość, jak ty mnie.

Brygida objęła Rema za szyję. Oczywiście się śmiały.

— Chodź do łóżka — powiedziała. — Sprawę ci radość.

Pociągnęła leśniczego na baranicy, rękę wsadziła mu za pasek spodni, przejechała paznokciami po gołym brzuchu, wdarła się niżej. Udem przygniotła do łoża, żeby nie przeszkadzał. Mógł tylko dotykać jej piersi, które miała na wysokości twarzy, wyłuskane z grubego wełnianego swetra; sprężyła kragulec, a brodawki maclupkie jak u dziewczynki. Nie rozwinęła się, niestety, pomyślał Rem dotykając ich wargami. językiem, nie spełnia swą rolę właściwą, nie będą karmić.

Już była na nim. Już on w niej, nim zdołał się opamiętać. Kolistymi ruchami, tucając coś cichutko, a może wdychając, szukała w sobie miejsca, która sprowadza rozkosz. W każdej kobiecie jest takie miejsce. Bywa jednak, że żyje długo, z wieloma się kocha, na przeróżne sposoby i tego miejsca nigdy nie odkrywa. Uważa, że jest na wierzchu. A co jest na wierzchu, na zewnątrz? Zewnętrzność, powierzchowność. Mało ludzi zna siebie do głębi. Często potrzeba drugiego człowieka, aby poprowadził w głąb, pokazał drogę, nauczył, jak szukać.

Brygida śpiewała już na pewno. Pochyliła nad Remem, zadyszana, muskając jego policzki i czoło kasztanową powdźnią rozpuszczonych włosów, śpiewała mu o jasności. Sama w niej się składała owa świetlistość bez słów. Najpromienniejszego nie da się nazwać, wysłowić je może tylko melodia, muzyka, zmienność rytmu. I na końcu spazm.

Potem leżeli w milczeniu. Zул czuł w wy-wieszonym ozorem. Jego panu było dobrze, więc i jemu dobrze być musiało. Posapował. Mimo wczesnej pory, na dworze słońce już piekło. Zapowiadał się upalny dzień.

— Ogłoszono alarm — powiedziała Brygida. — Marian ma dyżurów do odwołania.

— Nieprędko odwołają.

— Ty wszystko wiesz... Dlaczego Marian powiedział do mnie, że szef to był wspaniały człowiek?

— Nie pytaj — poprosił Rem. — Niech będzie, że się przejęczył. A w Bartach coraz więcej przyjeżdżnych i ciągle się modlą. Książd Gerwazy ledwo stoi na nogach.

— Miody, ma zdrowie.

— Daleko zajdzie nasz duszpasterz. Dzięki mecenistwu Anny Genowefy. On ją spowiadał, zanim poszła na śmierć. Będzie wezwany na tę okoliczność aż do Watykanu.

— A tutaj? — spytała Brygida. — Co się stanie tutaj?

Rem nie odpowiedział, pokręcił tylko głową.

C.D.N.

Sergiusz Piasecki urodził się w 1899 lub 1901 r., zmarł w 1964 roku. Jest autorem słynnej powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy”, którą napisał w 1935 r. podczas odsiadki w wyroku za działalność przemysłową i rozbójniczą na pograniczu polsko-radzieckim. W okresie II wojny

światowej trafił do Anglii, gdzie napisał kolejne książki, m.in. „Żywot człowieka rozbrojonego” i „W imieniu organizacji”. Kontynuujemy druk fragmentów jego „Zapisków oficera Armii Czerwonej”. Wydawnictwo „Książka Dla Wszystkich”, Gryf Publications LTD, Londyn 1937.

wiednio do mojej wysokiej szarży, wyzerał się będy”. Zaproponowałem ja jej kiedyś do kina pójść. Ale ona powiedziała, że nie chce, żeby ją znajomi z wojskowym widzieli, bo zaraz zaczął obgadywać. Spytałem o jej rodzinę. Okazało się, że od trzech lat jest wdową i mieszka sama. Toż rozkosznie — pomyślałem — akurat dla mnie! Kobieta. Bardzo bogata, bo i stragan ma, i własne mieszkanie. Ale zrozumiałem ją, że z tymi głupimi burżużkami nie tak łatwo to idzie jak z naszymi babami. Wiadomo: nieświadomy element, pieniężny kapitalistyczny przesądów.

Kilka razy pomagałem ja jej wieczorem ze straganu do domu kosze z jedzeniem i duży, blaszany samowar zaniesi. Nie zostawiała tego na noc w straganie, bo nasi chłopaki lubili bardzo podobne prowianty i rzeczy „nacionalizować”. Gdy jej kosze do domu zanosiłem, to zawsze coś do jedzenia otrzymywałem. Ale na noc zostać nie pozwalała.

— Mam ją — powiedziała — córeczkę siedmioletnią i nie chcę, żeby dziecko dla matki szacunek straciło. Zły to przykład. No i sąsiedzi mogą się dowiedzieć.

Aż pewnego razu, po dłuższej znajomości, zgodziła się ona pójść ze mną w niedzielę na spacer za miasto. Ale przed tym powiedziała:

— Tylko nie liczcie na nic poza spacerem, bo ja jestem kobieta honorowa i uczciwa. Widzę, że młodzi jesteście i że smutno wam samemu, więc porozmawiamy i czas na wolnym powietrzu spędzimy.

— Ale ja na jej gadanie uwagi nie zwracałem. Ot — myślę sobie — takie są twoje burżużskie wykrety. Ale przyjdzie czas to się skończy.

Wyszykowałem się ja na niedziele należyście. Perfum dużo na głowę wylałem. Dwa zegarki wzięłem i angielskiego fasonu buty wzięłem. Wyglądałem

nie gorzej jak jakiś ważny sowiecki marszałek. Tak.

W sobotę kupiłem butelkę wódki, a w niedzielę poszedłem do straganiaru. Ona też szczerze się wystrzeliła. I poznać było trudno w nowym palcie i w bucikach. Jak bardzo znaczną kapitalistka wyglądała. Przygotowała ona też paczkę z różnym jedzeniem i poszliśmy na spacer za miasto.

Pogoda była znakomita. Wszystko zielone... Blisko miasta las zauważyłem, więc zaraz z szosy tam skręciłem. Znalazłem wygodne miejsce i rozelałem plaster.

Zaczęliśmy jeść i rozmawiać. Bardzo było wesoło i kulturalnie. Tylko wódki ona pić nie chciała. Ledwie ja na pół szklanki namówiłem. Resztę sam wypilem. Potem zacząłem ja żądać o niej normalnego zadzwolenia mnie jako mężczyzny. A ona powiada:

— U nas tak się nie robi. Jestem uczciwa kobieta a nie jakaś ulicznica. Prosiłicie mnie na spacer dla towarzysystwa, więc zgodziłam się. Ale nie po za tym między nami być nie może. Chyba u was w Rosji jest inaczej i byle kto z byle kim lajdaczy się. Ale u nas jest inaczej.

Wstała ona, zapięła palto i kapelusz na głowie poprawia. Potem mówi:

— Bardzo przepraszam, ale czas mi już wracać do domu, bo dziecko zostało samo. Chciałam spędzić z wami trochę czasu dla przyjemnej rozmowy i towarzysystwa. Ale jeśli wyszło inaczej, to bardzo żałuję. Proszę nie gniewać się na mnie. Ja te sprawy traktuję poważnie i muszę szanować się.

Zezłościło to mnie bardzo. Porwaliśmy na nogi i tak do niego powiedziałem:

— Jesteś głupia, burżużka świnia! Otumanili was kapitaliści i księża swoją faszyzowską propagandą i zrobili z was dzikusów. Dopiero my przynieśli wam wolność i pojęcie o świecie. My pokazali prawdziwą kulturę. My wam dali swobodę. Ale ty, idiotko, tego nie rozumiesz, bo jesteś zafrata jadem imperialistycznych zabobnow!

C.D.N.

Zapiski oficera Armii Czerwonej

SERGIUSZ PIASECKI

12 kwietnia, 1940 roku
Lida

Zima się skończyła, tak, jak skończyły się burżużskie rządy na Białorusi. Przyszła wiosna, tak, jak my — żołnierze Armii Czerwonej — aby wywabić proletariatu od tyranów kapitalistycznych. Wszedło wyżej słońce, aby zniszczyć chłody — tak, jak nasze rosyjskie SŁOŃCE: ojciec Stalin i ogrzać chłopów i robotników promieniami wolności i dobrobytu. Rozkwitło wszystko dokola i zazieleniło się swobodnie — tak jak w Związku Radzieckim. Przyleciały ptaki i śpiewają sobie głośno i bez przymusu na czesie partii komunistycznej i Centralnego Komitetu, zadowolone, że skończyły się tu rządy krwawych satrapów imperialistycznych. Bardzo przyjemnie to wszystko widzieć i słyszeć.

Przeczytałem ja to, co napisałem o wiosnie, i widzę, że mam ja ogromny talent literacki. Może jeszcze niepełnie dorównałem Puszkiniowi, ale na pewno lepiej u mnie wychodzi, niż u burżużskich pisarzy, zmuszonych zawsze kłamać i wysługiwać się kapitalistom. Tak: literatura nie znosi przymusu, więc może kwitnąć tylko tam, gdzie my jesteśmy i gdzie opiekuje się nią OJCIEC STALIN. Bo, na przykład, co jest u tych Polaków?... Nic... Pytałem ja, to

mnie powiedzieli o Mickiewiczu, że był to wielki poeta i tak dalej. To ja splunąłem i spytałem: „Cóż on tak wielkiego napisał?”. A mnie mówią: „Pana Tadeusza”. To ja potem tak się śmiałem, że mnie aż łzy z oczu poszły. Napisał o panu, więc zaraz wielki poeta! U nas jest Tolstoj. Chociaż był to początkowo hrabia i paszoży, ale potem się poprawił i nawet sam dla siebie buty robił. I jest dużo innych pisarzy. A za granicą co?... Nic... W takiej Anglii, slyszalem, był Szekspir, to on tylko o królach i ministrach pisał i wysługiwał się kapitalistom amerykańskim, nie szcząc świadomości klasową proletariatu. I w Germanii przed Hitlerem nikogo dobrego nie było, tylko Beethoven, który napisał „Fausta” i to, na pewno, sciągnął go u III Erenburga. Tak: jedynie ruski naród może dać coś pięknego i pożytecznego światu. Zamierzam ja, gdy będę miał trochę więcej wolnego czasu, napisać jakąś bardzo grubą książkę o naszych osiągnięciach kulturalnych i o wielkości naszego narodu.

Jednak ta wiosna i mnie trochę w głowie zakrećcia, bo o mały nie zakochołem się w burżużce. Ale w porę opamiętałem się i miłość moją zlikwidowałem. Rozumiecie sami: żarcie dobre, baby zaś nie mam, więc czasem różne takie mekskie my-

śli do głowy przychodzą i człowiek całkiem zgłupieje. Otóż niedaleko koszar było kilka straganów, w których kobiety tutejsze sprzedawały różne jedzenie i herbatę. Zauważyłem ja tam pewną, niczego sobie, babunię. Była starsza ode mnie może o lat dziesięć, ale dość tłusta i morda miała czerwona. Tak że mnie, można powiedzieć, nawet i spodobała się. Więc ja do tamtego straganu zacząłem często chodzić i herbatę nawet nadmierne popijać. I zawsze byłem bardzo honorowy: co zjadłem, albo wypilem, to bez żadnego krętaactwa płaciłem. Więc ona zaczęła nawet mnie szanować i wesoło na mnie patrzyła. Zauważyłem ja, że ona pali, więc ja jej czasem papierosów przynosiłem po tańszej cenie i bardzo przyjemnie z nią rozmawiałem. Postanowiłem ja, że trzeba będzie zacząć z nią miłość krećcia. A że jest ona dużo ode mnie starsza, to znaczenia wielkiego nie ma. Bo naszych sowietek — po taniej szkole, którą mnie Nastka dała — miałam ja dość. Nawet patrzeć na nie było mi wstrętne. Zawsze myślałem: może każda jest taka sama wydra jak i Nastka.

„Otóż chodzę ja do tamtej straganiaru i chodzę. Herbatę trąbię i trąbię. Ale myślę sobie tak: „Jeszcze przyjdzie czas, kiedy ja darmo u ciebie, odpo-